

Patrycjusz.  
Galsworthy John.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ 1.

Brzask dzienny, wkradłszy się do pokoju ogromnego i tak wysokiego, że oczy patrzące nie dostrzegały szczegółów rzeźb na powale, snuł się z chłodną, pół-senną ciekawością świtu wśród bajecznej skarbnicy przeszłości. Spojrzenie brzasku, wolne od uprzedzeń oczu ludzkich, dobywało na jaw sprzeczności najosobliwsze, jakby dla wyświetlenia zastygłego pochodłu dziejów, w tej bowiem wielkiej sali jadalnej, jednej z najpiękniejszych w Anglii, od wieków już rodzina Caradoc'ów gromadziła pamiątki i dowody swej egzystencji. Naokół tej sali jadalnej budowano, burzono i znów restaurowano tak długo, aż wreszcie i pozostałe budowle Monkland Court przybrały pewien jednolity wygląd. Tylko tutaj pozostawiono nienaruszone dzieło rąk starych, quasi-klasztornych twórców i tu, wśród tych ścian, pokolenia za pokoleniami pozostawiały nieświadomie ślady swego ducha. I teraz oto, w obliczu światła, leżały tutaj zebrane smutne dowody wieczystych dążeń człowieka do nieśmiertelności, osłony jego przemijającej, ziemskiej powłoki, jego fetysze i cudaczne przejawy wiary, nieoszczędzone przez nieubłagany i bezwzględny czas. Dziejopis mógł znaleźć tu niejedno potwierdzenie swych przypuszczeń, badacz – według materiałów tu nagromadzonych – ułożyć właściwą hierarchję rodów, filozof – śledzić rozwój arystokracji od jej pierwszego szczebla potęgi, zdobytej bądź nieokrzesaną siłą, bądź przebiegłością, poprzez wieki władzy, aż do malowniczego schyłku i proggu jej ostatniego postoju. Nawet artysta mógłby pochwytać tu czasem ów niespokojny, przejmujący nastrój, podobny temu, który przenika nieraz do głębi serca przy zwiedzaniu starych katedr. Od legendarnego miecza zdradzieckiego dowódcy Celtów, który przeszedł na stronę Wilhelma Zdobywcy i otrzymał wraz z ręką pewnej wdowy normandzkiej rozległe włości w Devonshire, aż do puharu, ofiarowanego przez mieszkańców Devonshire obecnemu hrabiemu na Valleys, Geoffrey'owi Caradoc z okazji jego zaślubin z lady Semmering – nie brakowało tu żadnych pamiątek, prócz może portretów rodzinnych, znajdujących się w galerji Valleys House w Londynie. Był tu nawet przechowywany stary duplikat pożółkłego aktu, zawierającego królewskie potwierdzenie tytułu i własności dóbr dla Jana, najznakomitszego z Caradoc'ów, który, niestety, zaniedbał obowiązku urodzenia się jako ślubne dziecko, a to dzięki jednemu z tych zabawnych przekroczeń, które znaleźć można w genealogji wielu starych rodów. Tak, dokument ten znajdował się, tutaj, umieszczony prawie że cynicznie na widoku, cały ten incydent bowiem, stanowiący zapewne kwestję palącą w XV stuleciu, teraz był jedynie tematem do drobnych ironicznych uwag, w związku z tem, że potomków „rodzonego” brata Jana Edmunda bezwątpienia znaleźć można było pomiędzy włościanami pobliskiej parafji. Światło dnia, ślizgając się między starożytnymi zbrojami, a zawieszonymi nad niemi skórami tygrysiemi, które zaledwie rok temu przywiózł z Indyj Bertie, młodszy syn Caradoc'ów, zdawało się zastanawiać nad tymi, którzy, niegdyś przodując i wyróżniając się zasługą prostego prawa natury, wieńczącej silnych i odważnych, dziś zaś odsunięci przez potężny prąd życia społecznego, zmuszeni są stwarzać sobie niebezpieczeństwa, by nie stracić wiary we własną siłę. Bezlitosne światło wczesnego letniego poranku zdawało się zastanawiać nad wieloma innymi jeszcze zmianami, a wędrując po surowych obiciach ściennych, to znów po miękkich kobiercach, wyciągało z kontrastu tego pewne dowody, iż zdrowy rozsądek obecnego hrabiego Valleys kazał mu zaniechać surowej ascezy przeszłości. Skończyła się wreszcie krytyczna wędrówka świtu. Wszystko stanęło nagle w czarodziejskiej szacie, bo oto wstało słońce i poprzez wschodnie okna rozlało na pokój jasną, mistyczną radość, a wraz z pierwszymi promieniami wpadł przez uchyloną kratę okienną duży bąk i usiadł na kwiatkach, które zdobiły stół, stojący wpoprzek wschodniego końca sali, stół nieduży, używany tylko wtedy, gdy w domu znajdowało się niewiele osób. Godziny płynęły cicho. Słońce było wysoko na niebie, kiedy do sali jadalnej weszły trzy pokojówki ze szczotkami, dziewczyny różowe i hałaśliwe; po ich odejściu dwaj lokaje poczęli spokojnie i uważnie nakrywać do stołu. Następnie przybiegła małutka

sześcioletnia dziewczynka, – zbadać zapewne, czy nie znajdzie się dla niej coś godnego uwagi, – mała Anna Shropton, dziecko sir wiliama Shroptona i lady Agaty, najstarszej córki domu i jedynej z czworga młodych Caradoc'ów, która dotychczas wstąpiła w związki małżeńskie. Malutka przyszła na paluszkach, chcąc niespodzianie nastraszyć kogokolwiek, ktoby znajdował się w jadalni. Jej szeroką twarzyczkę o prostym, wydatnym nosku, rozświetlały duże, szczere, piwne oczy, nosiła szeroką holenderską sukienkę, opasaną luźnym paskiem poniżej stanu; będąc żywym uosobieniem swobody, zdawała się widzieć w życiu jedynie tylko radość i uciechę. Niebawem znalazła coś godnego uwagi.

– Patrz, oto bąk! wiliamie, czy myślisz, że mogłabym go schwytać do mojej szklanej puszk?

– Sądzę, że nie, uważaj lepiej, gdyż może cię ukąsić.

– Mnie nie ukąsi.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Naturalnie – jeśli tak mówisz...

– O której godzinie zajedzie samochód?

– O dziewiątej.

– Pojadę z dziadkiem aż do bramy wjazdowej).

– A jeśli ci na to nie pozwoli?

– Pomimo to pojadę.

– Rozumiem.

– Być może, że pojadę z nim aż do Londynu, nie wiem tylko, czy ciotka Barbara jedzie.

– Nie, zdaje mi się, że nikt nie jedzie z Jego Lordowską Mością.

– Gdyby ją zabrał, pojechałabym również. wiliamie!

– Słucham.

– Czy wuj Eustachy na pewno zostanie wybrany?

– Naturalnie.

– Czy sądzisz, że będzie on dobrym członkiem Parlamentu?

– Lord Miltoun jest bardzo mądry.

– Naprawdę?

– A jak ty sądzisz?

– Nie wiem, co myśli o tem Karol.

– Spytaj go.

– wiliamie!

– Słucham.

– Ja nie lubię Londynu, lubię być tutaj, i lubię Catton, i bardzo lubię dom, i kocham Pendridy i... lubię Ravensham.

– Zdaje mi się, że Jego Lordowską Mość wstąpi dziś po drodze do Ravensham.

– Ach, więc zobaczy się z prababunią. wiliamie!

– Oto Mrs. Wallace.

Stojąca na progu drzwi kobieta o bladej, łagodnej twarzy, wyrzekła:

– Chodź, Anno.

– Już idę. Hallo, Simons! wchodzący kamerdyner odparł:

– Tak jest, panienko!

– Muszę już iść.

– Bardzo żałujemy, panienko.

– Tak.

Drzwi zatrzasnęły się lekko. W wielkim pokoju zapanowała pracowita cisza, poprzedzająca zwykle czas posiłku. Czterech ludzi, zajętych przy stole, usunęło się nagle na bok. Lord Valleys wszedł do jadalni.

Zbliżył się powoli, czytając. Spokojne oczy przedzielała nieznaczną zmarszczką, twarz miał ogorzałą i rumianą, zarysowaną stanowczo, okoloną szorstkimi włosami i szpakowatym wąsem; twarz człowieka, który zna wartość swego zdania i jest rad z tej świadomości. Wysoki, zgrabny, prosty, z głową z lekka podaną ku tyłowi – sprawiał wrażenie nietyle zarozumiałego, ile zadowolonego w zupełności ze sposobu swego życia i myślenia. Wszystkie jego ruchy cechowała beztraska w stosunku do otoczenia, tak charakterystyczna dla ludzi przywykłych do wystąpień publicznych, ludzi niezależnych materialnie i niezwykłych troszczyć się o to, co inni o nich myślą.

Zajął miejsce przy stole i, nie przerywając czytania, zabrał się do jedzenia. Dopiero po chwili, zauważywszy obecność swej najstarszej córki, która weszła i

usiadła obok, odezwał się:

- Irytuje mnie konieczność wyjazdu w taką pogodę.
- Czy udajesz się na posiedzenie gabinetu, ojczu?
- Tak, ta przeklęta sprawa samolotów.

Ciemne, lękliwe oczy Agaty, osadzone w delikatnej, drobnej twarzyczce, z zajęciem studjowały szczegóły przyborów, ustawionych na kredensie, a służących do zachowywania, temperatury potraw; w myśli rozważała: „Przypuszczam jednak, że są one praktyczniejsze od moich, chciałabym usłyszeć tylko zdanie wiliama, czy woli wielkie półmiski, czy też pojedyncze ogrzewacze”.

Jednocześnie prawie zdołała sformułować pytanie, z którym głośno zwróciła się do ojca; głos jej, zarówno jak ruchy, był zwykle łagodny, lękliwy prawie, wyjąwszy te chwile, kiedy cośkolwiek zagrażało jej mężowi lub dzieciom.

- Czy uważasz, ojczu, możliwość wojny za okoliczność sprzyjającą sprawie Eustachego?

Ojciec nie odpowiedział, witając wchodzącego mężczyznę. Nowoprzybyły, wysoki, przystojny, młody człowiek, o ciemnych włosach i jasnym zarostem, choć nie spokrewniony z lordem Valleys, jednakże przypominał go chwilami, a to przez istniejące między nimi pewne negatywne podobieństwo. Klaudjusz Fresney, vicehrabia Harbinger, posiadał również ów charakterystyczny typ, zwany normandzkim, uwydatniający się głównie w stanowczej regularności rysów i lekko orlim nosie; lecz to, co w starszym mężczyźnie zdawało się wskazywać jedynie na bezkrytyczne uznanie siebie za wzór i regułę życia, w młodszym – sprawiało wrażenie mniej korzystne, a zarazem bardziej rozbrajające; zdawało się, że pokrywa niepewność ustawicznymi drwinami z czegośkolwiek.

Za vicehrabią weszła do jadalni lady Valleys, kobieta tęga i wyniosła; mimo, że syn jej najstarszy liczył już lat trzydzieści, sama przekroczyła ledwie pięćdziesiątkę. Zapewne była kiedyś słynną piękną, dopatrzeć się tego można było z całego zachowania, ruchów i głosu; teraz pozostały już tylko nieznaczące ślady urody na jej przekwitłej twarzy o szaro-niebieskich oczach i zniszczonej cerze. Łączyła w sobie zalety wiernej towarzyszkii życia z cechami kobiety par excellence światowej. Dostatek i częste przebywanie na świeżym powietrzu wyryły piętno na tej postaci, ożywionej niesłabnącą energią i nie pozbawionej pewnej dozy humoru.

Lady Valleys odpowiedziała na uwagę Agaty:

- Ależ naturalnie, moja droga, są to okoliczności wyjątkowo sprzyjające.

Lord Harbinger wtrącił:

- O ile się nie mylę, Brabrook będzie mówił na ten temat. Czy słyszała go pani kiedykolwiek, lady Agato? Panie Przewodniczący, Panowie! Oto powstaje – a wraz ze mną powstają hasła demokratyczne!

Agata odpowiedziała mu tylko uśmiechem, gdyż myślą była gdzie indziej: „Jeśli pozwolę Annie pojechać dzisiaj aż do bramy wjazdowej, jutro skorzysta z tej okazji dla jakiegoś nowego wybryku”. Nie interesowała się sprawami społecznymi, a jej odziedziczona potrzeba rozkazywania znajdowała ujście w rządzeniu domem i gospodarstwem. Przeszło to u niej w rodzaj kultu czy też namiętności, czuła się poniekąd jakby przywódczynią ruchu patriotycznego.

Lord Valleys, skończywszy jeść, powstał:

- Czy masz jakieś polecenie do matki, Gertrudo?
- Nie, dziękuję, pisałam do niej wczoraj,
- Powiedz Miltoun'owi, aby zwrócił uwagę na tego Courtiera, słyszałem, jak przemawiał, uważam, że jest dobry.

Lady Valleys odprowadziła małżonka do drzwi.

- Czy wiesz, Geoffrey'u, że wspominałam matce o tej kobiecie?

- Czy uważałaś to za konieczne?

- Tak. Jestem niespokojna. Matka posiada jednak wpływ na Miltoun'a.

Lord Valleys wzruszył ramionami i, uściskawszy zlekka rękę żony, wyszedł. Chociaż sam trochę zaniepokojony z tego powodu, nie należał jednak do ludzi, którzy potrafią się martwić zgóry. Miał nerwy silne, nerwy, które spotyka się często w tej sferze, wśród ludzi, którzy wiele mają do czynienia z końmi. Przyjmował drobne nieprzyjemności, które mu przyniósł dzień, jako zło konieczne. Swego starszego syna, jeśli chodziło o kobiety, uważał za zagadkę, której rozwiązaniem dawno już przestał się trudzić.

Wszedłszy do wielkiego hallu, przystanął na chwilę, gdyż przypomniał sobie, że nie widział jeszcze tego rana swej ulubionej córki, Barbary.

– Czy lady Barbara jest jeszcze na dole? Usłyszawszy odpowiedź przeczącą, zarzucił płaszcz samochodowy, podany mu przez Simonsa i wyszedł przed wielki biały portyk, ozdobiony herbami Caradoc'ów, kutemi w kamieniu. Głosik małej Anny, jasny i donośny, dobiegł go poprzez stłumione warczenie samochodu:

– Chodź, dziaduniu!

Dla człowieka, który ma lat sześćdziesiąt pięć i ciężaru ich bynajmniej nie czuje na swych barkach, słowo „dziadek” brzmi w uszach niemiło. Lord Valleys skrzywił się pod wąsem i, wskazując ręką małą Annę, rzekł:

– Proszę przysłać po to do bramy wjazdowej. Czysty, cienki głosik protestował:

– Ależ nie, ja sama wrócę.

Samochód ruszył, przerywając dalszą dyskusję.

Lord Valleys w samochodzie – był to smutny obraz tego, jak dalece żywioł opanowany został przez swą niszczycielkę, – wiedzę. Wielki miłośnik wyścigów konych, jeszcze do niedawna noszący zaszczytny tytuł „mistrza polowania”, którego głównym zainteresowaniem w życiu były, prócz polityki, konie, kierowany zdrowym rozsądkiem, musiał nie tylko tolerować, lecz i popierać to, co je głównie rugowało. Jego instynkt samozachowawczy działał podświadomie, zmuszając go do wiary w to, że wiedza wraz z opanowaniem brutalnej natury, może być oddana na usługi władzy, opartej na stałych i skryzalizowanych podstawach. Cały jego nowoczesny sposób życia, korzystanie z wyników najnowszych wynalazków, nadawanie zawrotnego tempa egzystencji, tak, że traciła punkt oparcia i stawała się powierzchowna, jego ruchliwość, kosmopolityzm, rozległe stosunki towarzyskie, którymi się szczycił, wszystko to było w rezultacie zbyt skomplikowane, zbyt zawiłe dla zakresu jego pojmowania i niwelowało wyższość i odrębność, wymaganą od ludzi jego sfery i stanowiska.

Uparty, o umyśle niezbyt subtelnym, choć bezwzględnie nie tępym – jeśli szło o praktyczną stronę życia – dawał się unosić prądowi, trzymając silnie ster i nie spostrzegając, iż znajduje się w wirze odmetu.

Kierowany praktycznym rozsądkiem, wolał łatwiejszą odmianę reakcjonizmu, która, opierając się na własnej wartości umysłowej, czerpie jednocześnie materialne korzyści z wrogiego sobie postępu – aniżeli rzeczywisty reakcjonizm, którego zwolennikiem był jego syn, Miltoun.

Prowadził sam auto, bystry i zrównoważony, z czapką głęboko nasuniętą na oczy. Rozdrażnienie, wywołane niespodzianym posiedzeniem gabinetu podczas odpoczynku świątecznego, bynajmniej nie przeszkadzało mu rozkoszować się równym, szybkim pędem auta poprzez letnie powietrze, którego słodycz unosiła się pod wielkimi drzewami alei. Obok niego, szeroko rozstawiwszy nóżki, siedziała mała Anna. Jazda samochodem była dla niej nowością i pełen zdumienia zachwyt malował się w jej wielkich oczach, szeroko rozwartych ponad wydatnym noskiem. Raz tylko jeden przemówiła, kiedy samochód, przejeżdżając koło bramy, minął małą córeczkę odźwiernego.

– Hallo, Zuziu!

Nie było odpowiedzi, lecz wyraz bladej twarzyczki Zuzi był tak pokorny i pełen uwielbienia, że nawet lord Valleys, który nie był z natury spostrzegawczy, zauważył to z pewną satysfakcją.

„Tak”, pomyślał trochę niekonsekwentnie, „serce narodu jest zdrowe”.

## ROZDZIAŁ II

Ravensham House, położony na stokach parku Richmondskiego, był podmiejską siedzibą rodziny Casterley, od czasu kiedy weszło w zwyczaj posiadanie rezydencji, położonej w obrębie łatwej i bliskiej komunikacji z Westminsterem. W wielkiej, przytykającej do hallu oranżerii, przed grupą japońskich lilij stała lady Casterley, szczupła, niewysoka staruszka, o twarzy koloru kości słoniowej, cienkim nosie i bystrych oczach, do połowy przysłoniętych powiekami, pokrytymi siecią drobnych zmarszczek. Bardzo spokojna, w szarej sukni, z głową okoloną siwymi włosami, robiła wrażenie małej figury, rytej delikatnie w starej stali. W długich, cienkich palcach trzymała list, pisany swobodnym, nieco chaotycznym stylem.

Montkland Court Devon

Kochana Mamo!

Geoffrey wyjeżdża jutro, wstąpi do Ciebie po drodze, o ile mu czas na to pozwoli; ta nowa afera wojenna bardzo go absorbuje. Ja przyjadą do miasta dopiero po wyborach Miltoun'a. Przyznają, że nie mam odwagi zostawić go tutaj samego. Widuje się on ze swoją „nieznajomą” codziennie. Mr. Courtier, ten, który napisał książkę przeciwko wojnie – niezbyt entuzjastyczną, gdy się pomyśli, że pisał ją człowiek, który sam był kiedyś żołnierzem – zamieszkał tu w zajeździe. Pracuje on dla partji radykałów. Zna „nieznajomą” Miltoun'a również i, miejmy nadzieję – dla dobra Miltouna – zna ją aż za dobrze. Jest to człowiek o powierzchowności bardzo pociągającej, ma rude wąsy, jest dość miły i cokolwiek zwarjowany. Bertie przyjechał do nas w tych dniach, muszę go skłonić do rozmowy z Miltoun'em, niech się dowie, jak rzeczy stoją. Można w tym wypadku zawierzyć Bertowi, jest bardzo przebiegły. Muszą przyznać, że „ona” jest bardzo ładna, lecz absolutnie nic o niej nie wiemy, prócz tego, że jest rozwiedziona z mężem. W jaki sposób można się dowiedzieć czegoś bliższego o ludziach? Niezwykła uczciwość Miltoun'a pogarsza jeszcze sytuacją. Powaga młodego pokolenia jest w istocie zadziwiająca. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek w mej młodości zapatrywała się tak serjo na życie.

Lady Casterley opuściła rękę, trzymającą ukoronowany arkusik. Skrzywiła się zlekka, pamiętała jeszcze bardzo dobrze młodość swej córki. Podnosząc znowu list, czytała dalej:

Jestem przekonana, że zarówno Geoffrey, jak i ja, czujemy się o wiele młodszy od Miltoun'a i Agaty, chociaż są oni naszymi dziećmi. Szczęściem, u Berta i Barbary nie odczuwa się tak tego. Groźba wojny wywarła doskonały skutek na sprawą kandydatury Miltoun'a. Claude Harbinger jest u nas również. Pracuje dla Miltoun'a, lecz w rzeczywistości mam wrażenie, że przyjechał tu dla Barbary.' Jest to dla mnie trochę przykre, jeśli się weźmie pod uwagę, że nie ma ona jeszcze nawet lat dwudziestu, lecz ze względu na jej wyjątkową urodę, należało się takiego obrotu rzeczy spodziewać, a Claude jednakże jest pod każdym względem wzorowy. Mówią o nim teraz bardzo wiele, wysuwa się on na czoło partji młodych torysów.

Lady Casterley ponownie opuściła list, nadsłuchując. Przeciągły, stłumiony odgłos jakiejś odległej wrzawy przeniknął do oranżerji, wibrując między bladymi płatkami lilij i strząsając z nich krótkie, delikatne fale woni. Lady Casterley weszła do hallu, gdzie natknęła się na starszego człowieka, o wybladłej twarzy, z długimi siwymi faworytami.

– Co to za hałas, Cliftonie?

– Pochód socjalistów, jaśnie pani, w drodze do Putney, gdzie zamierzają urządzić demonstrację. Ludność szydzi i gwizdże, zatrzymano ich akurat tu, przed bramą.

– Czy przemawiają?

– Mówią jakieś bzdurstwa, jaśnie pani.

– Pójdę i posłucham, podaj mi moją czarną laskę.

Pod ciemnymi, płasko-rozgałęzionymi cedrami, które wznosiły się jak hebanowe pagody po obu stronach podjazdu, wisiała nisko wielka, sina chmura, rozświetlona złowrogo na horyzoncie jedynym jasnym promieniem. Pod tym pochmurnym baldachimem skupiła się na drodze mała grupka zakurzonych i poczochranych mężczyzn i kobiet, otaczając i zachęcając oklaskami wysokiego, czarno odzianego mówcę. Przyglądał się temu zgromadzeniu niewielki tłum, złożony z mężczyzn i wyrostków, akompaniując przemowie okrzykami i szyderstwami. Lady Casterley i jej majordomo stanęli o kilka kroków poza żelaznymi wrotami. Drobna, szara figurka była bardziej wyzywająca w swym spokoju, niż wszystkie gesty i obelgi tłumy. Oczy jej jedynie poruszały się pod wpółopuszczonymi powiekami, prawą ręką mocno ścisnęła rączkę laski.

Głos mówcy wznosił się silnym protestem przeciwko wyzyskowi „ludu”, to znów zniżał się nieco, komentując ironicznie idee chrześcijaństwa. Domagał się gwałtownie zwolnienia z ciężaru bezsensownych podatków na armję, groził, iż niezadługo lud ujmie sprawę w swoje ręce.

Lady Casterley odwróciła głowę.

– Mówi głupstwa, Cliftonie. Deszcz zacznie zaraz padać, wróć do domu. Pod kamiennym portykiem przystanęła. Sina chmura załamała się nagle, gwałtowny deszcz zalał rozbiegający się szybko tłum. Słaby uśmiech okolił wargi lady Casterley,  
– Wyjdzie im to na korzyść takie lekkie ochłodzenie zapału. Zmkniesz, Cliftonie, pospiesz się. Lord Valleys będzie na obiedzie. Przygotuj mu pokój do przebrania. Przyjedzie samochodem z Monkland.

### ROZDZIAŁ III

W bardzo wysokim, dość pustym pokoju, wykładanym białą boazerją, lord Valleys z szacunkiem witał swą teściową.

– Jazda trwała zaledwie dziesięć godzin, niezła szybkość, prawda?  
– Jestem bardzo rada, że przyjechałeś. Kiedy jest termin wyborów Miltoun'a?  
– Dwudziestego dziewiątego.  
– Szkoda, nie powinien pozostawać w Monkland, wówczas, kiedy owa nieznajoma tam się znajduje.  
– Ach, tak, słyszała mama o niej? Lady Casterley odpowiedziała surowo:  
– Jesteś zbyt pobłażliwy, Geoffrey'u. Lord Valleys uśmiechnął się.  
– Ta cała afera wojenna – rzekł po chwili, – zaczyna już mi się dawać we znaki. Nie mogę się zupełnie zorientować, jaki jest nastrój wśród ludu. Lady Casterley powstała.

– Niema żadnego. Jeśli wojna wybuchnie, wtedy nastrój będzie taki, jaki być powinien. Tak jest zawsze. Podaj mi ramię, Geoffrey'u. Czy jesteś głodny? Poglądy lorda Valleysa na wojnę były zapatrywaniami człowieka, który od czasów kiedy doszedł do okresu samodzielnego myślenia, zawsze obracał się pośród ludzi, kierujących losami państwa. Podobnie jak lilje w wielkiej oranżerii, nie mogą czuć zmysłami kwiatów, rosnących w ogrodzie, lord Valleys, opancerzony przesądami i zwyczajami, właściwymi swej sferze, stykał się jednak z ogółem – niemniej niż się tego należało spodziewać. W istocie, w niektórych dziedzinach, jako człowiek praktyczny i rzeczowy, był w jawnym kontakcie z opinią przeciętnego obywatela. Był zupełnie szczery, twierdząc, że zna lepiej potrzeby ludu od tych, którzy wiele na ten temat gardłują, i bezwzględnie miał rację, gdyż usposobieniem był bliższy ludowi, niż jego prowodyrzy, – choć napewno nie czułby się zadowolony, gdyby ktoś zwrócił mu na to uwagę. Życie obarczyło naturę obowiązkiem politycznej i światowej przebiegłości, której pierwotna siła tkwiła w praktyczności i zupełnym braku wyobraźni. W jego interesie leżało działanie, działanie niezbyt krańcowe, nie wprowadzające przemocą idei w czyn. Był wolnomyślny tam, gdzie nic nie godziło w puklerz form towarzyskich i obyczajowych, – był liberalnym dziedzicem, oczywiście w granicach, niezagrażających jego własnym interesom. Popierał sztukę tak długo, dopóki rozwijała się ona w kierunku zgóry przewidzianym. Musiał mieć lekką rękę, pewne oczy, żelazne nerwy i te doskonałe maniere, które właśnie nie są manierą. Z natury był łatwym w pożyciu małżonkiem, pobłażliwym ojcem, sumiennym i prawym politykiem, oddawał się chętnie pracy, przyjemnościom i rozrywkom na świeżem powietrzu. Adorował i kochał żonę i nigdy nie żałował, że się ożenił. Prawdopodobnie nie żałował w życiu niczego, prócz może tego, że jeszcze nigdy nie wygrał wyścigu Derby, lub że nie udało mu się doprowadzić hodowli pewnej odmiany centkowanych wyżłów do zupełnie rasowej doskonałości. Teściową swoją szanował tak, jak się szanuje zasadę.

Z postaci tej drobnej staruszki biła niezwykła siła skupionej stanowczości, dziedzictwo i pewność tych, których znaczenia nic nigdy nie zachwiało. Przywileje i ustalona niezależność jej przodków, wypływająca z rozkazywania i rządzenia, zniweczyła zdolności przewidywania, że autorytet ich może być kiedyś zachwiany. Jej pewność siebie nie była nabyta, przeciwnie, była to stała, nieodłączna cecha czynnego, dominującego usposobienia. Wyposażona w doskonałą, zwykłą zresztą w jej sferze, znajomość życia społecznego, zbrojna w kulturę, odpowiadającą warstwie przodującej, przesiąknięta niezmiennymi ideami, niepodlegająca nikomu i niczemu, chyba jedynie własnemu zwyczajowi rządzenia, – posiadała umysł groźny, jak miecze obosieczne, którymi władali jej przodkowie Fitz – Haroldowie na polach bitew pod Agrincourt i Poitiers. Umysł, który instynktownie odrzucał możliwość poznania swej wewnętrznej istoty,

rodzącą się z bezsensownych praktyk, kontemplacyj, rozumienia i przenikania. Jeśli lord Valleys był jakby szkieletem maszyny arystokratycznej, lady Casterley stanowiła stalową sprężynę w jej wnętrzu. Cały jej sposób życia był niewyszukany i prosty, przyzwyczajenia skromne i oszczędne; wstawała wcześnie, zajęta ustawicznie od rana do wieczora była tak dobrze zakonserwowana, iż przy swych siedemdziesięciu pięciu latach mogła się równać z niejedną pięćdziesięcioletnią kobietą. Posiadała tylko jedną słabą stronę-- stanowiącą jej siłę. Było to najzupełniejsze zaślepienie, jeśli chodziło o określenie miary charakteru i znaczenia jej stanowiska we wszechświecie. Była symbolem, – siłą.

Wspaniale harmonizowała z wielkim pokojem, w którym obiadowali, pokojem o szarych ścianach, pokrytych fryzem, malowanym w stylu Fragonarda, zdobnym w nimfy i róże, już nieco poczerniałe, jak również z umeblowaniem, sprawiającem w tych czasach wrażenie przeżytku. Na stołach nie było kwiatów, prócz kilku lilij w starej, srebrnej wazie. Na ścianie, ponad wielką konsolą, wisiał portret zmarłego lorda Casterley.

Staruszka przemówiła.

– Przypuszczam, że program działania Milton'a nie podlega żadnym wpływom.

– Otóż w tym właśnie sęk: cierpi on na przerost zasad. Chciałbym tylko, aby starał się unikać tego w swych przemówieniach.

– Pozostaw mu swobodę pod tym względem i postarajcie się oddalić go od tej kobiety, jak tylko wybory zostaną ukończone. Jak ona się właściwie nazywa?

– Jakaś tam Mrs. Lees Noel.

– Jak długo mieszka w Monkland?

– Około roku, zdaje mi się.

– Czy nic bliższego nie wiesz o niej? Lord Valleys wrzucił ramionami.

– Tak – rzekła lady Casterley, – naturalnie, pozwalasz, by ta sprawa przyjęła niepożądany obrót. Pojadę sama do was, przypuszczam, że nie uczynię Gertrudzie kłopotu. Jaki jest stosunek Courtiera do tej „pani”?

Lord Valleys uśmiechnął się. W uśmiechu tym zawierała się cała jego układna i pobłażliwa filozofja. „Nie należę do wścibskich”, zdawał się mówić. Lady Casterley zacisnęła usta.

– Courtier to narwaniec – rzekła, – czytałam jego książkę o wojnie, – przesiąknięta jest ideami podżegającymi. Rezultaty tego widziałam już za progiem mojej własnej bramy. Tłum agitujący przeciw wojnie.

Lord Valleys stłumił ziewnięcie.

– Doprawdy, nie przypuszczałem, że Courtier ma jakieśkolwiek wpływy.

– To niebezpieczny człowiek; – większość idealistów jest nieszkodliwa, jego książka natomiast jest bardzo mądra.

– Chciałbym, na miłość Boga, żeby się raz skończyły te straszaki wojenne, ośmieszają tylko oba państwa – zauważył lord Valleys.

Lady Casterley podniosła szklanekę, napełnioną krwisto-czerwonem winem.

– Wojna nas uratuje – powiedziała.

– Wojna to nie żarty.

– Zapoczątkuje ona lepszy porządek rzeczy.

– Tak sądzisz?

– Jako naród uzyskamy znów pierwszeństwo, a demokracja pozostanie wstecz o pół wieku.

Lord Valleys, uformowawszy na obrusie trzy małe górki soli, przerwał, aby je policzyć, następnie, unosząc zlekka brwi, jakby z powątpiewaniem w to, co miał zamiar wyrzec, szepnął:

– Powiedziałbym raczej, że wszyscy jesteśmy dzisiaj demokratami... O co idzie, Cliftonie?

– Szofer zapytuje, o której godzinie pan rozkaże mu zajechać?

– Natychmiast po obiedzie.

W dwadzieścia minut później skręcał już przez żelazne wrota na drogę, prowadzącą do Londynu. Ściemniało się, na niebie gromadziły się chmury, przepływając tu i tam z nieskończoną bezcelowością. Żaden zamiar nie zdawał się powodować ich ruchem, spotykały się na firmamencie, jak stado owiec lub jak sroki-olbrzymy, krzyżując i przecinając swój lot. Deszcz wisiał w powietrzu. Samochód nie wznosił za sobą kurzu. Mknął szybko, wyszukując lampami drogę. Na moście Putney zatrzymany został przez sznur platform. Lord Valleys spoglądał w obie strony. W rzece odbijały się światła z domów,

zgrupowanych po obu jej brzegach, lampy przystani, latarnie łodzi. Białawe, kręte cielsko tego wielkiego Tworu – w wieczystym pędzie ku morzu – nie wzbudzało w nim żadnych refleksyj. Tamizę znał przed laty, kiedy brał udział w Ministerstwie Handlu i Przemysłu, wiedział dobrze jaką jest istotnie, że jest niewypowiedzianie brudna i zwięzająca się w tem miejscu, gdzie winna być najszerszą. Jednakże po chwili, gdy zapalał cygaro, nawiedził go dziwny nastrój, – jak gdyby znajdował się w obecności bliskiej mu kobiety.

„Mam nadzieję w Bogu, że z tych pogróżek wojennych nie wyniknie nic poważnego”. Auto pomknęło dalej drogą, rojącą się od pojazdów i ludzi, w kierunku wytwornego centrum Londynu. Powystawiane w kioskach przed niektórymi sklepami wieczorne gazety nie zawierały jednak pocieszających wiadomości.

„Sytuacja wikła się”.

„Nowe szczegóły”.

„Możliwość groźnych komplikacyj”.

Przed każdym kioskiem można było zauważyć niewielki zamęt wśród tłumu przechodniów, wywołany przez osoby, które, po przeczytaniu nowin, torowały sobie przejście, aby znów iść w dalszą drogę. Hrabia Valleys zastanawiał się, co też oni sobie wyobrażają. Co kiełkowało w tych głowach, zwróconych ku kioskowi? Czy wogóle myśleli ci wszyscy mężczyźni i kobiety na ulicy? Jak odnosili się do grożącego im kataklizmu? Apatyczne i tępe twarze nie wyrażały nic, żadnego czynnego pragnienia, żadnego entuzjazmu, ani nawet przerażenia. Biedacy! wobec spraw tych byli tak bezsilni, jak mrówki, chcące zapobiec zniszczeniu swego mrowiska przez przechodzącego urwisa. Prawdą jest bezwątpienia, iż naród niewiele ma do powiedzenia w kwestji wojny. Przyszło mu na myśl zdanie, wyjęte z pewnego dziennika radykalnego, który czytał jako człowiek bezpartyjny: „Nieświadomy faktów, zahypnotyzowany hasłami patryjotycznymi, opanowany instynktem tłumu, oraz wrodzonym uprzedzeniem do cudzoziemców, bezbronny przez swą cierpliwość, stoicyzm, wiarę i zaufanie do stojących wyżej od niego, wreszcie przez swój snobizm, wzajemną nieufność, bez troskę o jutro i brak uspołecznienia – jakże bezsilny i godny pożałowania jest człowiek ulicy w obliczu wojny!” Dziennik, ten, aczkolwiek mądry, wydawał mu się zawsze niemożliwie agitacyjny.

Było bardzo wątpliwe, czy będzie mógł w tym roku udać się do Ascott. Myślą odbiegł w tej chwili do swej obiecującej dwuletniej kłaczki Cassety, poczem, jakby zawstydzony, gwałtownie skierował uwagę na sprawy marynarki. Wątpił, czy jest ona dostatecznie przygotowana na wypadki nieoczekiwane. On sam zajmował w rządzie stanowisko mniej określone, jeden z tych tytułarnych urzędów, potrzebnych w celu przygotowania do gabinetu wypróbowanych osobników, dla których czasowo nie można znaleźć bardziej odpowiedzialnych funkcji. Od spraw marynarki myśli jego powędrowały znów do matki żony. Wspaniała staruszka! Jakże doskonałym politykiem byłaby, będąc mężczyzną. Zbyt reakcyjna! Co za djabelnie wyzywające stanowisko zajęła wobec Mrs. Lees Noel! Z uczuciem zadowolenia prawdziwego znawcy przypominał sobie szczegóły twarzy i sylwetki tej damy, którą widział dzisiejszego ranka, przejeżdżając obok jej domu. Tajemnicza, czy też nie, była z pewnością wysoce interesująca. Zgrabna główka z ciemnymi włosami, z przedziałem pośrodku, zachwycająca figura! Urok tajemniczości ją otacza! Bezwątpienia jakaś sprawa z przeszłości, lecz to nie powinno go interesować! Zawsze gorąco współczuje kobietom tego rodzaju! Oddział żołnierzy rezerwy, wracających z defilady, powstrzymał na chwilę pęd samochodu. Lord Valleys wychylił się, przyglądając się im takim samym krytycznym, bystrem i skupionym spojrzeniem, jakimby spoglądał na sfore psów. Umysł jego nabrał znów sprężystości. Chaotyczne rozmyślenia i wątpliwości pierzchły. Zuchy! Napewno potrafią sprostać swym zadaniom. Ich twarze, ogorzałe od całodziennego przebywania na powietrzu, napiętnowane były biernością lub nawpół zaczepną pewnością siebie. Napewno nie zaprzatali sobie głowy jakiemis

oderwanymi wątpliwościami, ani też wizjami okropności wojny.

Ktoś wzniósł okrzyk na ich cześć. Lord Valleys ujrzał wokół siebie wznoszące się i opadające kapelusze i usłyszał okrzyki, które zrazu ostre i wysokie, przeszły potem w ochrypłą wrzawę i nagle umilkły. „Zdają się być bardzo rozentuzjasmowani” – pomyślał. „Niewiele im trzeba. A jednak jest duch wojowniczy w narodzie”. Znowu przeniknął go pewien rodzaj zadowolenia.

Kiedy przeszedł ostatni żołnierz, samochód zaczął zwolna torować sobie drogę



pomiędzy tłoczącą się za oddziałem ciżbą, złożoną z ludzi różnego wieku, wyrostków, kobiet i dziewcząt; patrzyli oni na lorda Valleys obojętnie, jak gdyby życie ich było zbyt odrębne, by pozwolić im na zainteresowanie się tym człowiekiem, który mijał ich, rozparty wygodnie w samochodzie.

#### ROZDZIAŁ IV

W tym samym czasie w Monkland, w małej, bielonej bawialni białego, strzechą krytego domku, po obu stronach kominka siedziało, rozmawiając, dwóch mężczyzn. W pobliżu wpiętych na niskim, wygodnym fotelu, czarnooka kobieta zabawiała się studjowaniem swych drobnych, delikatnych paluszków, splatając je lub wyciągając pod światło ognia. Od czasu do czasu usuwało się jakieś polano, ukazując rozżarzoną powierzchnię. W pokoju unosiło się miłe ciepło, zdające się promieniować z białych ścian, przesiąkniętych światłem ognia i lampy. Cmy, przylatujące z ciemnego ogrodu, wibrowały jak małe, srebrne bączki ponad purpurowymi różami, umieszczonymi w jaskrawo-zielonej wazie. W pokoju unosił się zapach – zwykły w starych, krytych strzechą domkach, złożony z dymu polan, kwiatów i głogu.

Po lewej stronie kominka siedział mężczyzna lat około czterdziestu, wzrostu więcej niż średniego, prosty, krzepki, żywy, o jasnych oczach i twarzy krwistej, – która płonęła przy drobnym nawet rozdrażnieniu. Włosy blond wpadały w odcień rudawy, zaś jego długie, ogniste wąsy, zwisające aż do podbródka, jak u Don Kichota, zdawały się chwilami jeżyć.

Na prawo siedzący człowiek dobiegał trzydziestki, był bardzo wysoki, szczupły i muskularny. Siedział skulony w niskim fotelu, rękami otoczywszy kolana. Ledwie dostrzegalny, smętny uśmiech opromieniał jego chudą twarz, o suchych, pergaminowych, gładko wygolonych policzkach i głębokich, żywych oczach – twarz, która bezwzględnie kryła jakieś specyficzne piękno.

Ci dwaj ludzie, tak niezwykle różni, spoglądali na siebie jak dwa psy sąsiadów, które długi czas trzymały się od siebie zdaleka i nagle spotkały się w miejscu, gdzie niemożliwością było stoczyć walkę. Kobieta pilnowała ich – chociaż pani jednego, lecz jako miłośniczka psów, – przez proste amatorstwo, zwykła była głaskać i pieścić drugiego.

– A więc tak, Mr. Courtier – przemówił młody człowiek suchym i ironicznym głosem, maskując uśmiechem płomienny wyraz oczu, – wszystko, co pan mówi, stosuje się jedynie do obrony tak zwanego ducha liberalizmu, a ten duch – wybaczy pan moją szczerość – będąc jedynie wytworem filozofji i sztuki, znika w tym momencie, kiedy w grę wchodzi praktyczna strona życia.

Rudowłosa zaśmiał się dziwnym śmiechem, – jednocześnie wesołym i sardonicznym.

– Dobrze powiedziane – odparł, – i ani mi w głowie zaprzeczyć, lecz pan, lordzie Miltoun'ie, godzący politykę z hasłami kastowości i autorytetu, stoi – jeśli chodzi o praktyczną stronę życia – na tym samym gruncie, co każdy, głoszący ideę liberalizmu.

– Nie zgadzam się z tem.

– Możesz się godzić, lub nie godzić. Zapatrywania pańskie na sprawy społeczne przypominają zapatrywania kościoła na śluby i rozwody, tak odległe od realizmu życia, jak stanowisko wyznawcy wolnej miłości – i równie niewykonalne. Klęska pańskich zapatrywań leży w nich samych. Są już za mało żywotne i zbyt dalekie od życia, by mógł pan „rozumieć”, a jeśli nie można rozumieć – nie można rządzić. Z równym powodzeniem wystarczałoby spokojnie założyć ręce, jak z takimi pojęciami ubiegać się o stanowisko polityka.

– Nadal musimy się z tem zgodzić, że zdania nasze są zasadniczo rozbieżne.

– Być może, iż wogóle za wiele od pana żądam, ostatecznie jest pan tylko arystokratą.

– Nie rozumiem pana, Mr. Courtier. Ciemnooka kobieta poruszyła się niespokojnie, ręce jej wzniosły się, jakby na znak przestrogi. Starszy mężczyzna powstał natychmiast i przemówił zmienionym, pokornym głosem:

– Rozmowa nasza nuży Mrs. Noel. Dowidzenia, Audrey. Najwyższy czas, żebym poszedł.

Stojąc na tle wielkiego francuskiego okna, rzucił na pożegnanie w stronę kominka:

– Rozumiałem przez to, lordzie Miltoun'ie, iż sfera wasza jest najbardziej wyrachowana i najbardziej oschła w całym państwie i dziwiłbym się, gdyby te

cechy nie zaoszczędziły jej gubienia się w marzeniach. Dobranoc. Wyskoczył przez niski parapet na trawnik i zniknął w ciemnościach. Młody człowiek siedział nieporuszony. Blask ognia padał na jego twarz, nadając jakiś natchniony wyraz ustom i oczom. Powiedział nagle:

– Czy pani wierzy w to, Mrs. Noel?

Zamiast odpowiedzi Audrey Noel uśmiechnęła się tylko i podeszła do okna.

– Spójrz na tę żabkę, przychodzi tu każdego wieczora.

Na kamiennej płycie werandy, w promieniu światła, padającego od lampy, siedziała mała, złotawa żabka. Kiedy Miltoun podeszedł bliżej, zakółysała się i przestraszona uciekła.

– Jaki spokój panuje w ogrodzie pani – rzekł młody człowiek.

Ujął jej rękę bardzo delikatnie i przycisnął do ust, poczem zniknął w ciemnościach w ślad za swym przeciwnikiem.

W istocie spokój i cisza unosiły się w ogrodzie. Noc zdawała się nasłuchiwać, czy wszystkie lampy zgasły, czy wszystkie serca ułożyły się do spoczynku.

Nasłuchiwała, zapalając małe, białe gwiazdki dla każdego drzewka, dla każdej strzechy, dla drzemiących, znużonych kwiatów, – jak matka czuwa nad śpiącym dzieckiem pochylona, licząc miłośnie każde westchnienie, każdy włos na jego głowce. Wszelki spór i dyskusja zdawały się być dziecinną paplaniną wobec tego uśmiechu nocy.

Oblicze kobiety, stojącej przy oknie, podobne było do oblicza słodkiej, ciepłej nocy. Było ono tkliwe, pełne harmonji, nie surowej i chłodnej, lecz żywej i promiennej, – która zdawała się być siedliskiem wzniosłych uczuć. W ogrodzie, całym aksamitno-szarym z ciemnymi cieniami, padającymi od drzew, jedynie białe kwiaty czuwały i przyglądały się jej uważnie. Drzewa stały ciemne i ciche. Nawet ptaki nocne nie odzywały się. Tylko mały strumyk w głębi szemrał głosem, który nabierał mocy wtedy, kiedy głos dnia zamierał. Audrey Noel podlegała łatwo nastrojom, odporność nie leżała w jej naturze, lecz dzisiaj nie udzielił jej się spokój, przenikający wszystko. Ręce jej drżały, policzki płonęły, pierś falowała, a oddech dobywał się gwałtownie z lekko rozchylnych ust.

ROZDZIAŁ V

Eustachy Caradoc, wicehrabia Miltoun, wiódł bardzo osamotnione życie aż do czasu, kiedy począł sobie zdawać sprawę z różnych właściwości swej egzystencji. Będąc dzieckiem, nie posiadał bliższych przyjaciół, za wyjątkiem Cliftona, majordomusa swej babki. Jego bony, guwernantki i wychowawcy przyznawali, iż nie są w stanie go zrozumieć, uważali, iż jest zbyt poważny na swój wiek, przerażał ich nawet lekko, okazując zdolność do takiej krańcowości, jaką jest milczące znoszenie cierpień. Wczesne dzieciństwo przepędził prawie całkowicie w Ravensham, będąc zawsze najukochańszym wnukiem lady Casterley, która odnajdowała w nim tę celową wyniosłość, której brak było w usposobieniu jej córki. Lecz tylko przed Cliftonem, tym poważnym, pięćdziesięcioletnim człowiekiem, o długich, białych faworytach – dawał malec upust swym zwierzeniom. – Tobie to mówię, Cliftonie – przyznawał się, siedząc na poręczu wielkiego fotela w pokoju Cliftona, lub brodząc pomiędzy krzakami malin, – bo jesteś moim przyjacielem.

A Clifton z głową trochę przechyloną na bok, z wyrazem poważnego zainteresowania temi „przyjacielskimi” zwierzeniami, o charakterze wprawiającym go często w zakłopotanie, odpowiadał od czasu do czasu „Naturalnie, milordzie” – a częściej jeszcze „Naturalnie, mój drogi”. Było w ich przyjaźni coś ładnego i godnego, żaden z nich nie przekraczał granicy należnego drugiemu szacunku. Obaj interesowali się gołębiami i częstokroć długo przypatrywali się im z zadziwiającą uwagą. Z biegiem czasu, Eustachy, stosownie do tradycji przyjętej w jego rodzinie, wstąpił do Harrow. Pozostawał tam pięć lat. Był jednym z owych chłopców o niezbyt silnych pięściach i nogach, których często można widzieć włóczących się samotnie do swych odosobnionych kryjówek, z jednym ramieniem zlekka podniesionem od ciągłego zwyczaju noszenia czegoś pod pachą. Od przezwiska „lirus” chronił go jego tytuł, najzupełniejszy brak pedanterji, obojętność na to, co o nim myślą, oraz ostry język, którego doświadczyć nikt nie miał ochoty. Pozostał jednak zawsze brzydkim kaczątkiem, które nigdy nie potrafiło pluskać się należycie w zielonych sadzawkach tradycji, związanych ze szkołą

Publiczną. W grach sportowych odznaczał się taką niedołążnością, że towarzysze jego, dla świętego spokoju, pozostawiali mu zupełną swobodę. Wyjątek czynili tylko jeśli chodziło o palanta, gdyż w tym wykazywał niezwykłą biegłość, głównie dzięki jakiejś dziwnej giętkości członków. Znany był również ze swych śmiałych eksperymentów chemicznych, których rezultatem były różne substancje, przechowywane ukradkiem, aż do czasu uzyskania specjalnego pozwolenia od gospodarza klasowego, którego tenże udzielił, w myśl zasady, że jeśli w pokoju ma się unosić zapach nieprzyjemny, niechaj już będzie wiadomo, z czego pochodzi. Zaprzyjaźnił się z niewieloma towarzyszami, lecz przyjaźń ta pozostała trwałą. Jego ćwiczenia łacińskie były niedołążne, zaś greckie tak marne, iż niemałe zdziwienie wywołała okazana pod koniec studjów zupełnie przyzwoita umiejętność pisania i władania ojczystym językiem. Opuszczał szkołę bez żalu. Lecz kiedy z okna pociągu ujrzał po raz ostatni pagórek ze starą śpiczastą wieżą, ścisnęło go coś za gardło, przełknął gwałtownie kilka razy i, zaszywając się głęboko w kąt wagonu, przyknał powieki.

W Oxfordzie było mu lepiej, lecz tam również był stosunkowo samotny, pozostając tak często, jak tylko mógł, w swem mieszkaniu poza uniwersytetem, wybierając zwykle dla siebie pomieszczenia odległe z widokiem na ogrody i szanie miasta.

Za czasów oxfordzkich po raz pierwszy zrodziła się w nim namiętność do ćwiczenia woli, której siła tak bardzo miała go cechować w przyszłości. Zabrał się do wioślarstwa i, choć tego rodzaju przepędzanie czasu nie leżało zupełnie w jego naturze, wywalczył sobie jednak miejsce w regatach swej korporacji. Pod koniec zawodów schodził zazwyczaj ze swego stanowiska w stanie najzupełniejszego wyczerpania, dzięki temu, iż ostatni kwadrans wyścigu wiosłował tylko niesłychanym natężeniem woli. Taka sama żądza ćwiczenia się w karność kierowała nim przy wyborze nauk. Zajął się literaturą klasyczną, która – przy jego znikomej umiejętności greki i łaciny, jak najmniej mu odpowiadała. Dzięki nadludzkiej pracy, otrzymał ocenę zadawalną, prócz tego uzyskał najwyższe odznaczenie wszechnicy za prace z literatury angielskiej. W kołach towarzyskich, ześrodkowujących życie uniwersyteckie, wiadano o nim niewiele. Przez cały czas swego pobytu ani razu nie brał udziału w zebraniach koleżeńskich. Nie polował, nie mówił nigdy o kobietach i nikt również nie wspominał kobiet w jego obecności. Czasem jednak nawiedzały go namiętności, które często nawiedzają ascetów, kiedy całe istnienie zdaje się chłonać i pożerać ogień, płonący w dzień i w nocy, przemijający szczęśliwie, niewiadomo jak i kiedy, jak nagle zdmuchnięta świeca. Chociaż nietowarzyski w całym tego słowa znaczeniu, nie był jednak pozbawiony kompanji podczas owych dni oxfordzkich. Znał wielu, zarówno profesorów jak i studentów. Jego długie spacerki bez określonego kierunku srogo dawały się we znaki tym, którzy nie byli amatorami tak nudnego spędzania czasu, jakiem jest przechadzka w celach rozmowy. W okolicy od Abingdon aż do Bablock-Hythe znano go dobrze, lecz on nie znał zupełnie okolicy. Cenił go również Senat, gdzie już na początku wyrobił sobie markę, podczas debaty o cenzurze literackiej. Bronił wówczas swych poglądów z taką zaciętością, wytrwałością i młodzieńczym zapałem, że napewno odniósłby zwycięstwo, gdyby nie pewien Irlandczyk, który przerwał mu, wskazując na niebezpieczeństwo, grożące bibliji, na który to zarzut odpowiedział Miltoun: „Lepiej jest ryzykować, niż nie mieć nic do zaryzykowania”. Od tej chwili ustaliło się o nim zdanie.

W Oxfordzie pozostawał cztery lata. Opuszczając uniwersytet, uczuwał dziwny rodzaj niezdecydowania. Ostateczny sąd wszechnicy o tym wychowanku zawierał się w mniemaniu: „Eustachy Miltoun! Ach, dziwak! Lecz wypłynie kiedyś, bezwątpienia wypłynie”,

w tym samym czasie odbył z ojcem dłuższą konferencję, która utrwaliła ostatecznie zdanie, jakie mieli nawzajem o sobie. Rozmowa ta toczyła się w wielkiej czytelni Monkland Court pewnego listopadowego popołudnia.

Płomienie ośmiu świec, umieszczonych w wysmukłych świecznikach, po cztery z każdej strony rzeźbionego, kamiennego kominka, oświecały pokój. Drżący blask zakreślał niewielki krąg wśród ciemnej przestrzeni komnaty, której ściany, wykładane czarną dębową boazerją, wypełnione były książkami. Cierpki zapach skóry i suszonych płatków różanych zdawał się przenikać do głębi, jakgdyby tchnienie przeszłości. Ponad wielkim kominkiem wisiał malowany przez

nieznanego malarza portret kardynała Caradoc'a, męczennika za wiarę w XVI stuleciu. Promienie oświetlały jedną stronę jego gładko wygolonej twarzy; asceta i męczennik z leciutkim uśmieszkiem, opromieniającym jego usta i głębokie oczy, górował nad niebieskawym płomieniem paleniska.

Zarówno ojciec jak i syn nie mogli się zdecydować na rozpoczęcie rozmowy. Obaj nie odnosili zupełnie wrażenia, iż są sobie bliscy. W istocie nie widzieli się od dłuższego czasu, a i dawniej widywali się bardzo rzadko. Lord Valleys odezwał się pierwszy:

– A więc, mój drogi, co zamierzasz zrobić teraz? Przypuszczam, że uda nam się zapewnić ci tutejszą kandydaturę, o ile wogóle masz zamiar kandydować.

– Dziękuję bardzo, tymczasem jeszcze nie myślę o tem.

Poprzez przezroczystą chmurkę dymu cygara lord Valleys przyglądał się bacznie wysokiej postaci, zagłębionej w stojącym naprzeciw niego fotelu.

– Dlaczego nie? – spytał. – Nigdy nie jest za wcześnie, oczywiście, o ile nie masz ochoty przetrzeć się pierwej po świecie.

– Zanim się stanę „światowcem”, czy tak? Lord Valleys zaśmiał się z przymusem.

– Jeśli chodzi o sprawy polityczne, zdaje mi się, że nie możesz w tem nabrać żadnego doświadczenia, o ile nie zajmiesz się niemi bezpośrednio – rzekł. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery.

– Wyglądasz starzej – nieznaczna zmarszczka niezadowolenia ukazała mu się między brwiami. Czy mu się tylko zdawało, że lekki uśmieszek błądzi koło ust Miltoun'a?!

– Urobiłem sobie jakieś dziwne pojęcie – rzekł ten ostatni – iż przedewszystkiem należy poznać dokładnie warunki. Mam zamiar poświęcić na to najmniej pięć lat.

Lord Valleys podniósł brwi.

– Strata czasu – rzekł. – Daleko więcej skorzystałbyś, wstępując natychmiast do parlamentu. Wyobrażasz sobie te sprawy zbyt poważnie.

– Bezwątpienia.

Przez dobrą minutę lord Valleys nie odpowiadał, czuł się oszołomiony.

Uspokoiwszy się trochę, rzekł:

– A więc dobrze, czyń jak uważasz.

Przygotowanie Miltoun'a do zawodu polityka odbywało się wielostronnie: praktykował w dobrach swego ojca, w Izbie Adwokackiej, wyjeżdżał do Niemiec, do Ameryki, do kolonij brytyjskich, pracował dwukrotnie przy wyborach, i dwukrotnie rozczarował się, sądząc, że ma do czynienia z wyborcami, na których stałości przekonań można polegać. Czytał bardzo wiele, powoli, lecz z sumienną gruntownością:

poezję, historję, dzieła filozoficzne, religijne i socjalne. Nie lubił natomiast beletrystyki, a w szczególności przekładów. Pragnąc usilnie być bezstronnym i obiektywnym, karmił się jednocześnie tem tylko, co odpowiadało jego naturze, odrzucając nieświadomie wszystko, co zagrażało nastrojom jego indywidualności. Wszystko co czytał, w rzeczywistości przyczyniało się jedynie do umocnienia głębokich przekonań, które tkwiły w jego usposobieniu. Gardząc snobistycznym imponowaniem bogactwem i sferą, posiadał jednocześnie – skromną zrazu, lecz głęboką i stale wzrastającą – świadomość swej zdolności przodowania, oraz duchowej wyższości nad tymi, którym chciał stać się pożyteczny. W istocie nie było w nim ani śladu faryzeuszostwa, był prosty i szczery, lecz jego oczy, gesty, całe zachowanie wskazywały na jakieś ukryte źródło niezachwianej pewności, na niedosięgalną głębię, gdzie nie przenikały żadne przebłyski wątpienia. Nie był pozbawiony dowcipu, lecz nie posiadał tego rodzaju samokrytyki, która dopatruje się śmieszności, tkwiących w nas samych,

Miltoun widział świat i wszystkie rzeczy na nim się znajdujące, w formie spirali, nawet wtedy, kiedy były one kołami. Nie pojmował, iż wszechświat w jednakowej mierze złożony jest z tych dwóch symboli, których moment pojednania nie został jeszcze odnaleziony.

Takim był Eustachy Miltoun w tym czasie właśnie, kiedy członek Izby, kandydujący z jego ojczystych stron, odziedziczył tytuł.

Pomimo swych lat trzydziestu nie kochał się ani razu, wiódł życie niesłychanie purytańskie, z jednym jedynym tylko wykroczeniem od raz przyjętej zasady.

Kobiety obawiały się go, i on, być może, obawiał się kobiet. W marzeniu

zdawały mu się urocze i wzbudzające pożądanie, w rzeczywistości zaś były za mało subtelne i wzbudzały w nim przesyty. Kochał swoją najmłodszą siostrę, Barbarę, lecz nigdy nie odczuwał przywiązania do matki, babki, ani do starszej siostry, Agaty. Zabawny był widok lady Valleys w towarzystwie swego pierworodnego. Jej zgrabna sylwetka, trochę przekwitłe policzki i szaro-niebieskie oczy, któremi lekko kokietowała z wyrazem humoru i przekory, wszystko to w obecności Milton'a przybierało charakter dziwnego, trochę satyrycznego tła. Sądy i powiedzenia, zawsze trochę ryzykowne, były charakterystyczne dla jej żywej natury, potrafiła powiedzieć wszystko, cokolwiek jej przyszło do głowy. Nigdy, nawet za czasów dzieciństwa, nie darzył jej Milton swem zaufaniem. Nie brała mu tego za złe, będąc jedną z tych natur szlachetnych i wspaniałomyślnych, które niezdolne są czuć się dotknięte tem, że je pominięto. Uważała go zawsze za dziwaka i na tem koniec. Najwięcej niepokoiła się jego zupełną obojętnością w stosunku do kobiet. Czuła, iż jest to anomalja, podobnie jak wyczuwała istotną, choć należycie zamaskowaną normalność w swym mężu i młodszym synu. Było to powodem, iż zdawała sobie sprawę dokładniej, niż jej na to pozwalał czas wśród wiru życia światowego – z niebezpieczeństwa, jakie przedstawiała przyjaźń jej syna z „nieznajomą”.

Przyjaźń tę zapoczątkował zwykły przypadek. Pewnego grudniowego popołudnia Milton udał się do farmy dzierżawcy, zabitego podczas wypadku z koniem. Zastał wdowę po nim w tak strasznej rozpacz, iż graniczyła z zupełną niemożnością wyrażenia uczuć, spotęgowaną jeszcze teraz obecnością pana. Uspokoił biedaczkę w sprawach dzierżawy i, wychodząc, natknął się w przedsiönku na jakąś kobietę w futrzanym żakiecie i czapeczce, niosącą w ramionach małego, płaczącego chłopczyka, którego czoło broczyło krwią. Odebrał dziecko z jej ramion i, umieściwszy na krześle w pokoju, zwrócił się do młodej kobiety. Była ona bardzo poważna, słodka i czarująca. Zapytał, czy należy zawiadomić matkę o wypadku. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Biedactwo, nie należy jej przerażać. Najpierw obmyjemy i owiniemy ranę. Razem tedy zabrali się do opatrunku. Ukończywszy, spojrziała na Milton'a, zadając się mówić: „Napewno lepiej pan to potrafi jej powiedzieć, niż ja”. Wobec tego poszedł uprzedzić matkę i został nagrodzony ze strony poważnej pani miłym uśmiechem. Podczas tego pierwszego spotkania dowiedział się że się nazywa Audrey Lees Noel, i z tego też spotkania wyniósł wspomnienie twarzyczki, której urok prześladował go ciągle. W kilka dni później, przechodząc przez wieś, ujrzał ją znowu, wchodzącą przez furtkę do jakiegoś ogródka. Skorzystał z okazji, aby spytać się, czy nie zechce pokryć swego domku nową strzechą, poczem nastąpiły oględziny dachu i, rozmawiając – zatrzymał się u niej dłuższy czas. Przyzwyczajony do kobiet, które – już w najlepszym razie obdarzone wdziękiem i nieafektowane – zawsze jednak posiadały manierę pewnego zblazowania, przyswojoną im przez życie wielkoświatowe, – znajdował Milton dziwny urok w tej słodkiej, ciemnookiej kobiecie, obdarzonej ujmującym i nieśmiałym czarem, i żyjącej zdala od świata. Tak to z ziarna przypadku wykwitła jedna z owych rzadkich przyjaźni między samotnymi ludźmi, przyjaźni, która w krótkim czasie może wypełnić większą część egzystencji dwojga istnień.

Pewnego dnia spytała go:

– Przypuszczam, że pan wie o mnie wszystko. Milton skinął potwierdzająco głową. Informacyj udzielił mu wikary.

– Historia jej jest bardzo smutna, mówiono mi... rozwód.

– Czy mąż zażądał rozwodu, czy też... Przez mgnienie oka wikary wahał się.

– O nie, nie, zawiniono względem niej, jestem tego pewien. Przyzwoita kobieta, o ile mogę sądzić, choć obawiam się, że nie należy do mego bractwa.

Milton, w którym rycerskość wzięła górę, zadowolili się tem wyjaśnieniem. Kiedy spytała go, czy zna jej przeszłość, za nic na świecie nie pozwoliłby, aby poruszyła to, co było dla niej bolesne. Jakakolwiek była jej historia, jasnym było, że nie ona zawiniła. Począł ją już kształtować według własnych uczuć, przestała być dla niego stworzeniem ludzkim, stała się wyrazem jego pragnień.

Na trzeci dzień po starciu z Courtierem, znalazł się znowu w jej małym domku, ogrodzonym wysokim parkanem. Budynek otoczony gęstwiną róż, z czarnobronzową

strzechą, zwisającą ponad staroświecko oprawnymi szybkami górnych okien, zdawał się kryć przed światem. Z tyłu, jakby na straży, stały dwie sosny, roztaczając ciemne gałęzie i podczas wiatru południowego, szmerząc poważnie o pogodzie. Na krańcach ogrodu wznosiły się wysokie krzaki bzu, a wielka lipa, przytykająca z sąsiedniego pola szumiała i szeleściła, a w dni pogodne i spokojne napełniała powietrze ociężałym brzęczeniem drobnych pszczoł, które bez liku gromadziły się w tem zielonym siedlisku.

Zastał ją zajętą naprawianiem sukni. Siedziała pochylona nad robotą, z właściwym sobie wdziękiem i pewną manierą – zdawało się, iż wszystkim przedmiotom, sukniom, kwiatom, książkom, muzyce – udziela się z pewnym czarującym zainteresowaniem. Przyszedł do niej po całym dniu pracy wyborczej, gdzie doznał przykrości na dwóch zebraniach i jeszcze odczuwał żal po tych przejściach. Mógł patrzeć na nią, być przez nią pocieszanym i dogładanym – wszystko to działało na niego niezwykle kojąco. Wyciągnięty na leżaku przysłuchiwał się jej grze.

Księżyc o obliczu pierrota powoli przepływał ponad wzgórzem po niebie koloru szarych irysów. Jak zahypnotyzowany wpatrywał się Miltoun w tę rozgorzałą gwiazdę, wędrującą w bladej jaśni. Z trzęsawisk wznosiła się wątła mgła oparów. Drzewa w dolinie, jak trzoda na pastwisku, stały pogrążone do połowy w bieli, otoczone bladą kurzawą niezliczonych, drobnych pyłków księżycowych, opadających na białą mgłę. Księżyc skrył się za lipę i zdało się że wielki, rozpalony, czarno-niebieski lampjon zawisł na niebie.

Nagle w dźwięk muzyki wmieszał się przeraźliwy odgłos gwizdania, rozbrzmiał, ucichł i znów się wzniósł. Miltoun powstał.

– To przerwało moje marzenia – rzekł. – Mam pani coś do powiedzenia, Mrs. Noel. – Lecz spojrzawszy na nią, siedzącą cicho z rękami na klawiszach, zamilkł w cichym uwielbieniu.

Jakiś głos w drzwiach wykrzyknął.

– Och, proszę pani! Mylordzie, tam na łące mordują człowieka!

## ROZDZIAŁ VI

Kiedy nieśmiertelny Don wprawiał swemi sztuczkami w ruch" wszystkie struny wesołości, towarzyszył mu jeden błazen tylko Karola Courtier otaczały natomiast zawsze rzesze całe, które w istocie nie były w stanie pojąć jego postępowania, nacechowanego najzupełniejszą bezinteresownością. Chociaż zadziwiał swych współczesnych, jednakże nie śmieli się z niego otwarcie, gdyż wiadomem było powszechnie, że miał on na sumieniu życie kilku mężczyzn i miłość wielu kobiet. Jest to połączenie, któremu trudno się oprzeć, tembardziej, gdy idzie z niem w parze zewnętrzny wygląd silny i rycerski. Syn duchownego z Oxfordshire, mając lat zaledwie osiemnaście, rozpoczął wędrówkę błędnego rycerza i pomimo, że stale walczył z wiatrakami, ani razu nie został wysadzony z siodła. Źródło wytrwałości leżało zapewne w tem, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że znajduje się w siodle. Było to dla niego tak naturalne, jak dla innych śmiertelników miejsce za stołem biurowym. Ze swego posłannictwa nie wyniósł żadnej korzyści, gdyż usposobienie jego zbyt było podobne

do jego czerwono-złotych włosów, które ludzie porównywali do płomieni, pochłaniających wszystko, co się przed nimi znajduje. Nie ukrywał swych wad i słabości. Był nieuleczalnym optymistą, uwielbiał piękno do tego stopnia, iż czasem zapominał, którą z kobiet kocha najmocniej. Miał zbyt cienką skórę, za gorące serce, nienawidził humbugu i stale lekcewał swoje własne interesy i dobro. Był kawalerem, posiadał wielu przyjaciół i wielu wrogów. Duszę miał stale rozgrzaną do białości, a ciało przygotowane do ciosu, jak ostrze miecza. Jeśli człowiek, który sam przyznaje, że brał udział w pięciu wojnach, miesza się do agitacji na korzyść pokoju, może się to wydawać na pozór nielogiczne, w istocie jednak tak nie było: walczył on zawsze po stronie słabszej, a w tej chwili żadna ze stron nie wydawała mu się tak słaba, jak ta, która propagowała pokój. Nie był wybitnym politykiem ni znakomitym oratorem, ba, nie był nawet biegłym mówcą, lecz posiadał ostry język i wzrok płomienny, co zawsze wywierało pewne wrażenie na słuchaczach. W chwili obecnej nie było prawdopodobnie w całej Anglii miejsca, stanowiącego grunt mniej podatny do propagandy pokojowej, niż właśnie okręg Bucklandbury. Nieścistością byłoby

twierdzić, że Courtier był niepopularny wśród tamtejszej praktycznej, niezależnej, trochę tępej, lecz jednocześnie porywczej ludności, – pogwałcił on jednak ich przekonania i wzbudził głębokie podejrzenia. Żadną miarą nie mogli wywnioskować o co mu właściwie idzie. Chociaż był on w Londynie dość wybitną osobistością, dzięki swej działalności i książce „Pokój czyli przegrana sprawa”, ludność Bucklandbury nic o nim nie słyszała. Jego awanturnicza działalność w ich stronach wydawała im się śmiesznym przykładem mieszania oderwanych teorii do oczywistych faktów, gdyż idea, iż narody mogą i powinny żyć w zgodzie, była wszak bardzo nierealna, a faktem oczywistem było, że nigdy tak nie żyły. Monkland, będące dobrami dworskimi, liczyło – oczywiście – niewielu przeciwników Miltoun'a. Nastrój słuchaczy już podczas pierwszej przemowy głosiciela pokoju prędko przeszedł od zwykłej ciekawości do szyderstw, a od szyderstw do nienawiści, aż wkońcu, kiedy Courtier zajął postawę zdecydowanie wrogą i począł używać zbyt ostrych argumentów, miał jedynie do zawdzięczenia wpływowemu pośrednictwu wikarego, że z zatargu tego wyszedł cało... A jednak, kiedy rozpoczął swą przemowę, odczuwał względem tych ludzi nieprzepartą sympatję. Zdawali się być tak uderzająco niezależni. Oczekując swej kolei, w myśli oznaczył ich jako tych, z którymi dojdzie do porozumienia. Chociaż wiedział, iż musi się zawsze przeciwstawić idei niepopularnej, jednak nie sądził nigdy tak źle o żadnym poszczególnym osobniku, ażeby uważać go za zdolnego do przynależenia do tej właśnie grupy. Z pewnością ci ludzie niezależni i szlachetni nie dadzą się otumanić. Przeżył jeszcze jedno rozczarowanie w życiu. Nie mógł się z tem pogodzić, tak jak nie mogli się z nim pogodzić jego słuchacze. Odeszli, nie przebaczywszy i, nie zapominając, powrócili.

Zajazd, małe, białe budynki, którego okienka zarośnięte były powojami, posiadał jeden pokój gościnny na piętrze, oraz małą bawialnię, gdzie Courtier jadał. Pozostała część domu zajmowała wielka, kamienną posadzką wykładana szynkownia z długim, drewnianym bufetem, ustawionym w głębi. Rozbrzmiewała tu co noc hałas rozmów, prowadzonych w dziwaczny trochę żargonie. Od czasu do czasu – przy ogólnym chórze, życzącym dobrej nocy – wysuwała się przez drzwi jakaś postać niepewnie trzymająca się na nogach, zatrzymywała się pod wielkim jesionem, by zapalić fajkę i następnie powoli sunęła ku domowi.

Lecz tego wieczora, kiedy drzewa stały pogrążone w księżycowym pyłku, ci, którzy wychodzili z budynku, nie kierowali się w stronę domu, lecz krążyli w cieniu i łączyli się z innymi postaciami, wysuwającymi się cichaczem z izby. Niebawem więcej jeszcze osobników napłynęło łąką i ścieżką, prowadzącą od cmentarza, aż zebrało ich się może trzydziestu lub więcej, szepczących między sobą z rodzajem jakiegoś podejrzanego zadowolenia. Niesamowita wesołość zdawała się czaić wśród cienia drzew przed domkiem, skąd z jedynego oświetlonego okna dobywał się śpiewny głos czytającego mężczyzny. Śmiechy przycichły, szepczano.

- Wprawia się do przemówień.
- Wykurzymy tego szczerwanego lisa.
- Pieprz turecki jest najodpowiedniejszy.
- Już zaczyna kichać.
- Drzwi zatarasowaliśmy dobrze!

Na widok twarzy, ukazującej się w oświetlonym oknie wybuchł hałaśliwy śmiech. Człowiek przy oknie mocował się gwałtownie z zasuwą. Śmiech potęgował.

Uwięziony, pokonawszy zaporę, wyskoczył na ziemię, upadł, podniósł się, potknął i znowu upadł. Jakiś głos surowy spytał:

- Co to znaczy?
- Z rozbiegającej się gromady dobiegł szepc:
- Jego lordowska mość.

Przestrzeń pod jesionami opróżniła się nagle, pozostała tylko wysoka sylwetka mężczyzny i biały cień kobiecy.

- Czy to pan, M. Courtier, czy pan ranny? Leżący człowiek odpowiedział:
- Coś mi się stało w kolano. Podli! O mało mnie nie zadusili.

## ROZDZIAŁ VII

Tego samego wieczora w pałacu Monkland, Bertie Caradoc, opuściwszy palarnię,

aby się udać na spoczynek, wstąpił na chwilę do hall'u, gdzie wisiał barometr. Obserwowanie tego przyrządu weszło w codzienne przyzwyczajenie u sportowca, który poświęcał cały swój wolny czas zimą na polowanie, latem na wyścigi.

Hubert Caradoc, przygotowujący się również do kariery dyplomatycznej, bardziej niż którykolwiek z innych Caradoc'ów odziedziczył charakterystyczną siłę i różne słabostki swej rodziny. Był wysokiego wzrostu, zbudowany muskularnie, jego opalona twarz, o drobnych, regularnych rysach, odznaczała się wyrazem stanowczości, maskowanym obojętnością. Jego badawcze, szaro-bronzone oczy zakryte były do połowy powiekami. Wrodzona skrytość broniła mu okazywać światu całej ich głębi. Nos miał suchy, zgrabny, wargi, pokryte ciemnymi wąsikami, zaledwie otwierały się, gdy mówił – głos miał przytłumiony i mowę niezwykle szybką. Cała powierzchowność zdawała się wskazywać człowieka rozumnego, praktycznego, zaradnego, obdarzonego zimną krwią, traktującego życie, jak gdyby ono było ujeżdżanym przez niego wierzchowcem, któremu można zaufać tylko tyle, by nie stracić nad nim panowania. Był to człowiek, dla którego teorie nie miały żadnej wartości, chyba, że natychmiast zostawały wprowadzone w czyn, nawskroś pedantyczny, żądający dla siebie zawsze najlepszego, lecz zdolny do stoicyzmu w potrzebie, gładki w obejściu, lecz zawsze gotów do zaczepki, zdolny przebaczać tylko te błędy i współczuć tylko tym nieszczęściom, które własne doświadczenie nauczyło go rozumieć. Takim był brat Miltoun'a w dwudziestym szóstym roku życia.

Skonstatowawszy, iż barometr nie opada, już miał zamiar udać się po schodach na górę, kiedy spostrzegł w głębi hall'u trzech zbliżających się ludzi. Będąc z natury ciekawy i ostrożny, czekał, aż przybliżą się pod światło lampy, a ujrawszy, iż jest to Miltoun i jeden z lokajów, podtrzymujący między sobą jakiegoś utykającego człowieka, natychmiast pospieszył z pomocą.

– Pan, zdaje się, wywichnął kolano. Chwilę cierpliwości... Przyniesi krzesło, Karolu.

Usadowiwszy nieznanego na krześle, Bertie zawinął mu nogawicę spodni i obmacał kolano. Była w tym ruchu delikatna troskliwość ręki, przyzwyczajonej w swem życiu do obchodzenia się z choremi stawami i pęciami koni.

– Hm, – rzekł – czy może znieść pan trochę bólu? Podtrzymaj go z tyłu, Eustachy. Ty, Karolu, usiądź na ziemi i przytrzymaj mu nogi na krześle. Uwaga. Uchwycił nogę i pociągnął. Dał się słyszeć lekki trzask w stawie i zgrzytnięcie zaciśniętych zębów. Bertie zawołała:

– Brawo, dzielny z pana człowiek. Tym razem obejdzie się bez konowała.

Odprowadziwszy swego kulawego gościa do pokoju, zamienionego naprędce na sypialnię i pozostawiwszy go pod opieką lokaja, obaj bracia odeszli.

– A więc, mój drogi, – rzekł Bertie, kiedy udawali się do swych pokojów – to położyło kres jego zamierzeniom, nie zaszkodzi ci już tym razem. Jednakże dzielny z niego człowiek.

Więść, że Courtier znalazł przytułek pod dachem pałacu, rozniosła się między domownikami jeszcze przed śniadaniem, za pośrednictwem kogoś, którego zadaniem było wiedzieć wszystko i udzielać wiadomości innym.

Malutka Anna, odwiedzwszy rannym zwyczajem sypialnię matki, stanęła w charakterystycznej swej pozie, z główką podniesioną i rączkami za paskiem i natychmiast rozpoczęła:

– Wuj Eustachy przyprowadził wczoraj wieczorem człowieka ze zranionym kolaniem, wuj Bertie nastawił mu to kolano. Wiliam mówił, że Karol powiedział, że tylko był taki lekki trzask.

Dał się słyszeć lekki odgłos uderzających o siebie ząbków.

– To jest ten człowiek, który mieszkał w zajeździe. Wiliam mówi, że schody były za wąskie jak się go wносиło, i teraz, jak będzie miał zwichnięte kolano, to długo jeszcze będzie chodził o lasce. Czy mogę iść do ojca?

Rozczesując włosy, Agata pomyślała:

– Nie wiem, czy paski, umieszczone tak nisko, są zdrowe dla dzieci.

– Zaczekaj chwilkę – zawołała.

Ale małej już nie było. Jej głosik rozlegał się w ubieralni sir wiliama, który, jak to wnioskować można było z jego odpowiedzi, golił się właśnie. Kiedy Agata, nie opuszczająca nigdy odpowiedniej okazji, aby zbliżyć się do swego męża, zajrzała tam po chwili, zastała go już samego. Był to mężczyzna wysoki, o spokojnej, solidnej twarzy i nieufnych oczach, mało interesujący dla



wszystkich, z wyjątkiem swej żony,

– Courtier został złapany w sidła – rzekł. – Nie wiem, co powie twoja matka na wroga w domu.

– Podobno on jest jakimś nedowiarkiem i raczej...

Sir Wiliam, dążąc śladem swych myśli, przerwał jej:

– Być może, iż jest to nawet nieźle mieć go tutaj u nas, oczywiście, jeśli chodzi o Miltoun'a.

Agata westchnęła.

– Zdaje mi się, że powinniśmy być dla niego uprzejmi. Muszę iść powiedzieć matce.

Sir Wiliam uśmiechnął się.

– Anna już się o to postara – odparł.

I w istocie Anna już się postarała o to. Usadowiona we framudze okna poza zwierciadłem, przed którym siedziała lady Valleys, rozprawiała:

– Wyskoczył z okna przez ten pieprz turecki. Miss Wallace mówi, że jest on teraz zakładnikiem. Co to znaczy „zakładnik”, babuniu?

Kiedy sześć lat temu słowo „babunia” uderzyło po raz pierwszy o uszy lady Valleys, pomyślała:

„O Boże, więc naprawdę jestem już babką”. Był to dla niej do pewnego stopnia cios, który zdawał się kończyć pewien okres jej życia. Lecz praktyczny heroizm kobiety, łatwiej godzącej się z koniecznością, niż mężczyzna, przyszedł jej z pomocą. I teraz, w przeciwieństwie do męża, nie wzruszała się tem zupełnie. Nie odpowiadała tylko dlatego, że przedewszystkiem odpowiedzi były zupełnie zbyt cenne dla podtrzymania rozmowy z małą Anną, powtórę, była głęboko pogrążona w myślach.

– Ten człowiek był ranny! Gościnność przedewszystkiem, tembardziej, że ich poddani popełnili gwałt! Jednakże przyjmować przyjaźnie kogoś, kto zboczył z własnej drogi, by przyjść tu i podburzać ludność przeciw jej synowi, było to prawie-że ponad jej siły! Oczywiście, mogło być jeszcze gorzej! Mógł on być jakimś „niemożliwym” dyssydentem i radykałem! Pomimo wszystko Courtier był człowiekiem znanym i bardzo zajmującym, a przytem zupełnie jawnym przeciwnikiem! Musi postarać się o to, by czuł się jak w domu! Jeśli się go rozważnie wybada, bezwątpienia można się będzie niejednego dowiedzieć o „tej kobiecie”! Przytem, jeśli będzie jadł ich chleb, napewno zechce poskromić nieco swą szkodliwą dla nich działalność. Wątpliwem jest tylko, czy można się tego spodziewać po tego rodzaju ludziach, którzy zawsze posiadają coś z arabskiej etyki!

Jej umysł zdolnej rządczyni zastanawiał się nad wszystkimi dodatnimi stronami wypadku, który – choć niefortunny – nie był pozbawiony komicznej strony dla kogoś, kto potrafi znaleźć zabawę we wszystkim, co nie jest w całkowitej sprzeczności z jego interesami i pojęciami. Głosik małej Anny przerwał jej rozmyślenia:

– Teraz idę do cioci Barbary.

– Dobrze, ale naprzód pocałuj mnie.

Mała Anna wyciągnęła buzię tak gwałtownie, że jej wystający noszek znalazł się nagle pomiędzy pełnymi, miękko zarysowanymi wargami lady Valleys.

Tego samego popołudnia Courtier, wyszedłszy ze swego pokoju na taras, ujrzał trzy złociste pawie, idące powoli po trawniku w kierunku kamiennego posągu Diany. Ptaki poruszały się z niesłychaną godnością, jakgdyby nic w życiu nie zmuszało ich do pośpiechu. Zdawały się rozumieć, że z chwilą, kiedy dojdą do celu, nie pozostanie im nic innego, jak tylko zawrócić. Poza niemi, poprzez wielkie drzewa, ponad zacienionymi pagórkami, otaczającymi trzęsawiska, poza obiecaną ziemią różowawych pól, pastwisk i sadów, widać było perspektywę, sięgającą dalekiego morza. Żar, płynący z nieba, przesycał cały ten obraz jakimś opałowym blaskiem, stroił czarodziejską szatą, zmieniającą i upiększającą wszystko, tak, że cztery proste ściany i wysokie kominy odległej o kilka mil garncami w dolinie wydawały się Courtierowi wizją starej włoskiej warowni. Nastrój jego, gdy znajdował się w tym przymusowym areście, był szczególny. Nigdy nie żywił nieprzyjaznych uczuć dla Miltoun'a, którego spotkał dwukrotnie u Mrs. Noel, mimo, że się z nim nie zgadzał, Natomiast rodzina jego była mu zupełnie obojętna. Wałęsając się po świecie i jedząc chleb z niejednego pieca od czasu opuszczenia Westminsterskiej Szkoły, nie odczuwał żadnych klasowych antypatyj. Żywienie uczuć wrogich względem

arystokracji, dlatego jedynie, że była arystokracją, zdawało mu się czemś niepojętym, podobnie jak i uległość względem niej. Jego sympatje kształtowały się odpowiednio do dwóch najwybitniejszych skłonności jego charakteru: awanturniczości i nienawiści despotyzmu. Robotnik, który bił swoją żonę, kupiec nieuczciwy, duchowny niesumienny, nieludzki dziedzic – byli mu jednakowo wstrętni. Ludzi traktował tylko jako indywidualności i zupełnie przypadkowa była u niego kwalifikacja sfery wówczas, kiedy rzucił od okna Mrs. Noel wyzwanie Miltoun'owi. Przyzwyczajony do rozmaitych środowisk, pewny siebie, żyjący chwilą, nie znał lęku ani rozdrażnienia, wypływającego z przeczulonych nerwów. Jego niefrasobliwą uprzejmość mąciło jedynie zetknięcie z uczuciem niskim lub tchórzostwem. W takich wypadkach, zresztą dość częstych, wyglądał jakby mu serce płonęło i puklerz stoicyzmu, który je osłaniał, nigdy całkowicie nie topniał. Rezultatem tej wewnętrznej walki był wyraz spokojnego, sardonicznego a jednocześnie zabawnego zdesperowania.

Głównym więc jego uczuciem, wobec uwięzienia w obozie nieprzyjacielskim, była ciekawość połączona z lekkim rozbawieniem. Zazwyczaj ludzie wyrażali się dobrze o Caradoc'ach, zdawało się więc nie zbywać na przyjaźni między nimi a ich poddanymi. Złe rządy ani ubóstwo nie panoszyły się w ich dobrach. Chociaż mieszkańcy doznawali poparcia w swym rozwoju kulturalnym, nie troszczono się jednak zbyt o polepszenie ich bytu. Utrzymywali się jednak na pewnym poziomie, otaczani stałym, niepozbawionym hojności, nadzorem. Jeśli strzecha wymagała świeżego pokrycia, zostawała pokryta, jeśli jakiś człowiek stawał się za stary do pracy, nie był zmuszony do szukania przytułku w Domu Robotniczym. W latach nieurodzaju na zboże lub wełnę, dawano farmerom daleko idące ulgi w płaceniu tenuty. To prawda, że lord Valleys, choć uważał się za stałego przeciwnika polityki wywłaszczeniowej, nie zdradzał jednak żadnej tendencji do zachęcania ludności, by osiedlała się na własnym gruncie. Wynikało to zapewne z przeświadczenia, że ziemi tej lepiej się dzieje w posiadaniu obszarnika. Przeświadczenie to było widocznie tak silne, że nierzadko spotkać można było jego agenta, skupującego jeszcze więcej tych obszarów.

Ale, że w życiu najczęściej zwraca się uwagę na to tylko, co bezpośrednio interesuje, wszystkie te plotki, zarówno pochlebne jak i nie, zaledwie się obijały o uszy bojownika pokoju podczas jego kampanji w Monkland. Był on bowiem, jak wiadomo, niezbyt wytrawnym politykiem i chodził zwykle swemi drogami, zapatrzony jedynie w cel swych zamierzeń.

Stojąc na tarasie i rozkoszując się widokiem, usłyszał nagle cienki głosik i ujrzał malutką dziewczynkę w wielkim kapeluszu, mającym chronić ją od słońca, który jednak był tak daleko zesunięty z czoła, że bynajmniej nie rzucał cienia na jej twarzyczkę. Mała rączka wyciągnęła się ku niemu. Ujął tę rączkę i odpowiedział:

– Dziękuję, czuję się znakomicie. A ty? Para otwartych, szczerych oczu badała uważnie jego nogę.

– Czy boli?

– Nie warto wcale mówić o tem.

– Noga mojego kuca obrzmiała, babunia przyjdzie go obejrzeć.

– Czy być może?

– Muszę już odejść, życzę panu polepszenia, dowidzenia.

Następnie na miejscu małej dziewczynki ujrzał Courtier wysoką, tęgą kobietę, przyglądającą mu się z wyrazem lekko drwiącej powagi. Ubrana była w grubą suknię, która zdawała się być skrajana zbyt ciasno do jej masywnych bioder, tak, iż nie starczyła już na okrycie kolan. Nie nosiła kapelusza ani rękawiczek, z ozdób miała jedynie pierścionki na palcach i mały zegareczek w skórzanym bransoletce na rękę. Cała jej postać zdawała się wskazywać na jakieś prawie przesadne zaniedbanie wszelkiego wykwintu. Wyciągając rękę dużą, lecz zgrabną, przemówiła:

– Najmocniej pana przepraszam, Mr. Courtier.

– Ależ niema za co,

– Mam nadzieję, że jest panu wygodnie u nas. Czy ma pan wszystko, co potrzeba?

– Więcej, niż wszystko.

– Był to naprawdę bardzo przykry wypadek, umożliwił nam jednak przyjemność zawarcia znajomości z panem. Naturalnie czytałam pańską książkę.

Courtierowi zdawało się, iż twarz pani przybrała wyraz, zdający się mówić:

Tak, bardzo mądra i zabawna, interesująca nawet! Lecz te poglądy! Na pewno wie pan sam, że nie mogą znaleźć zastosowania w życiu, a nawet wcale nie powinny.

– To bardzo ładnie z pani strony.

Lady Valleys odpowiedziała tonem szorstkim, jakby domyślając się, iż Courtier uśmiecha się wewnątrz.

– Nie zgadzam się z pańskimi poglądami absolutnie. To, co jest nam potrzebne w dzisiejszych czasach, to pochwała wojny – tembardziej w ustach żołnierza.

– Zaręczam pani, lady Valleys, iż lepiej jest pozostawić zachwalanie wojny człowiekowi, który ma o niej mniej dokładne pojęcie.

Lady Valleys obrzuciła go szybkim, badawczym spojrzeniem i rzekła:

– Mimo wszystko jestem przekonana, że polityka nie interesuje pana zbyt. Pan zna Mrs. Noel, nieprawdaż? Nadzwyczajnie przystojna osoba!

Podczas gdy mówiła, Courtier ujrzał idącą tarasem młodą dziewczynę. Wracała zapewne z przejażdżki konnej, nosiła bowiem wysokie buty i krótką, szeroką spódnicę. Oczy miała niebieskie, a włosy – koloru liści bukowych jesienią, kiedy słońce przez nie prześwieca, – zwinięte były mocno pod małym, miękkim kapeluszem. Była wysoka i szła tym charakterystycznym, pięknym krokiem kobiet, obdarzonych długą, smukłą linią bioder. Radość życia i pogodna jasna moc były z jej twarzy i całej postaci.

Lady Valleys zawołała:

– Barbaro! Pan pozwoli, Mr. Courtier, moja córka Barbara.

Courtier wyciągnął rękę, uściśnął obciążone rękawiczką paluszki i usłyszał jej słowa:

– Miltoun pojechał do miasta, mamu; muszę udać się samochodem do Buklandbury z poleceniem, które mi zostawił. Po drodze mogę wstąpić na stację po babunię.

– Musisz zabrać Annę, inaczej zamęczy nas tutaj, i – być może – Mr. Courtier zechce się też przejechać. Przypuszczam, że pańskie kolano pozwoli już na to? Spoglądając na urocze zjawisko, Courtier odparł:

– Ach, naturalnie.

Od czasu, kiedy był siedmioletnim chłopcem nie był w stanie spoglądać na piękne kobiety bez uczucia ciepła i lekkiego podniecenia, a teraz, mając przed sobą najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu zdarzyło mu się widzieć, pragnął być przy niej tak często, jak tylko to będzie możliwe. Było coś czarującego w jej uśmiechu, jakgdyby przejrzała jego myśli:

– A więc dobrze, – rzekła – pójdziemy tylko po Annę.

Po krótkich, lecz usilnych poszukiwaniach znaleziono małą Annę w samochodzie. Instykt uprzedził ją o zamierzonym przedsięwzięciu, w którym obowiązkiem jej było wziąć udział. Niebawem wyruszyli. Mała siedziała między nimi, nie mówiąc ani słowa. Była zdolna do milczenia tylko wtedy, kiedy się czemś naprawdę przejmowała.

Trzęsawiska i ugory, leżące poza ukwieconą, zaoraną i zabudowaną posiadłością Monkland, robiły wrażenie zupełnie innego świata. Tuż za ostatnim budynkiem, leżącym na zachodniej granicy dóbr, roztaczał się nagle widok najbardziej chyba pogański w całej Anglii. Na tej dzikiej arenie chmury, skały, słońce i wiatry spotykały się i obradowały.

Człowiek z epoki kamiennej pozostawił tu jeszcze ślady swego istnienia między wielkimi głazami, przyczajonemi jak groźne bestje na wierzchołkach gór, nad którymi unosiły się białe obłoki i bracia ich, drapieżne sępy i jastrzębie.

Nawet martwe skały ożywione były jakimś duchem. Zmieniały one z dnia na dzień kształt, kolor i charakter, jakby w wiecznym uwielbieniu czegoś

nieoczekiwanego, nie chciały podlegać jarzmu prawa. Wiatry w swym pędzie zmieniały ustawicznie kierunek i szalały w szczelinach i rozpadlinach

górkich, przypominając wciąż jeszcze ludziom w ich schronieniach władzę dzikich bogów. Cuda tego widoku zupełnie przepadały dla małej Anny, a i w części dla Courtiera, który był poważnie zajęty godzeniem dwóch sprzecznych uczuć: chęci poprawnego zachowania się i niepokonanej ochyty ustawicznego patrzenia na piękną swą sąsiadkę. Zastanawiał się też nad tem, o czem myśleć może w tej chwili ta dziewczyna dwudziestoletnia, której obojętność i swoboda przypominały raczej dojrzałą kobietę. Mała Anna pierwsza przerwała milczenie:

– Ten dom nie musiał być bardzo mocny, prawda, ciociu Barbaro?

Courtier spojrział w kierunku jej paluszka.

Obok starej figury kamiennej, przedstawiającej człowieka, który był zapewne panem tego wzgórze, jeszcze zanim nastali tu inni ludzie, stały szczątki

niewielkiego domku; z jednej strony tej smutnej ruiny zwieszał się kawał dachu, poza tem stała ona otworem.

– Ten człowiek był bardzo niemądry, budując go, nieprawdaż Anno? Dlatego też przewano ten domek „Szaleństwem Ashmana”.

– Czy on jeszcze żyje?

– O nie, to było akurat sto lat temu.

– Dlaczego budował tutaj?

– Nienawidził kobiet i... Dach zapadł się nad nim.

– Dlaczego nienawidził kobiet?

– Bo był dziwakiem.

– Co to jest „dziwak”?

– Spytaj Mr. Courtiera.

wytrzymując spokojnie drwiący wzrok dziewczyny, Courtier starał się znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Dziwak – odparł powoli – to taki człowiek, jak ja.

Usłyszał uśmiech i zauważył badawcze, przelotne spojrzenie Anny.

– Czy wuj Eustachy jest również dziwakiem?

– Oh, Mr. Courtier, teraz pan już wie, co o panu sądzi Anna. Nieprawdaż, Anno, ty bardzo lubisz wuja Eustachego?

– Tak – odparła mała, – patrząc znów przed siebie.

Courtier spoglądał z ukosa ponad jej gołą główką – Zadowolenie jego wzrastało z każdą chwilą. – Dziewczyna, siedząca obok niego, przypominała mu młodzieńką klacz, którą widział kiedyś prowadzoną do pierwszego wyścigu na torze Ascott. Trzymała szyję wysoko. Słońce błyszczało na jej gładkiej, kasztanowatej skórze, a jej oczy, pełne ognia, tak pewne były zwycięstwa, jak tego, że trawa wokół jest zielona.

Trudno było zaiste uwierzyć w to, że Barbara jest siostrą Miltoun'a, jak trudno zresztą było uwierzyć we wzajemne pokrewieństwo czworga młodych Caradoc'ów. Poważny, ascetyczny, uduchowiony Miltoun, łagodna, ograniczona kurka domowa, Agata, Bertie, skryty, bystry i nieugięty, i ta szczerą, rozbijająca swą radością życia, Barbara, – różnorodność tych charakterów była doprawdy wielka. Automobil minął ugory i, zjeżdżając stromym pagórkiem, mijał teraz małe wille, oraz szare domki robotnicze, stojące na przedmieściu miasteczka Buklandbury.

– Muszę wstąpić teraz z Anną do kwatery Miltoun. Czy mam pana podwieźć do obozu wrogów, Mr. Courtier? Zatrzymaj na chwilę, Frith.

Zanim Courtier zdążył zaprotestować, samochód podjechał przed dom, na którym widniał zamasyście wypisany szyld: „Chilcox, Okręg Buklandbury”.

Kiedy Courtier wszedł, kulejąc, do przesiąkniętego świeżą farbą pokoju komitetowego Mr. Humphreya Chilcoxa, unosił ze sobą wspomnienie, przepojone zapachem młodości i ambry.

W pokoju, naokoło stołu, siedziało trzech mężczyzn. Najstarszy z nich, człowiek o małych, szarych oczkach i szorstkiej bródce, powstał natychmiast i podszedł do Courtiera.

– Mr. Courtier, o ile się nie mylę – rzekł, – Rad jestem, że pana widzę, niezmiernie przykro było mi słyszeć o wypadku, który spotkał pana – choć z drugiej strony do pewnego stopnia wyszedł on nam na dobre. Naprawdę: gwałt ten przeczy wszelkiej uczciwej taktyce wyborczej i nie będę się dziwił, jeżeli przysporzy nam kilkaset głosów. Widzę, że skutki znać jeszcze po panu. Szczupły człowieczek, z przebiegłą miną i sterczącymi włosami, podszedł, trzymając w ręku gazetę.

– Wywołało to jeszcze jeden skutek i to dość niemiły, – rzekł – może zechce pan przeczytać.

„Napad na znakomitego gościa”. „Wieczorna awantura lorda Miltoun'a”. Courtier przeczytał artykuł. Nastąpiło złowróźbne milczenie. Przerwał je człowiek o małych oczkach.

– Ktoś z naszego obozu musiał widzieć całe zajście, wsiadł na motocykl i przywiózł tu dokładną opowieść, zanim jeszcze oddano gazetę do druku. Nie rzucają oni żadnych oszczerstw na tę panią, stwierdzają tylko fakty. Zupełnie wystarczające zresztą, – dodał złowróźbnie – aby pogrzebać naszego przeciwnika. Przebiegły człowieczek wtrącił niespokojnie.

– Nie mogliśmy temu przeszkodzić, Mr. Courtier. Zupełnie nie wiem, co powinniśmy uczynić. Przyznaję, że nie podoba mi się to wszystko.

– Czy kandydat wasz widział ten artykuł? – spytał Courtier.  
– Nie mógł widzieć jeszcze, – wmieszał się trzeci mężczyzna, obecny w pokoju – samiśmy dowiedzieli się zaledwie przed godziną.  
– Nigdybym nie pozwolił na coś podobnego – rzekł człowiek o przebiegłej twarzy. – Nie mogę wybaczyć tego redaktorowi.  
– Właściwie – mówił człowiek o małych oczkach – jest to tylko zwyczajna wiadomość. Jeśli wzbudzi poruszenie, nie będzie w tem naszej winy. Gazeta nic nie zarzuca, konstatuje tylko fakty. Niewyraźne stanowisko tej pani dokonało reszty. Nie mogę temu zapobiec i, mówiąc szczerze, nie chcę wcale. Nie będzie przynajmniej tutaj rozwiązań obyczajów w życiu publicznym, dzięki Bogu. Było szczere przekonanie w jego głosie, lecz uchwyciwszy spojrzenie Courtiera, dodał:

– Czy pan zna tę panią?

– Od dziecka i ktokolwiek źle się o niej wyraża, będzie miał ze mną do czynienia.

Przebiegły człowieczek rzekł poważnie:

– Niech mi pan wierzy, Mr. Courtier, że jest nam niesłychanie przykro. Ten artykuł nie pochodzi od nas. Jest to jeden z tych wypadków, z których korzysta się wbrew własnej woli.

– Było to bardzo niefortunne, że wyszła ona wtedy na łąkę z lordem Mitoun'em. Pan wie przecież, jacy są ludzie.

– Poprosto umieścili to, co mogło zainteresować publiczność – rzekł trzeci komitetowy.

– Wiem tylko jedno – przemówił z uporem człowiek o małych oczkach, – jeśli lord Mitoun chce spędzać wieczory u samotnych niewiast, nie może potem winić nikogo, prócz siebie.

Courtier spoglądał na nich po kolei.

– To ostatecznie kończy mój udział w akcji wyborczej – rzekł. – Jaki jest adres redakcji?

Nie czekając na odpowiedź, wziął gazetę i utykając, wyszedł z pokoju.

Zatrzymał się na chwilę, odczytując adres, następnie ruszył dalej.

#### ROZDZIAŁ VIII

Barbara siedziała obok małej Anny, zagłębiona w poduszki auta. Pomimo tego, iż zdążyła już poznać tajniki życia wielkoświatowego, których zgłębienie przynosi pewną przedwczesną dojrzałość i zblazowanie, twarzyczka jej miała wyraz naiwnej świeżości, który umiła buzie dziecięcej. Patrzyła jednak z pewną obojętnością na mieszkańców Buklandbury, zdając sobie do pewnego stopnia sprawę z dziwnej mieszaniny uczuć, właściwej jej współmieszkańcom, gdy znajdowali się w jej obecności. Mieli oni zabawny wyraz twarzy ludzi, którzy usiłują patrzeć obojętnie przed siebie, zerkając jednocześnie na bok. Tak, dojrzała już ona na tyle, by ocenić ten tajemniczy wyraz, właściwy jej rodakom, ujawniający wszystkie cechy ich charakteru, tego charakteru, który zbudował podwaliny wielkiego narodu i utrwalił je – który był wrogiem cynizmu i pesymizmu, oraz wszystkiego, co pochodzi z Francji lub Rosji, macierzą wszystkich narodowych zalet i błędów, opiekunem wszelkich poczynań i zabójcą wszelkiej spekulacji – znała już to spojrzenie, które kierowało się w górę lub w dół, lecz nigdy nie spoglądało niczemu prosto w oczy, wzrok silny, głęboki, dziwny, płynący zawsze z istotnego źródła współzawodnictwa. Otoczona temi spojrzeniami, Barbara, która była z usposobienia niemniej Angielką, niż ludzie wokół niej, zerkała ukradkiem, wypatrując, rychło się pojawi jej nowy znajomy – Ona również pragnęła posiadać jakiś przedmiot zainteresowania, który mogłaby lekceważyć. I ten cel, zdaje się, osiągnęła. Courtier był człowiekiem z innego świata. Spotykała w życiu wielu mężczyzn, lecz żaden nie był do niego podobny. Wielką przyjemność sprawiało jej obcowanie z tym mądrym człowiekiem, który wielu rzeczy dokazał na arenie publicznej i którego życie obfitowało w wiele awanturnicznych przeżyć. Ci wszyscy literaci, ta cała yganerja, którą dotychczas znała, byli to raczej „faworyci dworscy”, konieczni arystokracji dla zachowania kontaktu z ostatnimi kierunkami sztuki i literatury. Lecz Courtier był człowiekiem czynu, nie można się było odnosić do niego z tą tolerancyjną admiracją, z jaką traktowało się ludzi, wyróżniających się tylko przez swe idee i sposób, w jaki utrwalił je na płótnie lub papierze. Władał i potrafił władać mieczem, jeśli nawet używał go jedynie w

sprawach Pokoju. Kochał i potrafił kochać, jak o nim powszechnie mówiono. Gdyby Barbara była młodą dziewczyną z innej sfery, prawdopodobnie nie słyszałaby o tem nigdy, a jeśliby słyszała – mogłoby ją to urazić lub zgorszyć, lecz będąc lady Barbarą, słuchała o jego przeżyciach, gdyż wiedziała już, że mężczyźni są tacy właśnie, a nie inni, a i kobiety zresztą czasami również.

Z pewnego rodzaju wzruszeniem zauważyła jak zbliżał się, kulejąc, w jej stronę. Kiedy wsiadł do samochodu, wydała polecenie szoferowi:

– Teraz na stację, Frith, tylko prędko proszę – i zwróciła się do niego;

– Panu nie można ufać. Proszę się wylegitymować, co pan robił przez ten czas. Courtier uśmiechnął się tylko milcząco i pośepnie.

Barbara, która w tej chwili, po raz pierwszy w życiu spotkała się z wyraźnym zignorowaniem, drgnęła, jak pod lekkim uderzeniem. Usta jej się zacisnęły, oczy poczęły ciskać błyskawice. „Ach tak? Dobrze, mój drogi” pomyślała. Lecz spojrzawszy ukradkiem w bok, zauważyła tak dziwny wyraz na jego twarzy, iż momentalnie zapomniała, że czuje się urażona.

– Czy stało się coś złego, Mr. Courtier?

– Tak, lady Barbaro, bardzo wiele złego stało się przez podłe, nikczemne języki ludzkie.

Barbara posiadała intuicyjną świadomość tego, co jej w każdym wypadku czynić należy. Było to pewne umysłowe zrównoważenie, którego przykład brała z ludzi obserwowanych i rozmów, słyszanych już od wczesnego dzieciństwa. Ufała tej intuicji. Porozumiewając się z Courtierem wzrokiem ponad ciemną główką Anny, spytała:

– Czy coś w związku z Mrs. N.? Wyczytawszy odpowiedź potwierdzającą w jego oczach, dodała szybko:

– I z M.? Courtier skinął głową.

– Wiedziałam, że tak będzie! Niech sobie gadają, kogóż to może obchodzić! Pochwyciła jego pochwalające spojrzenie i szept:

– Doskonale,

Samochód podjeżdżał do stacji Buklandbury. Mała, szara figurka lady Casterley, wychodząca z drzwi budynku stacyjnego, zdradzała tylko nieznaczące ślady zmęczenia długą podróżą. Zatrzymała się przy aucie, patrząc bystro na siedzące w niem osoby.

– Jak się masz, Frith. Mr. Courtier, jeśli się nie mylę? Czytałam pańską książkę. Nie zgadzam się zupełnie z panem. Jest pan bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Dzień dobry panu. Muszę wziąć ze sobą te dwie walizki, resztę może zabrać platforma... Randle, usiądź z przodu i uważaj, żebyś się nie zakurzyła. Anno...

Lecz mała Anna znajdowała się już koło szofera, oddawna planując tę zmianę.

– Hm, a więc zranił pan nogę? Niech pan się nie rusza, zmieścimy się we trójkę. Teraz, moja droga, ucałuj mnie. Urosłaś, widzę, znowu.

Pocałunek lady Casterey, jeśli nim kogoś łaskawie obdarzyła, pozostawał czemś niezapomnianem, jak również i pocałunek Barbary, choć tak bardzo różniły się one. Oczy lady Casterley, starcze, błyszczące i badawcze, upatrywały miejsca, którego dotknąć miały jej wargi, następnie wyciągała spiczastą brodę, usta jej wahały się chwilę, jakby chcąc się upewnić, dotykały potem sucho i twardo policzka,

drgały leciutko, łagodząc trochę dotyk, wreszcie odskakiwały, jak z procy. Co do Barbary, to oczy jej nabierały ognia, dołeczek ukazywał się na brodzie, usta poddawały się lekko, unosiła się całym ciałem i wreszcie dawał się słyszeć lekki, słodki odgłos. – Ucałowawszy babkę, Barbara poprawiła się na miejscu – i spojrzała na Courtiera. Siedząc „we trójkę”, zmuszony był jej dotykać i zdawało się jej, że mu to bynajmniej nie sprawia przykrości.

Od zachodu podniósł się wiatr i rozproszył chmury, tak, że ukazały się promienie słońca. Ostry głos kukułek gonił za pędzającym autem. Głęboki, słodki zapach łąk, zarosłych wrzosem i paprocią, płynął na skrzydłach wiatru. Lady Casterley ze swemi cienkimi, rozdętymi dla wdechania woni, nozdrzami, podobna była do drobnego, drapieżnego ptaka.

– Doskonałe powietrze macie tutaj – rzekła.

– Teraz, panie Courtier, zanim zapomnę, może zechce mnie pan objaśnić kim jest ta Mrs. Noel, o której ciągle słyszę.

Barbara nie mogła się powstrzymać od zerknięcia w bok na Courtiera. Jak zachowa się wobec babki? Oto nadeszła chwila, aby zobaczyć, jaki on jest właściwie. Babunia była naprawdę straszliwa.

– Mrs. Lees Noel jest wyjątkowo uroczą kobietą, lady Casterley.

– Wcale nie wątpię, lecz zdziwiło mi się słuchać o tem od wszystkich.

Chciałabym się dowiedzieć o jej historii.

– A czy posiada ona jakąkolwiek?

– Ha – rzekła lady Casterley.

Bardzo, bardzo łeciuteńko przycisnęła Barbara rękę swą do ramienia Courtiera. Co za nadzwyczajna rzecz być świadkiem porażki babuni!

– Może wobec tego dowiem się czegoś o jej przeszłości?

– Nie ode mnie, lady Casterley.

– Wszystko to jest nader tajemnicze, lecz potrafię sama dowiedzieć się tego, na czym mi zależy.

Ty znasz ją podobno, moja droga, musisz pójść ze mną do niej.

– Ależ babuniu, gdyby ludzie nie mieli przeszłości, nie mieliby również przyszłości.

Lady Casterley zacisnęła mocno drapieżną dłoń na ręce wnuczki.

– Nie mów głupstw i nie rozkładaj się tak, jesteś już za duża na to...

Tego wieczora przy obiedzie wszyscy już wiedzieli o ostatnich wypadkach. Sir Wiliam dowiedział się o nich od agenta z Staverton, gdzie wygłoszoną przez lorda Harbingera mowę zakłócono kilkakrotnie ordynarnymi wystąpieniami.

Geoffrey Winlow przyjechał z Winkleigh na swym aeroplanie, przywożąc kilka numerów tego obelżywego świstka. Jedynym domownikiem, który nie słyszał o niczem, był lord Dennis Fitz-Harold, brat lady Casterley.

Przy obiedzie mówiono niewiele o sprawie Miltoun'a, lecz, gdy tylko panie usunęły się, lord Harbinger otwarcie i z porywczością, której trudno się było u niego spodziewać, sądząc po spokojnej i klasycznej twarzy – oznajmił, że jeśli się nie przedsięwzięcie zaraz ostrych środków zaradczych, kandydaturę Miltoun'a uważać można za przepadła. Naprawdę, sprawa była poważna! Ci nędznicy wiedzą o tem i postarają się skorzystać! A Miltoun pojechał sobie do miasta tymczasem, niewiadomo zupełnie po co? Djabelnie przykra sprawa! W przemowie tego młodego człowieka dominował zawsze lekko drwiący ton, oraz pewność siebie, której nic nie zdołało zachwiać, prócz obawy śmieszności. W tym jedynym wypadku tracił grunt pod nogami.

Wypowiedziane trochę ironicznie słowa: – O co właściwie idzie, drogi przyjacielu? – powstrzymały natychmiast jego wywody.

Lord Dennis Fitz-Harold, brat lady Casterley, był przeciwnieństwem, a zarazem jakgdyby uzupełnieniem swej siostry. Jego lekko-ironiczna ogłada przeczyła zupełnie jej porywczej stanowczości. Głos, Bertie, za ledwie otwierając swoje wąskie usta i patrząc w pół-przymkniętymi oczami na swego wuja, tłumaczył. W odnajętym domku w Monkland mieszka jedna pani – bardzo ładna zresztą – Mr. Courtier zna ją – Miltoun odwiedzał ją od czasu do czasu – tego wieczora był u niej trochę później, łotry skorzystał z tego – wyolbrzymiły sprawę, zarzucając różne rzeczy – może przepaść na wyborach, jeśli się jakoś nie zaradzi. Djabelnie przykra historia!

Jego zdaniem, Miltoun, aczkolwiek zawsze zrównoważony, tym razem okazał dziwną nieostrożność, pozwalając, by ta pani wyszła z nim razem na łakę, zdradzając się tem samem, gdzie był, nim pospieszył z pomocą Courtierowi. Nie należy afiszować się z kobietami, które nie posiadają określonego stanowiska, choćby były najbardziej pociągające.

Nastąpiło ogólne milczenie. Przerwał je Winlow: Co im teraz czynić wypada? Może należy zdepeszować po Miltoun'a? Tego rodzaju rzeczy roznoszą się lotem błyskawicy. Sir Wiliam, nieprzyzwyczajony do zwalczania jakichkolwiek trudności, wyraził obawę, że sprawa może mieć bardzo niepożądane następstwa. Zdaniem Harbingera należało obić redaktora pisma. Czy nikt nie wie, jak się zachował Courtier, gdy się o tem dowiedział? Gdzie się on podziewa obecnie, czy obiady w swoim pokoju? Bertie zauważył, że jeśli Miltoun znajduje się w Valleys House, to depesza może go jeszcze tam zastać. Cała sprawa musi być natychmiast zlikwidowana! Im dłużej zastanawiali się nad sytuacją, tem dokładniej zdawali sobie sprawę z zuchwałej bezczelności, tembardziej wzbierała w nich chęć dania czynnej nauczki łotrom, winnym zamieszania, – krewkość, właściwa młodym ludziom z wysokich sfer. Nagle rozbrzmiał głos

starego lorda Dennisa:

– Zastanawiam się nad tą biedną kobietą!

Odwracając się gwałtownie w stronę, skąd dobiegał go miły, starczy głos i starając się odzyskać nad sobą panowanie, które go rzadko zresztą opuszczało, lord Harbinger bąknął:

– Tak, oczywiście, lordzie Fitz-Harold – naturalnie!

## ROZDZIAŁ IX

W mniejszej bawialni, używanej tylko wtedy, kiedy w domu przebywało niewiele osób, Mrs. Winlow zasiadła do fortepianu. Grała ona wyłącznie dla własnej przyjemności, gdyż lady Casterley, lady Valleys i jej obie córki skupiły się, omawiając ostatnie wypadki.

Było to najlepszym świadectwem dla Miltoun'a, że zarówno tutaj jak i w sali jadalnej nie panowała żadna wątpliwość co do czystości i prawości jego stosunku z Mrs. Lees Noel. Jednak, kiedy tam cała sprawa rozpatrywana była jedynie z punktu widzenia przyszłych wyborów, tutaj okoliczność ta była drugorzędna. Umysły kobiece, dochodzące z intuicyjną szybkością do jądra wszystkiego, co zagraża mężczyźnie do nich należącemu, zdawały sobie już doskonale sprawę z tego, że powstałe plotki jeszcze bardziej przykuć mogą człowieka o usposobieniu Miltoun'a do tej kobiety.

Rozporządzały one tak niewielką garstką faktów, poza którymi powstawała cała masa najróżnorodniej szych przypuszczeń, że w istocie wszelka dyskusja na ten temat stawała się boleśnie trudna. Nigdy przedtem zapewne nie zdawała sobie żadna z tych czterech większą arbitralność swej przemowy, przez ciągłe nerwowe poruszanie ręką i zmarszczkę na zwykle gładkim czole. Na twarzy lady Valleys widniało zdziwienie, jakgdyby niespodziankę sprawiał jej fakt, iż przejmuje się czemś na serjo. Agata zdawała się wyraźnie zaniepokojona. Ta spokojna kobieta odznaczała się w gruncie rzeczy bardzo silnym charakterem i obdarzona była wrodzonym pietyzmem, dzięki któremu przyjmowała bez zastrzeżeń raz ustalony porządek rzeczy w życiu i religji. Całym światem był dla niej dom i rodzina i odczuwała istotny, choć trochę opanowany strach przed wszystkim, co godzić mogło w jej ideał. Ludzie uważali ją za spokojną, nudną, ograniczoną kobietę, porównywali do kury, drepcącej wiecznie koło swych kurcząt. Być może, iż nie odznaczała się ona wybitnym charakterem, lecz to pewne, iż jej zmartwienie wobec sytuacji, w jakiej znajdował się brat, było szczere i niełatwe do pocieszenia. Widziała niebezpieczeństwo, które mu groziło z tej strony, z jakiej jedynie pojmowała mężczyznę – jako przyszłemu mężowi i ojcu i to jedynie przemawiało do jej serca, choć i z drugiej strony pobożność ostrzegała ją przed zagładą jego duszy, podzielała bowiem poglądy kościoła anglikańskiego na nierozzerwalność małżeństwa.

Co do Barbary, to stała ona koło kominka, oparłszy się białymi plecami o rzeźbiony marmur, z rękami wtył założeniami. Oczy miała spuszczone. Od czasu do czasu krzywiła usta, ściągając proste brwi, albo lekko wzdychała. Chwilami słaby uśmiešek, który natychmiast powściągała, wybiegał na jej usta. Ona jedyna milczała, – młodość krytykująca życie! Jej zapatrywania wyrażały się tylko przez równy, niczem niezmacony oddech, przez niecierpliwie chwilami marszczenie czoła, spojrzenie opuszczonych niebieskich oczu, pełnych spokojnego, nieugaszzonego blasku.

Lady Valleys westchnęła.

– Gdyby tylko nie był takim dziwakiem! Jest zdolny do tego małżeństwa przez czystą przewrotność.

– Co takiego? – rzekła lady Casterley.

– Nie widziałas jej nigdy, mammo. Niestety chce, iż jest wyjątkowo interesująca – twarz ma prawdziwie piękną.

Agata wtrąciła spokojnie.

– Mama zapomina chyba, że mąż się z nią rozwiódł. Nie przypuszczam, żeby Eustachy w tym wypadku zechciał się z nią ożenić.

– Tak, oczywiście, – szepnęła lady Valleys, – być może, że to uratuje sytuację.

– Czy nie wiecie jaki był powód rozwodu? – spytała lady Casterley.

– Hm, wikary twierdzi, że to ona zażądała go, lecz wikary jest bardzo dobroduszny. Być może, że było tak, jak Agata przypuszcza.

– Nie znoszę niepewności. Dlaczego nikt nie zapyta się wprost tej kobiety?



– Powinnaś pójść ze mną, droga babuniu, i zapytać jej sama. Napewno uczynisz to ładnie i taktownie.

Lady Casterley podniosła wzrok na wnuczkę.

– Pomówimy jeszcze o tem, – odpowiedziała.

Wyniosłe i krytyczne spojrzenie jej oczu złagodniało nieco. Narówni z innymi nie mogła się ona powstrzymać od pewnej pobłażliwości względem Barbary.

Podziwiała ona nawet – chociaż niezwykła była nic nigdy podziwiać, tę potężną radość życia, promieniejącą od dziewczyny, jak od wspaniałej nimfy, rozbijającej wokół siebie fale nagimi biodrami i odrzucającej ramionami pianę wód. Czuła, iż raczej w tej wnuczce, niż w dobroduszej Agacie żyje duch partycjuszowski. Bezwątpienia i Agata posiadała swe zalety, przede wszystkim powagę i wzniosłe zasady, lecz jej ograniczony światopogląd i zbyt anglikańskość przekonań, raziły trochę wielkopańskie usposobienie lady Casterley.

Barbara napewno nie zastanawiała się nad problemami moralności lub nad zagadnieniami, które nie miały istotnego znaczenia dla jej sfery. Być może sprzeciwiała się im nawet czasami, poprostu z przekory, właściwej jej bujnej naturze, – w myśl choćby tej zasady, którą śmiała dziewczyna wygłosiła: „Gdyby ludzie nie mieli przeszłości, nie mieliby również przyszłości”. A lady Casterley nie znosiła ludzi, którzy nie mieli przeszłości, była ambitna nie tą niską ambicją kogoś, kto stał się czemś z niczego, lecz tą wzniosłą ambicją ludzi, stojących u szczytu i pragnących nadal tam się utrzymać.

– A gdzieżeś ty poznała tę... tę nieznaną panią? – zapytała.

Barbara odeszła od kominka i pochyliła się, obejmując babkę.

– O mnie się nie obawiaj, babuniu, mnie ta znajomość zaszkodzić nie może.

Z poza otaczających ją ramion wnuczki lady Casterley wychyliła twarz z wyrazem powątpiewania. Strofowała ją łagodnie:

– Już ja znam twoje wykręty, powiedz natychmiast gdzieś ją poznała.

– Spotykamy się czasami. Jest taka śliczna! Rozmawiamy ze sobą.

Agata odezwała się znowu:

– Moja droga Barbaro, uważam, że ta zażyłość jest przedwczesna.

– Dlaczego, moja droga Agato? Gdyby miała nawet czterech mężów, cóż mnie to może obchodzić?!

Agata przygryzła wargi. Lady Valleys szepnęła z uśmiechem:

– Doprawdy jesteś niemożliwa, Barbaro.

Muzyka Mrs. Winlow ucichła. Mężczyźni weszli do bawialni. Twarze wszystkich czterech kobiet przybrały nagle wyraz obojętny, jakgdyby nałożyły maski, gdyż, chociaż znajdowały się wśród rodziny, – winlowowie byli kuzynami – każda z nich odczuwała na swój sposób, że temat nie nadaje się do

ogólnej dyskusji. Rozmowa potoczyła się teraz, przeskakując od afery wojennej – o której winlow twierdził, że z pewnością w ciągu tygodnia, będzie zlikwidowana – do ostatniej mowy Brabrooka, zimitowanej natychmiast przez Harbingera. Następnie rozważano brawurowy lot aeroplanem, dokonany przez Winlowa, ostatni artykuł Andrzeja Granta w Partenonie i karykaturę lorda Harbingera, zamieszczoną w Cakler, zatytułowaną: „Nowy Torys, Lord H-ger przynosi swym przyjaciółom reformę socjalną”, która wyobrażała go, ukazującego nagie niemowlę całemu szeregowi starych, utytułowanych dam. Z kolei mówiono o modnym tancerzu, o nowej ustawie ubezpieczeniowej, potem znów o wojnie, o świeżo wydanej książce pisarza francuskiego, i znów o locie winlowa. Wszystko wypowiadano poprostu i otwarcie, jakgdyby każdy mówił właśnie to, co mu w danej chwili przyszło do głowy. Lecz we wszystkim dawało się odczuwać jakieś dziwne pomijanie głębszego znaczenia omawianych kwestyj, lub może tego znaczenia nikt nie umiał się dopatrzeć.

W drugim końcu pokoju siedział lord Dennis, przeglądając tekę ze sztychami. W pewnej chwili uczył lekkie dotknięcie, a poczuwszy specyficzny delikatny zapach, spytał, nie odwracając głowy:

– Śliczne ilustracje, nieprawdaż Barbaro?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, spojrzął poza siebie. Rzeczywiście, pochylona nad nim stała Barbara.

– Nienawidzę obgadywania po za czyjmiś plecami, – rzekła.

Istniała pomiędzy tym dwojgiem ludzi przyjaźń, datująca się już od czasu, kiedy Barbara, – urocza złotowłosa dziewczynka, siedząca po męsku na małym, szarym kucu, – towarzyszyła lordowi w jego codziennych konnych przejażdżkach.

Teraz już oddawna nie uprawiał tego sportu, jak i zresztą wszystkich innych, prócz jednego rybołówstwa, któremu oddawał się z zaciętością człowieka, obdarzonego

dumną, wytrzymałą naturą, niemogącą się pogodzić z nieubłaganym piętnem czasu. Choć jednak przestał być jej towarzyszem, pozostał zawsze jeszcze powiernikiem, i teraz spoglądał na nią, gdy odchodziła ku oknu, z wyrazem zawiedzionego wyczekiwania.

Noc zapadła, jedna z tych ciemnych, a jednak promienistych nocy, kiedy zdaje się, że złe moce rozpętały się w niebiosach, kiedy gwiazdy, błyskające z poza chmur, wyglądają jak oczy, mrugające ku ludziom ze złowrobną złośliwością. Ponury nastrój przenikał wielkie, szumiące drzewa prócz może jednego ciemnego, krętego cyprysa, który stał tu już od trzystu pięćdziesięciu lat i którego wyniosły kształt zdawał się być wcieleniem najistotniejszego ducha tradycji. Nie szumiał on, ani łamał się jak inne drzewa. Zbyt delikatne miał nerwy, zbyt dumny był, by ugiął go dech natury. Dawał się słyszeć tylko suchy szelest; cyprys ten, wciąż jeszcze egzotyczny, mimo iż od wieków przebywał na tym gruncie, był prawie-że przerażający w swej ostrej, groźnej powadze, jakgdyby coś wyszło i wymarło w głębi jego duszy. Barbara odeszła od okna.

– Nie pozostaje nam, zdaje się, nic innego w życiu, jak zabawa w ryzyko, – rzekła.

Lord Dennis spytał sucho:

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, moja droga.

– Pomyśl tylko o Courtierze – powiedziała, – życie jego jest o tyle ryzykowniejsze, niż życie któregokolwiek z naszych mężczyzn. A jednak kpi sobie z niego.

– A właściwie cóż on takiego uczynił w życiu?

– Oh, bezwątpienia, nic wielkiego, ale w każdym razie stawia wszystko na jedną kartę, a tymczasem cóż ryzykuje taki Harbinger naprzykład? Jeśli nawet jego reformy socjalne nie doprowadzą do niczego, pozostanie on zawsze lordem Harbingerem z pięćdziesięcioma tysiącami funtów rocznego dochodu.

Lord Dennis spojrział na nią z dziwnym wyrazem.

– Czy być może, iż tak mało przypisujesz mu wartości, Barbaro?

Barbara wzruszyła ramionami, szal zsunął się trochę, ukazując białe plecy.

– Właściwie jest to wszystko tylko zabawa, a on wie o tym najlepiej – wyczuwa się to w jego głosie. Oczywiście, że nie może zaradzić temu, iż go to niewiele obchodzi, – i z tego zdaje sobie równie dobrze sprawę.

– Słyszałem, że interesuje się tobą i że stara się o twoje względy. Czy to prawda?

– Starania jego nie uwieńczone zostały jeszcze żadnym rezultatem.

– A czy zostaną?

Zamiast odpowiedzi Barbara znów wzruszyła ramionami i mimo jej dojrzałej, posągowej piękności, ruch ten przypominał małą dziewczynkę w szkolnym fartuszk.

– Powracając do Courtiera, – rzekł lord Dennis sucho – zdaje mi się, że ty się nim interesujesz.

– Interesuję się wszystkimi i wszystkim, wiesz przecież o tym, wuju.

– W jakim celu, moje dziecko?

– W celu – naturalnie tak, jak Eustachy... – urwała.

Harbinger stał tuż za nią, z wyrazem takiej uniżoności, jaką rzadko zdarzało mu się przybierać. Istotnie w spojrzeniu, jakim ją obrzucał, malowała się prawie że trwoga.

– Czy zechce pani zaśpiewać tę piosenkę, którą tak bardzo lubię, lady Barbaro? Odeszli razem w stronę fortepianu. Lord Dennis, patrząc za tą wspaniałą młodą parą, gładził swą białą brodę z wyrazem powagi i głębokiego zadumania.

ROZDZIAŁ X

Nagła podróż Milton'a do Londynu podjęta była na zasadzie decyzji, którą powziął już w chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał Mrs. Lees Noel w przedsiönku fermi Burracombe. Jeśli będzie mu przychylna – a od ostatniego wieczoru, z nią spędzonego, zdawało mu się, że będzie napewno – zdecydował się poślubić ją.

Życie jego, z wyjątkiem jedyne go przekroczenia przyjętych zasad, było bardzo surowe. Nie znaczyło to jednak, by natura jego odznaczała się chłodem.

Przeciwnie, ogień, zazdrośnie ukrywany, nurtował głęboko w jego duszy

przytłumionym płomieniem, którego nic nie podsycało. Z chwilą, kiedy w sercu jego zapanowała miłość do tej kobiety, ogień rozgorzał gwałtownie. Była ona wcieleniem wszystkich jego pragnień. Jej włosy, oczy, postać cała, dołeczki w kącikach ust, w tym miejscu, gdzie dziecko kładzie swój paluszek, jej sposób poruszania się, dźwięk radości w głosie, który nietyle pochodził z jej własnego zadowolenia, ile z głębokiego pragnienia uszczęśliwienia innych, przyrodzona, żywa inteligencja, która jest udziałem dobrych, współczujących, a którą rzadziej można znaleźć wśród ambitnych, żądnych władzy kobiet – wszystko to zapadło mu głęboko w serce. Nietylko marzył o niej, lecz pożądał jej, wierzył w nią. W myślach widział ją zawsze jako istotę niezdołną czynić złe, która, będąc żoną, będzie jego panią, a jednocześnie towarzyszką w każdej dziedzinie życia.

Nikt nigdy nie odważył się plotkować o kobietach w obecności Miltouna. Całą historję rozvodu Mrs. Noel sprowadzał jedynie do przekonania, że to ona była stroną pokrzywdzoną. Oprócz rozmowy z wikarym, raz tylko jeden zdarzyło mu się napomknąć o tej sprawie, a to w odpowiedzi na uwagę pewnej pani, która stała blisko spraw sądowych.

– Ach, tak, Mrs. Lees Noel, pamiętam ten wypadek doskonale. To ta biedna kobieta, która...

– Nie uczyniła tego z pewnością, lady Bonnington – przerwał Miltoun.

Ton jego głosu wywołał czyjś uśmiech. Zmieniono temat rozmowy.

Chociaż rozwody nie zgadzały się z jego przekonaniem, jednak przyznawał trochę niepewnie, że istnieją wypadki, kiedy odzyskanie wolności jest nieuniknioną koniecznością. Nie był człowiekiem, który domaga się zwierzeń, lub nawet czeka na nie. On sam nie dzielił się z nikim swymi duchowymi przeżyciami, a inne nieduchowe przeżycia nie interesowały go zupełnie. Był gotów w każdej chwili oddać swe życie w ofierze dla bóstwa, któremu wznosił ołtarz w swej duszy, tak jakby szczerze i prosto osłonił swym ciałem tę kobietę w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

To samo zaślepienie, które sprawiło, iż traktował swą miłość jako kwiat odosobniony, wyrosły sam przez się i bez względu na to, czy stosowny będzie wśród kwiatników ogrodu społecznego, to zaślepienie było główną siłą, która kierowała nim w podróży do Londynu i skłoniła do wyjawienia swych zamierzeń ojcu, zanim jeszcze rozmówił się z Mrs. Lees Noel. Chciał to uczynić szczerze i otwarcie, gdyż posiadał odwagę cywilną, będącą udziałem ludzi, których życie zasklepiło w skorupie własnych dążeń. Być może nie była to tyle czynna odwaga, ile zupełna obojętność na to, co inni myślą lub czynią, płynąca z wrodzonego nieposzanowania czyichś uczuć. Specyficzny uśmiech starego kardynała z czasu Tudorów – który zawierał w sobie niezwykłą pewność siebie i rodzaj mądrej ironji – błąkał się po jego twarzy, gdy zastanawiał się nad wrażeniem, jakie wywołała ta nowina na jego ojcu; lecz niebawem przestał się tem wogóle interesować, zagłębiwszy się w pracy, którą zabrał był ze sobą na drogę. Posiadał on w wysokim stopniu rozwiniętą, a tak niezbędną w życiu publicznym zdolność łatwego przeczucia uwagi z jednego tematu na drugi.

Przybywszy do Londynu, udał się natychmiast do Valleys-House.

W tym wielkim budynku, z długim przedsieniem, wspartem na szeregu arkad, wszystko zdawało się nosić na sobie wyraz zdziwienia, że w pełni sezonu nikt go jeszcze nie zamieszkuje. Trzech służących odebrało od Miltoun'a bagaż. Umył się, przebrał, a dowiedziawszy się, że ojciec będzie w domu dopiero na obiedzie, udał się spacerem w kierunku swego mieszkania w Tempie. Jego wyniosła postać, trochę niedbale odziana, zwracała powszechną uwagę, której zresztą był jak zwykle nieświadomy. Idąc naprzód, rozmyślał o takim Londynie, o takiej Anglii, która różniłaby się od tej czczej wrzawy, od tego różnorodnego zbiorowiska, od niezgodnej symfonji krzyżyków i bemoli, o Londynie i Anglii szanującej się i poważnej, wolnej, oczyszczonej z zaułków, plutokracji, reklamy, szpetnych budowli, sensacji, wulgarności, grzechu i bezrobocia. Takiej Anglii, gdzie każdy człowiek będzie wiedział, gdzie jego miejsce, nie będzie dążył tam, gdzie nie należy, lecz na własnym stanowisku służyć będzie lojalnie swojej sferze; gdzie każdy człowiek od szlachetnie urodzonego do robotnika będzie despotą z przekonania, a gentlemanem w życiu, – Anglii, która będzie tak potężna i tak wpływowa, że sam jej widok wystarczy, by uczynić Pokój, – Anglii, której dusza będzie piękna i mężna pięknnością i stoicyzmem każdej poszczególniej duszy pośród miliona; gdzie i miasto i wieś

spełnią właściwe im zadania, gdzie panować będzie ogólne zadowolenie i umilknie wszelki bunt na ulicach... I kiedy szedł tak po Strandzie, mały, oberwany gazeciarz przebiegł tuż koło niego. „Krwawe odkrycie w banku! wielka sensacja!” Miltoun nie zwrócił uwagi na sens słów, jednak na sam dźwięk tego głosu, jakiś powiew, który znajduje się zawsze w zbiorowiskach ludzi żyjących, niedbały, cudowny, niczem niepohamowany powiew rozegnał ego surowo kształtującą się wizję. Był to potężny wiew, złożony z mil jardów dążeń mężczyzn i kobiet, z modlitw nieprzebranych tłumów, zanoszonych przed ołtarz bogini Sensacji, Fortuny i wieczystej Odmiany. Dech, wędrujący od serca do serca, od ust do ust, podobnie jak na wiosnę czujne powietrze wędruje wśród lasu, powierzając każdemu drzewu, każdej gałązce tajemnicę nowego życia, namiętą dążność do rozkwitania, do stawania się – czemśkolwiek – wszystko jedno czem. Westchnienie tak wieczne, jak szmer morza, zbyt nieuchwytnie, by je stłumić, zdolne w każdej chwili wyolbrzymić do potężnego okrzyku.

Miltoun, lawirując wśród ruchu ulicznego, przyglądał się wszystkiemu dokoła, nie widząc tego, co było w istocie, lecz wpatrując się oczyma wiary w kształt, który widzieć pragnął.

Niedaleko katedry Świętego Pawła przystanął przed starą księgarnią. Poważna, szlachetna, bladawa twarz młodego lorda dobrze była znana właścicielowi sklepu Williamowi Rimall, natychmiast też dobył on z półki swój ostatni cenny nabytek „Utopję” Tomasza Moor'a. To wyjątkowe wydanie – zapewniał Miltoun, – było zupełnie wyczerpane, on sam sprzedał w swym życiu tylko jeden jedyny podobny egzemplarz, który już dosłownie się rozsypywał. Ten egzemplarz był w daleko lepszym stanie, mógł przetrwać z pewnością jeszcze ze dwadzieścia lat, był zupełnie oryginalny – prawdziwie cenna zdobycz.

Miltoun otworzył tomik, małutki mól książkowy śpiący na słowie „Tranibore”, począł powoli pełzać po stronicy.

– Tak, widzę, że jest to oryginalny egzemplarz, – rzekł.

– Nie nadaje się bardzo do czytania – uprzedził go mały przekupień – samo przewracanie stronic może je uszkodzić, lecz jak już zaznaczyłem, jest to mój najlepszy nabytek w ciągu całego tego roku. Naprawdę nie miałem nic lepszego.

– Przenikliwy stary marzyciel – zauważył Miltoun – teraz jeszcze nawet nie wyprzedzili go socjaliści swemi poglądami.

Mały człowieczek zamrugnął lekliwie oczyma, jakby przepraszając za poglądy Tomasza Moor'a.

– Hm – rzekł – mam wrażenie, że był jednym z nich. Nie przypominam sobie, czy jego lordowska mość interesuje się polityką?

Miltoun uśmiechnął się.

– Chciałbym widzieć Anglję, drogi panie Rimall, podobną do tej wyśnionej w marzeniach Moor'a, lecz mój ustrój będzie inny. Ja rozpoczynam od wierzchołka. Staruszek przytaknął.

– Tak, tak – rzekł – i do tego dojdziemy, mam nadzieję.

– Musimy dojść, panie Rimall. – Miltoun począł przerzucać stronicę.

Twarz starego księgarza skrzywiła się boleśnie.

– Mam wrażenie, że ta książka jest już za bardzo zniszczona dla pana, milordzie, z pańskim zamiłowaniem do czytania. Tutaj mam jeszcze jeden bardzo ciekawy tomik – o świątyniach chińskich. Jest bardzo rzadki, choć nieszczególnie stary. To może pan przestudjować gruntownie. Oto książka, którą można się rozkoszować – doskonała dla „smakoszków”, jak ja to nazywam. Na dziwnej zasadzie wznosili Chińczycy te budowle – dodał, otwierając książkę na odpowiedniej rycinie, – warstwami. My nie budujemy tak w Anglji.

Miltoun spojrział bystro. Twarz staruszka nie mówiła nic.

– Niestety, nie, panie Rimall – rzekł młodzieniec – lecz powinniśmy tak budować i będziemy. Biorę tę książkę.

Wskazując palcem ilustrację, przedstawiającą pagodę, dodał:

– Świetny symbol!

Oczy małego księgarza ześlizgnęły się po świątyni do znaczka z ceną, umieszczonego niewidocznie.

– Doskonale, milordzie – rzekł – byłem pewien, że przypadnie ona panu do gustu. Cena dla pana będzie dwadzieścia siedem szylingów i sześć pensów. Zapłaciwszy, Miltoun wyszedł ze sklepu, udał się do Tempie, pozostawił książkę w swym mieszkaniu i powracał brzegami matki Tamizy. Słońce, pieszcząc ją namiętnie tego popołudnia, rozcałowało w niej wszystko ciepło, blask i barwę.

Wszystkie budynki na jej wybrzeżu, aż poza baszty Westminsteru zdawały się uśmiechać. Był to wspaniały widok dla zakochanego. I nowa wizja powstała w duszy Miltoun'a – wizja, wyobrażająca łagodną kobietę, o cichym, słodkim głosie, pochylającą się wśród kwiatów. Nic nie mogło być całkowite bez niej, żadna praca nie mogła wydać plonu, żadne zamierzenie osiągnąć pełnego znaczenia. Przy obiedzie lord Valleys powitał swego syna przyjaźnie, choć nie bez zdziwienia.

– Cóż to, masz dzień swobodny, mój drogi? Czy też przyjechałeś posłuchać, jak Brabrook będzie nas skalował? Tym razem spóźnił się on, sprawa samolotów jest zlikwidowana z wynikiem zadawalającym.

Przyglądał się Miltoun'owi swymi jasnymi, szarymi oczami, o wyrazie chłodnym i badawczym: skąd spodziewać się należało uderzenia? Napewno nie z tej strony, za którą zdawały się przemawiać okoliczności!

Odpowiedź Miltoun'a: „Przyjechałem, aby coś zakomunikować ci, ojczy, – zatrzymała spojrzenie, którym badał młodzieńca o sekundę dłużej, niż przyzwoitość wymagała.

Nie byłoby prawdą twierdzić, że lord Valleys obawiał się swego syna. Lękliwość nie była cechą jego charakteru, lecz odnosił się do niego z jakąś poważaniem pełną ciekawością, która graniczyła z niepokojem. Despotyzm umysłu i przekonania politycznych Miltoun'a przerażał go prawie, jego, który zarówno przez swoje usposobienie, jak i doświadczenie, wiedział, że nie należy nigdy zbyt ściągąć cugli. Rady tej udzielał często swym dżokejom przy ujeżdżaniu koni. I takiej samej rady chętnie udzieliłby nieraz swemu synowi. Pięćdziesięcioletnie doświadczenie – było najlepszą rękojmią, iż nigdy nie będzie zmuszony do zmiany tej wygodnej polityki, a jego charakter zdawał się wskazywać na to, że nawet w prawdziwej ostateczności, narazi się raczej na najpoważniejszą przykrość, niż sprzeniewierzy się swej dotychczasowej taktyce. Był w stanie rozumieć młodzieńców tego pokroju co Harbinger – zmienny, trochę narwany, upojony niby mocnym winem swymi „reformami socjalnymi”. Trzeba go będzie od czasu do czasu poskromić, lecz nie będzie z nim poważnych trudności – lekki do prowadzenia młody ogier, który wymaga tylko umiejętnego pokierowania na zakrętach. Żąda tylko, aby go słuchano i dawano mu odczuć, iż czyni cośkolwiek. Wszystko jak należy i zupełnie jasne. Lecz z Miltoun'em (lord Valleys zdawał sobie sprawę, iż nie gra tu roli jedynie ojcowskie przeczulenie) rzecz przedstawiała się inaczej. Jego syn posuwał wszystko do ostateczności. Tymczasem był jeszcze niemowlęciem na gruncie polityki, lecz z chwilą kiedy zdobędzie stanowisko, siła jego przekonania wraz z jego pozycją socjalną i opanowanym, prawdziwym – nie jak u Harbingera, polegającym na częstym gadaniu, – darem oratorskim, sprawią, iż jednym posunięciem wybiję się na czoło partji. A tymczasem jakież były jego przekonania? Lord Valleys napróżno starał się je zrozumieć i jak dotychczas nie udawało mu się. Nie dziwiło go to zbyt, gdyż – jak sam się często wyrażał – przekonania polityczne nie były, choć się tak zdawać mogło, wynikami rozważań, lecz prostymi objawami usposobienia i charakteru. Nie mógł zrozumieć ich, gdyż nie zgadzały się z jego zapatrywaniami na sprawy publiczne, tak były niezyciowe i niezależne od prostych, praktycznych, codziennych okoliczności.

Lord Valleys nie był w gruncie rzeczy oportunistą, gdyż tkwiła w nim trwała lojalność dla tradycji tej sfery, która wielbi ponad wszystko dumę i odwagę, jednakże czuł, że Miltoun jest zbyt krańcowym arystokratą – nielepszym od fanatycznych socjalistów – ze swoim programem destrukcyjnym, ze swoimi poglądami wepchnięcia przemocą reform do gardła ludzkości i utrzymania ich tam żelazną ręką przemocy, jak również ze swym sposobem działania, opartym na zasadach. Ba, nawet przyznawał się, że działa w imię zasad. Na myśl o tym czuł lord Valleys wyraźne zaniepokojenie. Było to przecież nieomal niestosowne, – gorzej – śmieszne. Faktem niezbitym było, że syn jego, niestety, zastanawiał się głębiej, niż tego wymagała polityka. I tu tkwiła niebezpieczeństwo! Być może doświadczenie pomoże mu w przyszłości. I biorąc do pomocy swoje długoletnie doświadczenie, hrabia na Valleys starał się usilnie przypomnieć sobie któregośkolwiek z działaczy, którego praktyka polityczna nie wpłynęłaby na zmianę przekonania. Nie przypominał sobie takiego wypadku! Stanowiło to jednak dość wątpliwą pociechę. I ponad stołem jasne oczy ojca mierzyły z niepokojem syna. Co miał mu zamiar powiedzieć? Było to złowróżbne pytanie. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek Miltoun miał mu coś do powiedzenia.

Choć bowiem lord Valleys był prawdziwie łagodnym i pobłażliwym ojcem, jednakże stosunek jego do dzieci nie odznaczał się zbytnią zażyłością, jak to się często zdarza u ludzi, zajętych sprawami społecznymi i światowymi. Z wszystkich czworga jedynie Barbarę, obdarzał cieplejszym uczuciem. Podziwiał ją, a w usposobieniu jego leżało to, iż niezdolny był kochać – nie podziwiając jednocześnie. Będąc dalekim od tego, by wywierać jakikolwiek nacisk lub zmuszać kogoś do zwierzeń, czekał na wiadomości, jakich mu miał udzielić syn, nie zdradzając najmniejszego niepokoju. Miltoun zdawał się nie spieszyć. Opisywał wypadek Courtiera, który zabawił ogromnie lorda Valleys.

– Samosąd wykonany pieprzem tureckim! Nie przypuszczałem, że są zdolni do czegoś podobnego, – mówił. – A więc przebywa teraz u nas? Czy Harbinger stale ci jeszcze pomaga?

– Tak, lecz mam wrażenie, że wyczerpie się niezadługo – nie posiada wytrwałości.

– Czy pod względem politycznym? Miltoun potwierdził.

– Nie jestem wcale zachwycony, iż jest on naszym sprzymierzeńcem, mam wrażenie, iż raczej nam szkodzi. Czy widziałeś, ojcze, jego ostatnią karykaturę? Bardzo cięta. Nie mogłem jakoś znaleźć ciebie pośród tych starych dam.

Lord Valleys uśmiechnął się obojętnie.

– Bardzo sprytnie zrobiona, – rzekł. – Ale, prawda, czy wiesz, że mam nadzieję wygrania nagrody Eclipse?

W ten sposób naciągnięta rozmowa toczyła się aż do chwili, kiedy ostatni służący opuścił pokój.

Wtedy Miltoun, bez wszelkich przygotowań, patrząc wprost na ojca, przemówił:

– Pragnę poślubić Mrs. Noel, ojcze.

Lord Valleys wytrzymał to uderzenie z takim samym wyrazem, z jakim przyglądał się porażce swych koni na polu wyścigowym. Podniósł szklankę z winem do ust i postawił ją nienaruszoną. To było jedyną oznaką pewnego wzruszenia i zmieszania.

– Czy postanowienie to nie jest zbyt nagłe? Miltoun odpowiedział:

– Pragnąłem uczynić to już od chwili, kiedy ją poraż pierwszy ujrzałem.

Lord Valleys, który był prawie tak dobrym znawcą ludzi i sytuacji, jak koni lub wyżłów, pochylił się w krzesło i rzekł z lekkim sarkazmem:

– Bardzo ładnie z twej strony, żeś mnie uprzedził, choć, jeśli mam być szczery, jest to wiadomość, której wołałbym nie słyszeć.

Ciemny płomień przemknął po obliczu Miltoun'a. Niedocenił swego ojca widocznie. Ten człowiek umiał przecież zachować odwagę i zimną krew w chwilach decydujących.

– Czy mógłbym wiedzieć, jakie są twe zarzuty w tej sprawie, ojcze? – zapytał.

W tej chwili zauważył, że trzymany przez lorda Valleys biskopt zlekka drży.

Odkrycie to nie wywołało w nim skruchy. Obrzucił tylko starszego mężczyznę płomiennym spojrzeniem, takim samem zapewne, jakiemby gromił stary kardynał-męczennik oprawcę swego, któryby zdradził oznakę słabości.

Lord Valleys, zauważywszy również drgający biskopt, podniósł go do ust i zjadł.

– Jesteśmy ludźmi światowymi i zależy nam od naszego środowiska, – rzekł.

Miltoun odpowiedział:

– Ja nie.

Okazując po raz pierwszy oznakę zniecierpliwienia, lord Valleys odrzucił:

– Niech i tak będzie. Ja jestem.

– A więc? – spytał Miltoun.

– Eustachy!

Objąwszy kolana rękami, Miltoun siedział spokojnie, przyjmując okrzyk bez najlżejszego wzruszenia. Jego oczy, wlepione wciąż w twarz ojca, płonęły. Niepokój przeszył serce lorda Valleys. Jakaż siła uczuć tkwiła w tym młodzieńcu, jeśli mógł w taki sposób zachować się przy pierwszej oznace oporu! Wziął ze stołu pudełko cygar, wyciągnął je machinalnie w stronę syna i natychmiast cofnął.

– Zapomniałem, – rzekł, – że nie palisz.

Zapaliwszy cygaro, ciągnął dym z powagą, patrząc wprost przed siebie ze zmarszczką między brwiami. Powiedział wreszcie:

– Wygląda ona na kobietę z towarzystwa, nic więcej poza tem o niej nie wiem. Uśmiech otoczył usta Miltoun'a.

– Cóż więcej chciałbyś o niej wiedzieć? Lord Valleys wzruszył ramionami.

Postanowienie jego okrzepło.

– Wiem tylko to jeszcze, – rzekł zimno, – iż wchodzi w grę kwestja rozwodu. Mam nadzieję, że zasięgnąłeś opinii kościoła w tej sprawie?

– Czy znaczy to, że znasz jej przeszłość?

– Nie.

Lord Valleys podniósł brwi z wyrazem ironji i zarazem lekkiego podziwu.

– Rycerskość jest najlepszą formą dyskrecji, nieprawdaż?

Miltoun odpowiedział:

– Zdaje mi się, że nie rozumiesz uczucia, jakie żywię dla Mrs. Noel, ojczy. Nie leży to w zakresie twego pojmowania. Jest to uczucie, z którym jedynie wstąpić mogę w związki małżeńskie, a nie zdaje mi się, ażebym kiedykolwiek jeszcze miał je żywić dla innej kobiety.

Lord Valleys znowu uświadomił sobie dziwne uczucie niepewności. Czy było to prawdą? I nagle zorjentował się. Tak, to było prawdą, bezwątpienia! Twarz syna, siedzącego naprzeciw niego, była twarzą człowieka, który raczej spłonie we własnym ogniu, aniżeli odstąpi od swych przekonań. Nagła świadomość niezwyklej powagi sytuacji ogłuszyła go całkowicie.

– Narazie nie mogę ci nic więcej powiedzieć – wyszeptał, powstając od stołu.

## ROZDZIAŁ XI

Lady Casterley była zwolenniczką tej niedogodności, jaką jest wczesne wstawanie. Żadna z kobiet w całej Anglii nie była zapewne lepszą znawczynią kobiercowi utkanych z rosy porannej. W ciągu całego jej życia, natura rozkładała przed nią tysiące owych uroczych tkanin, gdzie wszystkie gwiazdy ubiegłej nocy, opadłe na ciemne tło ziemi, wyczekiwały, by wznieść się znów do niebios po promieniach słońca. W Ravensham wychodziła regularnie do swego ogrodu między godziną wpół do ósmej a ósmą, a jeśli gdzieś bawiła z wizytą, nie odstępowała od tej reguły, bez względu na to, jakie były miejscowe zwyczaje.

Kiedy więc jej pokojowa przyszła do garderobiany Barbary o siódmej rano i zakomunikowała: „Starsza pani prosi, żeby lady Barbara wstała” – ta nie zaniepokoiła się zbyt, będąc sama jeszcze w trakcie ubierania. Odparła więc tylko:

– Pójdę ją obudzić. Napewno nie będzie zadowolona.

W dziesięć minut później weszła do białego pokoiku, pachnącego goździkami – do świątyni uśpionej słodyczy – gdzie światło letnie wkradało się niepewnie przez kwieciste kretonowe zasłony.

Barbara spała z policzkiem wspartym na ręce. Jej płowe włosy, odrzucone wtył, spływały po poduszce. Usta miała rozchylone i garderobiana patrząc na nią pomyślała: „Chciałabym mieć takie włosy i takie usta”. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu zadowolenia. Lady Barbara była śliczna we śnie, ładniejsza może jeszcze niż zbudzona. Na widok tej wspaniałej istoty, śpiącej i uśmiechającej się przez sen, wszystkie przyziemne myśli, omraczające umysł tej, która służyła wiecznie w atmosferze, nieodpowiadającej jej naturalnemu rozwojowi, rozproszyły się. Prawdziwa piękność, w swej cudownej potędze oswoadzania duszy z więzów i wszelkich egoistycznych dążeń, napełniła słodyczą oczy tej prostej dziewczyny, która stała nieporuszona, powstrzymując oddech.

Po chwili Barbara otworzyła oczy, a ujrawszy swą garderobianę, spytała:

– Czy już jest ósma, Stacey?

– Nie, ale lady Casterley prosi, żeby jaśnie panienka towarzyszyła jej na przechadzce.

– Oh, co za utrapienie! Właśnie miałam taki cudowny sen.

– Tak. Jaśnie panienka uśmiechała się we śnie.

– Śniło mi się, że umiałam fruwać.

– A to dopiero przywidzenie!

– Widziałam ziemię, roztaczającą się pode mną tak dokładnie, jak widzę ciebie teraz. Unosiłam się wysoko, jak orzeł. Czułam, że w każdej chwili mogę się opuścić, gdzie zechcę. To było cudowne. Miałam nieograniczoną władzę.

I, odrzucając wtył głowę, przymknęła znów oczy. Promienie słońca padały wprost na nią, poprzez zapuszczone do połowy firanki. Nagły, dziwny impuls, aby wyciągnąć dłoń i dotknąć tej białej, pełnej szyi, zrodził się w umyśle Stacey.

– Aeroplany są głupstwem, – szepnęła Barbara – cały urok polega na tem, by samemu mieć skrzydła.

– Widzę już lady Casterley w ogrodzie, – rzekła Stacey.

Barbara wyskoczyła z łóżka i wyjrzała przez okno. Tuż przy kamiennym posągu Diany widoczna była mała, szara figurka lady Casterley, pochylona nad kwiatami. Barbara westchnęła. We śnie jej wraz z nią był jeszcze jeden orzeł i teraz czuwała rodzaj zdziwienia i nieznane dotychczas zadowolenie, które przenikało ją dreszczem, podczas kiedy się kąpała i ubierała.

W pośpiechu nie wzięła ze sobą kapelusza i kończąc jeszcze zapinanie batystowej sukienki, biegła schodami i długim krużgankiem w kierunku ogrodu. Przy końcu korytarza wpadła niemal w objęcia Courtiera.

Zbudziwszy się tego poranka, rozmyślał on najpierw o Audrey Noel i grożącym jej skandalu, potem przypomniał sobie wczorajszą towarzyszkę, tę piękną młodą istotę, której obraz znagła opanował go i przykuł do siebie. Pograżył się w rozkoszy wspomnień. Była ona dla niego uosobieniem młodości, doskonałością w swoim rodzaju – młodą dziewczyną bez żadnej manieri.

I pierwsze jego słowa teraz, kiedy wpadła na niego były:

– Uskrzydłone zwycięstwo!

Odpowiedź Barbary była również symboliczna:

– Orzeł! Wie pan, śniłam, że fruwaliliśmy razem! Courtier odpowiedział poważnie:

– Gdybyż bogowie mnie dali taki sen!...

Od drzwi, prowadzących do ogrodu, Barbara odwróciła główkę, uśmiechnęła się i wybiegła.

Lady Casterley w towarzystwie małej Anny, która zrozumiała natychmiast, iż było to niepowszedniością znajdować się o tej porze w ogrodzie, badała jakąś nową, nieznaną sobie odmianę kwiatów. Gdy spostrzegła swą wnuczkę, spytała natychmiast:

– Co to właściwie za roślina?

– Nemezja.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Jest teraz ogromnie modna, babuniu.

– Nemezja? – powtórzyła lady Casterley, – cóż może mieć bogini Nemezis za związek z temi kwiatami? Już nie mam doprawdy cierpliwości do tych ogrodników z ich idjotycznymi nazwami. Dlaczego jesteś bez kapelusza? Podoba mi się ten żółtawy odcień twojej sukienki. Masz jeden guzik niezapięty

Wyciągając swą małą, żylastą rękę, dziwnie pewną, jeśli się wzięło pod uwagę wiek lady Casterley, zapięła przedostatni guziczek stanika Barbary.

– Wyglądasz bardzo dobrze, moja droga, – rzekła. – Czy daleko jest do domku tej kobiety? Chciałabym pójść tam teraz.

– Nie wiem, czy już wstała – odpowiedziała Barbara.

Oczy lady Casterley zabłyśły złośliwie.

– Twierdzisz, że to kobieta do rzeczy, a żadna kobieta zdrowa i do rzeczy nie leży w łóżku po wpół do ósmej. Jaka jest najkrótsza droga? Nie, Anno, nie możemy ciebie zabrać.

Mała Anna, przyjrzawszy się pilnie swojej prababce, odpowiedziała:

– Nawet nie mogłabym z wami pójść, bo muszę odejść.

– Doskonale – odpowiedziała lady Casterley, – więc idź sobie.

Mała Anna, zaciąwszy usteczka, odeszła w kierunku najbliższej grupy nemezji i pochyliła się nad kwiatami z wyrazem skupienia, które wskazywało jasno, iż znalazła coś bardziej interesującego, niż wszystko dotychczas.

– Hm, – mruknęła lady Casterley i skierowała swe spieszne kroki ku drodze.

Po drodze rozprawiała o hodowli drzew, przypatrując się bystro niektórym okazom, rosnącym po obu stronach alei. Leśnictwo, mówiła, tak samo jak budownictwo, lub inne zamierzenia, wymagające cierpliwej działalności i wiary w przyszłość, było sztuką zupełnie zaniedbaną w tym wieku tandety. Ona sama namówiła dziadka Barbary, by kształcił się w tej dziedzinie, tak, że teraz w Catton (jej posiadłości wiejskiej, i nawet w Ravensham drzewa były godne widzenia. Tutaj, w Monkland, haniebnie je zaniedbywano. Posiadać piękny włoski cyprys, naprzykład, i nie troszczyć się o niego, było poprostu czemś skandalicznym.

Barbara słuchała, uśmiechając się leniwie. Babunia była tak zabawna z tą swoją energią i małostkowością, że sposobem mówienia, tak stanowczym i pewnym siebie, jak gdyby uważała, że może sobie na wszystko pozwolić. Dla dziewczyny, którą wciąż jeszcze prześladowało wspomnienie pięknego snu, upojonej słodyczą letniego poranka, było śmiesznym, iż ktoś wogóle mógł być takim. W tej samej



chwili ujrzała przez mgnienie oka twarz babki zmienioną, znieruchomiałą nagle, nieopanowaną, ponurą w swem bolesnem zastanowieniu nad zbliżającą się bezsilnością. W nagłym przebłysku intuicji, który nawiedzić może nawet młodą i pełną życia kobietę, jaką była Barbara, poczuła ból i przerażenie, jakby ujrzała blade widmo, nigdy jeszcze dotąd niewidziane. „Biedactwo kochane, – pomyślała sobie, – jakaż to straszna rzecz – starość”.

Doszły teraz do ścieżki, przecinającej trzy łąki, która wiodła do domku Mrs. Noel. Było tu tak złościście słodko pośród tysiąca drobnych kaczeńców, oszronionych drżącymi kroplami rosy: lipy i jesiony roztaczały wspaniałe gałęzie, unosił się delikatny zapach późnych konwalij, na każdym drzewie ćwierkały ptaki. Patrząc na te cuda, trudno było długo się smucić.

Na pierwszej łące w oddaleniu pasła się kasztanowata klacz, nastawiając uszu na jakiś odgłos, którego echo ona jedynie chwytała. Na widok intruzów stuliła je znowu i krnąbrny wyraz zabłysnął w kącikach jej oczu. Minęły ją i weszły na drugą łąkę. W połowie drogi Barbara rzekła spokojnie:

– Tam stoi byk, babuniu.

Potężny byk stał poza grupą krzaków. Powoli posuwał się w kierunku obu kobiet, wciąż jeszcze oddalony o jakieś dwieście kroków. Wielka bestja z potężnym karkiem i grzbietem, zwierzę, które ze wszystkich żyjących istot jest najwłaściwszym symbolem brutalnej siły.

Lady Casterley przyglądała mu się surowo.

– Nie mogę znieść byków, – rzekła, – będę musiała zawrócić.

– To niemożliwe, jest zbyt stromo.

– Ten byk nie powinien się tu znajdować – rzekła znów starsuszka. – Czyja to wina? Będę musiała o tem pomówić. Stój spokojnie i patrz na niego. Nie możemy dopuścić, by zbliżył się do nas.

Stały spokojnie i spoglądały na byka, który podchodził coraz bliżej.

– To go nie zatrzymuje – rzekła lady Casterley. – Nie należy zwracać na niego uwagi. Podaj mi ramię, idę niezupełnie pewnie.

Barbara otoczyła ramieniem drobną postać. Ruszyły znowu.

– Odzwyczyłam się ostatnio od widoku byków – rzekła lady Casterley.

Zwierzę przybliżyło się znowu.

– Babuniu, – powiedziała Barbara – musisz dojść spokojnie do ogrodzenia, kiedy je miniesz, wtedy ja pójdę również.

– w żadnym razie – odparła lady Casterley. – Pójdziemy razem. Nie zwracaj na niego uwagi. Wierzę bardzo, że to pomoże.

– Babuniu droga, zrób, proszę, tak jak mówię. Ja znam tego byka, należy do nas... Jest złośliwy.

Na te złowróźbne słowa lady Casterley spojrzała bystro na wnuczkę.

– Nie zrobię tego – rzekła. – Czuję już zupełną pewność w nogach. Możemy pobiec, jeśli będzie trzeba.

– Byk też umie biegać.

– Nie zostawię cię tutaj. Jeśli okaże się krnąbrny, przemówię do niego, mnie nie dotknie. Ty możesz biec prędzej ode mnie, więc niema o czem mówić.

– Ależ to nie ma sensu – odpowiedziała Barbara. – Przecież ja się nie boję byków.

Lady Casterley obrzuciła ją trochę drwiącym spojrzeniem.

– Czuję dokładnie – powiedziała, – że drżysz tak samo jak ja.

Byk znajdował się teraz o jakieś siedemdziesiąt kroków, a od ogrodzenia dzieliło je przeszło sto.

– Babuniu – rzekła Barbara, – jeśli nie zrobisz, jak mówiłam, zostawię cię i pójdę mu na spotkanie. Nie bądź uparta.

Miał odpowiedzi, lady Casterley otoczyła ramieniem wnuczkę, nerwowa siła jej ręki była istotnie zadziwiająca.

– Nie uczynisz nic podobnego – rzekła. – wogóle nie chcę mieć już nic do czynienia z tym bykiem, poprostu przestanę się nim wogóle interesować.

Byk począł znów zwolna posuwać się w ich kierunku.

– Nie zwracaj uwagi, – rzekła lady Casterley, idąc szybciej, niż kiedykolwiek w życiu,

– Tu grunt jest już równy, – powiedziała Barbara. – Czy możesz biec?

– Tak sędzę – wyszeptała lady Casterley.

I nagle poczuła, że ktoś poderwał ją z nad ziemi i unosi w kierunku ogrodzenia. Usłyszała za sobą hałas, a potem głos Barbary:

– Musimy zatrzymać się, jest tuż koło nas. Stań za mną.  
Uczuła, jak pochwytyły ją i skrępowały dwie ręce, które zdawały się wyrastać od tyłu. Instykt powiedział jej, że plecami odwrócona jest do pleców swej wnuczki.  
– Puść mnie – szepnęła, – puść mnie.  
I nagle poczuła, że ręce kierują ją w stronę ogrodzenia.  
– Precz, precz! – zawołała, chcąc spłoszyć rozjuszone zwierzę.  
– Przestań, babuniu – doszedł ją spokojny, choć zdyszany głos Barbary – tylko go jeszcze rozdrażniasz. Czy jesteśmy daleko od ogrodzenia?  
– O kilka kroków – wyjąkała staruszka.  
– Uważaj więc.  
Owionęto ją coś ciepłego, uczuła podrzucenie, dźwignięcie i znalazła się poza płotem. Barbara i zwierzę znajdowali się po drugiej stronie. Dzieliły ich od siebie najwyżej dwa kroki. Lady Casterley podniosła chusteczkę i zaczęła nią powiewać. Byk spojrział w tę stronę. Barbara, chwytając się rękami i nogami, przeszła przez ogrodzenie. Nie tracąc ani chwili, lady Casterley przechyliła się i przemówiła do zwierzęcia:  
– Wstrętny brutalu, każę cię dobrze oćwiczyć.  
Byk węszył, rozgrzebując ziemię.  
– Czy nie stało ci się nic złego, moje dziecko?  
– Nic a nic – odpowiedziała Barbara pogodnym, choć wciąż jeszcze zdyszany głosem.  
Lady Casterley wyciągnęła dłonie, biorąc w nie twarzyczkę dziewczyny.  
– Masz doskonałe nogi – rzekła. – Pocałuj mnie.  
Otrzymawszy mocny, trochę drżący pocałunek, ruszyła naprzód, wspierając się silnie na ramieniu wnuczki.  
– Cóż za brutal, – mruzczała, – żeby napadać kobiety.  
Barbara spojrzała na nią.  
– Czy czujesz się zupełnie dobrze, babuniu? – spytała.  
Lady Casterley zacięła mocno usta, powstrzymując ich drżenie.  
– Zzz... zupełnie dobrze.  
– Czy może chcesz wrócić natychmiast do domu? Inną drogą, oczywiście.  
– Naturalnie, że nie. Już chyba niema więcej byków pomiędzy tą kobietą a nami.  
– Lecz czy jesteś w stanie zobaczyć się z nią teraz?  
Lady Casterley znowu przesunęła chusteczkę po wargach, chcąc ukryć ich drżenie.  
– Najzupełniej, – odparła.  
– Więc stój chwilkę spokojnie. Otrzepię cię tylko z kurzu.  
Udały się w dalszą drogę w kierunku domku Mrs. Noel.  
Kiedy ukazał on się już woddali, lady Casterley przemówiła:  
– Już ja postaram się przeszkodzić ich zamierzeniom, uważam to bowiem za rzecz niemożliwą dla człowieka z przyszłością Miltoun'a. Chcę widzieć mego wnuka w przyszłości bodaj prezesem ministrów.  
Słyszając, że Barbara mruczy coś pod nosem, przerwała:  
– Co mówisz, moja droga?  
– Powiedziałam: Cóż nam z tego, że jesteśmy tem, czem jesteśmy, jeśli nie możemy kochać tych, których chcemy.  
– Miłość? – spytała lady Casterley. – Ja mówiłam wszak o małżeństwie.  
– Bardzo się cieszę, że rozróżniasz to, babuniu.  
– Lubisz ironizować, – powiedziała lady Casterley. – Posłuchaj mnie. Jest największym nonsensem mniemać, że ludzie naszej sfery mogą postępować, jak chcą. Im wcześniej to zrozumiesz, tem lepiej. Mówię zupełnie poważnie.  
Zachowanie stanowiska naszej sfery zależy najzupełniej od przestrzegania pewnej obyczajności. Cóż przypuszczasz, stałoby się z rodziną królewską, gdyby mieli wstępować w związki małżeńskie z byle kim. Wszystkie te małżeństwa z chórzytkami, milionerkami amerykańskimi i ludźmi niepewnymi, z literatami i t. p. są w wysokim stopniu zgubne. I tak jest ich już za dużo i należy temu położyć kres. Można je tolerować u kupców, półgłówek lub tych „nowoczesnych” kobiet, lecz dla Eustachego, – lady Casterley przerwała znowu i palce jej zacisnęły się na ramieniu Barbary, – lub dla ciebie jest możliwy tylko jeden rodzaj małżeństwa. Co do Eustachego, to pomówię z tą panią i postaram się, by go dalej nie wciągała.  
Zaabsorbowana ważnością swego posłannictwa, nie zwróciła uwagi na dziwny uśmiezek, błąkający się na ustach Barbary.

– wobec tego przemów również do natury, babuniu.

Lady Casterley przystanęła i spojrzała w oczy swej wnuczce.

– Co przez to rozumiesz? – rzekła. – Powiedz mi.

Zauważywszy, że wargi Barbary zacięły się mocno, znowu zacisnęła silnie, choć może nieświadomie, palce wokół jej ramienia i ruszyła dalej.

## ROZDZIAŁ XII

Napoły złośliwa uwaga lady Casterley okazała się jednak słuszną. Audrey Noel już wstała i była w swym ogrodzie, kiedy Barbara i jej babka ukazały się przy furtce. Będąc zajęta lipą, rosnącą na przeciwległym końcu ogrodu, niesłyszała żywej pogawędki, jaką między sobą wiodły.

– Będiesz dla niej dobra, babuniu?

– To zależy.

– Przyrzekłaś przecież.

– Hm, zobaczymy.

Lady Casterley na pewno nie mogłaby znaleźć nikogo lepszego do towarzyszenia sobie, niż właśnie Barbarę. Mrs. Noel patrzyła zawsze na młodą dziewczynę z przyjemnością, odczuwaną na widok kogoś, kto uosabia radość życia, której jej samej los poskąpił.

Podeszła bliżej z głową trochę pochyloną w bok, co stanowiło pewien wdzięk, całkiem zresztą nieafektowany i przystanęła, oczekując gości. Niezmieszana niczem Barbara rozpoczęła natychmiast:

– Miałyśmy nieprzyjemną przygodę z bykiem. To jest moja babka, lady Casterley. Sposób zachowania się starszej pani w obliczu tej wyjątkowo ślicznej istoty był odrobinę mniej despotyczny i raptowny, niż zazwyczaj. Jej bystre oczy spostrzegły natychmiast, że nie ma tutaj do czynienia ze zwykłą awanturką. Była również dostatecznie światowa, by zrozumieć że urodzenie nie było już tem, czem zwykło być za jej młodości, że nawet pieniądze nie stanowiły wiele i że uroda, zachowanie, znajomość sztuki, literatury, muzyki (a ta kobieta zdawała się posiadać to wszystko) teraz często uznawano w świecie za bardziej wartościowe.

– Dzień dobry pani, – rzekła. – Słyszałam wiele o pani. Czy możemy spocząć na chwilę w ogrodzie? Ten byk był niegodziwy.

Kiedy mówiła, zdawała sobie sprawę z tego, że jasne oczy Mrs. Noel wiedziały doskonale po co właściwie przyszła do niej. Ich spojrzenie było nieomal cyniczne i, mimo jej ubolewania nad wypadkiem, zdawała się jakoś niezupełnie wierzyć, iż wogóle miał miejsce. To psuło najzupełniej szyki. Czem Barbara wspomniała o tym brutalu? Lady Casterley postanowiła ująć go za rogi.

– Barbaro, – rzekła, – idź do zajazdu i posta-raj się o bryczkę. Będę musiała pojechać zpowrotem, gdyż czuję się osłabiona.

A kiedy Mrs. Noel zaofiarowała się, iż pośle swą służącą, dodała:

– Nie, nie, dziękuję, moja wnuczka to załatwi. Barbara odeszła z miną trochę drwiącą, zaś lady

Casterley, wskazując ławkę, rzekła:

– Proszę, niech pani siądzie koło mnie. Muszę z panią o czemś pomówić.

Mrs. Noel usłuchiwała. W tej samej chwili staruszka zorjentowała się, że ma przed sobą bardzo trudne zadanie do spełnienia. Nie spodziewała się zastać tu kobiety, z którą nie będzie sobie można pozwolić na ton swobodny. Te pogodne, ciemne oczy, te łagodne, wdzięczne, doskonałe maniery! Zdawało się, że osobie tak uprzejmej będzie można powiedzieć wszystko, a w istocie nie można było tego uczynić! Sytuacja w wysokim stopniu krępująca! Nagle zauważyła, że Mrs. Noel siedzi prosto, tak prosto, lub prościej może, niż ona sama. Był to zły znak – bardzo zły znak. Wyjmując chusteczkę, przyłożyła ją do ust.

– Mam wrażenie, – rzekła, – iż pani przypuszcza, żeśmy nie były wcale napadnięte przez byka.

– Ależ jestem przekonana, że tak było.

– Naprawdę? Tak, lecz jest jeszcze coś innego o czem chcę z panią pomówić. Twarz Mrs. Noel drgnęła, jak drga kwiat, kiedy ma być zerwany. I znow lady Casterley podniosła do ust chusteczkę. Tym razem otarła je mocno. Nic nie mogło z tego wyniknąć, wobec tego czynność ta sprawiła jej satysfakcję.

– Jestem starą kobietą, – rzekła, – nie weźmie mi pani za złe tego, co jej powiem.

Mrs. Noel nie odpowiedziała, lecz patrzyła wprost na swego gościa. Lady

Casterley zdawało się nagle, iż ktoś inny przed nią siedzi. Było coś dziwnego w tych oczach, wpatrujących się w nią, w straszliwy sposób przypominała twarzyczkę dziecka, któremu zrobiono krzywdę – z temi wielkimi oczami, miękkimi włosami i temi usteczkami, zaciętymi w jedną, prostą linię. Jakby pod wpływem czyjegoś nakazu, rzekła:

– Ja nie chcę cię dotknąć, moje dziecko. Chodzi o mego wnuka, naturalnie.

Mrs. Noel nie zrobiła żadnego poruszenia i uczucie irytacji, które tak łatwo nawiedza starych ludzi, gdy stają w obliczu czegoś niespodziewanego, przyszło lady Casterley z pomocą.

– Nazwisko pani, – rzekła, – łączą z jego nazwiskiem w sposób, który może mu bardzo zaszkodzić. Pani nie chce jego krzywdy, jestem tego pewna.

Mrs. Noel zaprzeczyła ruchem głowy, a staruszka ciągnęła dalej:

– Mówią najrozmaitsze rzeczy od tego wieczora, kiedy to Mr. Courtier wywichnął nogę. Miltoun był wtedy bardzo nierozsądny. Być może, że pani nie orientuje się w tem.

Odpowiedź Mrs. Noel była boleśnie jasna:

– Nie miałam pojęcia, że ludzie interesują się tak bardzo mojem postępowaniem. Lady Casterley wykonała gest oburzenia.

– Wielki Boże, – rzekła, – każdy przeciętny człowiek interesuje się kobietą, której stanowisko jest anormalne. Żyjąc samotnie, a nie będąc wdową, dajesz podstawę do najrozmaitszych podejrzeń dla każdego. Szczególnie tu na wsi.

Ukośne spojrzenie Mrs. Noel, jasne i ironiczne, zdawało się mówić:

– Czy i dla ciebie również?

– Nie jestem upoważniona, by pytać o przeszłość pani, – ciągnęła dalej lady Casterley, – lecz jeśli trzymasz ją w tajemnicy, musisz być przygotowana, iż będą ją rozmaicie komentować. Mój wnuk jest człowiekiem najwznioślejszych zasad. Nie patrzy na rzeczy oczami przeciętnego człowieka i dlatego powinna pani być podwójnie ostrożna, by nie skompromitować go właśnie teraz.

Mrs. Noel uśmiechnęła się. Uśmiech ten zauważyła lady Casterley, zdawał się bowiem, ukrywając wszystko, okazywać głębię siły woli i przebiegłości. Czy ta kobieta nie zdemaskuje się nigdy?

– Oczywiście nic poważnego nie wchodzi w grę? – rzekła porywczo.

– Najzupełniej.

Słowo to, które z wszystkich wypowiedzianych zdawało się być jedynym odpowiedniem, było powiedziane tak, iż lady Casterley nie wiedziała, co właściwie sądzić. Chociaż sama czasem ironizowała, nienawidziła ironji u innych. Żadna kobieta nie powinna była używać tej broni. Lecz w czasach, kiedy ważyły się nawet na to, by żądać praw wyborczych, nie można było nigdy przewidzieć do czego są zdolne! Choć właśnie ta kobieta nie była podobna do innych! Była kobieca – bardzo kobieca. Należała do tego rodzaju istot, które psują mężczyzn tem jedynie, że są zbyt urocze dla nich. I chociaż staruszka przyszła tu z postanowieniem wywiedzenia się wszystkiego i zakończenia sprawy, z dziwną ulgą ujrzała Barbarę, wchodzącą przez furtkę ogrodową.

– Teraz już jestem w stanie powrócić do domu, – rzekła.

I wstając z miejsca, skinęła lekko głową w stronę Mrs. Noel.

– Dziękuję pani za wypoczynek. Podaj mi ramię, dziecko.

Barbara podała jej ramię, rzucając jednocześnie Mrs. Noel krótki uśmiech. Lecz nie otrzymała odpowiedzi, gdyż Audrey stała, patrząc spokojnie za niemi oczyma niesłychanie rozszerzonymi i pociemniałymi.

Lady Casterley szła przez łąkę, przeżywając milcząco swe wzruszenia.

– Co będzie z bryczką, babuniu?

– Z jaką bryczką?

– Z tą, którą kazałaś mi zamówić.

– Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że wzięłaś mój rozkaz na serjo?

– Nie.

– Hm.

Uszły znowu kawałek drogi, kiedy lady Casterley odezwała się nagle:

– Ona jest skryta.

– I mądra, – dodała Barbara. – Obawiam się babuniu, żeś nic nie wskórała.

Lady Casterley spojrzała na nią z ukosa.

– Nie znoszę tego zwyczaju wśród młodzieży, – rzekła, – że nie biorą niczego na serjo. Nawet byków – dodała z kwaśnym uśmiechem.

Barbara odrzuciła głowę i westchnęła:

– Ani bryczek, – rzekła.

Lady Casterley zobaczyła, że Barbara przykneła powieki i rozchyliła usta. Pomyślała: – „Jest wyjątkowo piękna. Nie miałam pojęcia, że jest tak piękna, cokolwiek może za duża”. Głośno rzekła:

– Proszę cię, bądź cicho, jeśli nie chcesz oberwać czego.

Nie mówiły nic więcej. Kiedy weszły w aleję, lady Casterley spytała ostro:

– Któż to idzie od strony podjazdu?

– Mam wrażenie, że to Mr. Courtier.

– Cóż on sobie myśli, spacerując tak z chorą nogą.

– Idzie zapewne pomówić z tobą, babuniu. Lady Casterley przystanęła.

– Jesteś obrzydliwie złośliwa, – rzekła. – Zapamiętaj, że nie życzę sobie tego.

– Dobrze kochanie, – szepnęła Barbara, – postaram się uwolnić cię od niego.

– Cóż twoja matka sobie myśli, – jęknęła lady Casterley – wychowując cię w podobny sposób? Jesteś tak samo niemożliwa, jak ona, kiedy była w twoim wieku.

– Daleko gorsza, – rzekła Barbara. – Zeszłej nocy śniło mi się, że umiem fruwać.

– Jeśli będziesz tego próbować, – powiedziała lady Casterley ponuro, – napewno zdarzy się coś złego.

Dień dobry panu, powinien pan leżeć jeszcze w łóżku.

Courtier uchylił kapelusza.

– Z pewnością nie, jeśli pani już wstała. Poczem dodał chmurnie:

– Afera wojenna została zlikwidowana.

– O, – rzekła lady Casterley, – wobec tego działalność pańska skończona.

Przypuszczam, że powróci pan teraz do Londynu.

Spojrzała nagle na Barbarę i zauważyła, że uśmiechała się ona z współprzymkniętymi oczami. Zdawało się także lady Casterley, a może było to tylko przywidzenie – że potrząsnęła przecząco główką.

## ROZDZIAŁ XIII

Dzięki lady Valleys, która była opiekunką wszystkich ptaków, żadnej sowy nie zabito nigdy na terytorjum dóbr Monkland. Hukały więc i polowały swobodnie te miękkoskrzydłe duchy mroku ku uciesze wszystkich z wyjątkiem różnych małych stworzeń, będących ofiarą ich żarłoczności. Obok każdego domu, farmy i pola przefruwały one niewidzialnie, rozbijając skrzydłami ciemne powietrze. Ich podróże, obfitujące w przygody i odkrycia, sięgały

aż na ugory, do kamiennej figury, której pochodzenie z pewnością znały.

Naokoło domku Audrey Noel unosiły się chmurami, gdyż miały tam dwa siedliska w starym, zmurszałym murze. Zdawało się, że czuwają nad panią tej siedziby, tak nieustanny był ich lot wokół niej, tak łagodne i przeciągłe sygnały i nawoływania. Teraz, kiedy pogoda była ciepła i radość życia wstąpiła we wszystkie żyjące stworzenia, dziwnie zasmakowały w różnych drobnych, soczystych żyjątkach i wyprowadzały na żer całe rodziny swoje, składające się z małych, szczególnie udatnych sówek, bardzo poważnych, o wielkich głowach, błyszczących oczach i skrzydłach, które narazie służyć mogły jedynie do fruwania tuż ponad ziemią. Nie było prawie godziny we dnie, od południa aż do zmroku, żeby która z nich nie przyfrunęła zajrzeć, co robi ten wielki, spokojny, bezskrzydły ptak, który poruszał się we dnie w ogrodzie, a wieczorem i rankiem ukazywał swe białe, czasami niebieskie lub szare pióra, w wielkim kwadratowym otworze, umieszczonym wysoko we frontowej ścianie. Nie mogły zrozumieć, czemu nie potrafi fruwać, ani nie odpowiada na ich przeciągłe, łagodne hukanie.

Dnia tego, w którym Audrey Noel zaszczycona została wczesną wizytą, wkrótce po zapadnięciu mroku wybiegła ona w pole owinięta długim, ciemnym płaszczem, z czarną koronką na ciemnych włosach. Zdawało się, że chce się połączyć z tymi poważnymi, uskrzydłonymi niewidzialnymi łowcami nocy. Odległe, przeciągłe nawoływania, które na wsi długo jeszcze dają się słyszeć po zachodzie słońca, umilkły właśnie w powietrzu, z którego biła woń majowa, tak, jak unosi się zapach perfum z szat kobiety. Tylko jakieś spóźnione szczekanie psa, sykanie świerszcza, lub śpiew strumyka głośnyły słodki oddech wieczornej ciszy. Nie było żadnego światła, przy którym moż-naby było rozpoznać oblicze nocy. Było ono ukryte, nieodgadnione. Czasem lampa z którejś chaty rzuciła blask na przeciwległą stronę drogi, wtedy wyglądało to, jakgdyby jakiś wędrowny malarz, wymalo-

wał na ciemnym tle obraz, otoczył go ramami z szafiru i pozostawił zawieszony w powietrzu. Gdyby można było przniknąć tę czarną noc, okazałoby się, iż nurtują w niej takie same namiętności i żywioły, jakie nurtowały w duszy kobiety, która wędrowała wśród jej cienia, chowając się przed wzrokiem przechodniów, zatrzymując się czasami, by ochłodzić rozpaloną twarz, biegnąc prędko, by uciszyć tętniące serce. Nieodgadniona noc, szukająca swego symbolu, znalazłaby jego najlepsze uosobienie w tej błakającej się postaci, najlepsze wyrażenie swych głębokich pragnień i ukrytego, namiętnego buntu przeciw własnej tajemniczości,

W Monkland Court wszyscy, z wyjątkiem małej Anny, przepędzili poranek w poważnym skupieniu. Każdy czuł, że należy coś przedsięwziąć, lecz nikt nie wiedział co takiego. Podczas lunch'u jedyną aluzją do sytuacji było zapytanie Harbingera: Kiedy powraca Miltoun? Okazało się, że depeszował, iż przyjeżdża samochodem tej nocy jeszcze.

– Im prędzej, tem lepiej, – bąknął sir Wiliam. – Mamy jeszcze przed sobą dwa tygodnie.

Wszyscy wyczuli po tonie, jakim to powiedział, jak groźnie przedstawia sobie sytuację ten doświadczony działacz.

Teraz, kiedy groźba wojny przemieła i kiedy na domiar złego rozeszły się plotki w związku z Mrs. Noel, powód do alarmu stawał się rzeczywiście aktualny. Południowa poczta przyniosła od lorda Valleys list, wysłany expresse. Lady Valleys otworzyła go z lekką zmarszczką między brwiami, która pogłębiła się w miarę czytania. Jej piękna, czerstwa twarz przybrała wyraz smutku, zrzadka tylko na niej goszczącego. Przyjęła przykre nowiny z prawdziwą godnością.

„Eustachy wyjawiał mi zamiar ożenienia się z Mrs. Noel, – brzmiał list jej męża, – nie widzą, niestety, możliwości przeszkodzenia mu. Jeśli będziesz mogła pomyśleć o jakimś sposobie wyperswadowania, musisz go użyć. Jest to djabelnie przykra historia, moja droga”.

W istocie było to djabelnie przykrą historią, gdyż jeśli Miltoun zdecydował się na ten ożenek, nie wiedząc nic jeszcze o złośliwych plotkach, jakże niezachwianem będzie teraz jego postanowienie! Kobieta światowa ocknęła się w lady Valleys. Małżeństwu temu należała przeszkodzić. Było ono przeciwne wszystkim jej instyktom, jej naturze praktycznej nietylko z usposobienia, lecz i przez wychowanie i tryb życia. Jej gorąca, namiętna natura sympatyzowała raczej z wszelkimi objawami miłości i użycia i gdyby nie była tak zrównoważona, mogłaby to uważać za stronę ujemną swego życia, polegającego na ciągłym, jawnym kontakcie ze światem. Świadomość takiego niebezpieczeństwa, grożącego jej samej pozwalała jej ocenić należycie całe ryzyko nieodpowiedniego stosunku – głównie małżeństwa – dla każdego społecznego działacza. Jednocześnie poruszyło się w niej serce matki. Nie kochała nigdy Eustachego tak silnie jak Huberta, jednakże był jej pierworodnym i w obliczu tej wiadomości, która znaczyła, iż traci go na zawsze, czuła dziwną zazdrość wobec kobiety, co pozyskała miłość jej syna, której jej nigdy nie udało się zdobyć. Ból ten nadał jej twarzy jakiś prawie że uduchowiony wyraz, który przeszedł natychmiast potem w zniecierpliwienie. Dlaczego ma się z nią żenić, właściwie? Można się przecież urządzić inaczej. I tak ludzie mówią już o nielegalnym związku, niechaj znajdą potwierdzenie swych domysłów. Wszystko lepsze niż to małżeństwo, które będzie mu zawadą w życiu! Czy rzeczywiście zawadą? Pomimo wszystko uroda znaczy bardzo wiele! Gdyby tylko jej przeszłość nie była tak bardzo podejrzana. Lecz jakaż właściwie była ta przeszłość? Naprawdę niedbalstwem było nie dowiedzieć się nic o tem! To jest właśnie najgorsze, gdy się ma do czynienia z ludźmi, nienależącymi do towarzystwa, że tak trudno jest dowiedzieć się o nich czegośkolwiek! Ocknęła się w niej jakaś gwałtowna nienawiść, która dojrzeła szybko w ludziach, od młodości otaczanych wiarą w to, że tylko oni i jedynie oni są wszystkim na świecie. Podała list swym córkom, przeczytały go i oddały Hubertowi, a ten w milczeniu zwrócił znów matce.

Tego wieczora, używszy manewru w celu zostania sam na sam w bilardowym pokoju z Courtierem, Barbara Caradoc spytała:

– Zastanawiam się, czy odpowie mi pan na jedno pytanie, mr. Courtier?

– Jeśli tylko będę umiał i mógł.

W głęboko dekolowanej sukni z tkaniny ciemnozielonej, przerabianej nitką złotawą, wpadającą w odcień jej włosów, wyglądała jak porywający obraz olśniewającej bieli, złota i głębokiej ciemności. Stała spokojnie, opierając się o stół bilardowy tak silnie, że jej białe gładkie ręce zlekka drżały.

– Doszła nas wiadomość, że Miltoun chce się ożenić z mrs. Noel. Ludzie naogół nie otaczają się tajemniczością bez powodu. Chciałabym, żeby mi pan powiedział kim ona właściwie jest?

– Zdaje mi się, że niezupełnie dobrze zrozumiałem – wyszeptał Courtier. – Pani mówiła – ożenić się?

Widząc, że wyciąga ręce jakby z prośbą o powiedzenie prawdy, dodał:

– Jak może brat pani żenić się z nią, kiedy ona jest mężatką?

– Ach!

– Nie miałem pojęcia, że nie wie pani o tem.

– Myśmy przypuszczali, że jest rozwiedziona. Dziwny, płomiennie – spokojny, sardonicznie – wesoły wyraz ukazał się na twarzy Courtiera:

– Pobici swoją własną bronią. Zwykła rzecz. Niech tylko ładna kobieta zamieszka sama, złośliwe języki męskie dokonają reszty.

– Nie było tak źle, jak pan przypuszcza, – powiedziała sucho Barbara, – mówiono, że to ona zażądała rozwodu.

Courtier przygryzł wargi.

– Wobec tego niech pani posłucha jej historii. Ojciec jej, pastor wiejski, był przyjacielem mego ojca, tak że znam ją od dziecka. Stefan Lees Noel był wikarym w tej samej parafji. wyszła za niego naglona prośbami ojca. Miała zaledwie dwadzieścia lat i nie spotykała przedtem innych mężczyzn. Ojciec był ciężko chory i chciał przed swoją śmiercią widzieć ją zabezpieczoną. Bardzo prędko po ślubie spostrzegła, że popełniła straszny błąd.

Barbara przysunęła się bliżej.

– Co to był za człowiek?

– Niezły być może, lecz jeden z tych ograniczonych, małostkowych, upartych mężczyzn, którzy, będąc z gruntu egoistami, są najdokuczliwsi w pożyciu małżeńskim. Duchowny tego pokroju nie może liczyć na zaufanie. Każde żyjące stworzenie, z którym ma do czynienia, przyczynia się jeszcze do rozwinięcia w nim najgorszych skłonności. Żona takiego człowieka jest niewolnicą. Pod brzemieniem takiego życia poczęła się wkońcu uginać, choć należy do tego rodzaju kobiet, które dźwigają swój ciężar do chwili, aż upadną. Po czterech latach dopiero począł orjentować się w sytuacji. Wtedy nasunęło się pytanie, co im teraz czynić należy? Jest anglikaninem w całym tego słowa znaczeniu, z wszystkimi przekonaniem o nierozzerwalności małżeństwa, lecz tym razem szczęśliwie został dotknięty w swej dumie. Koniec końców rozeszli się dwa lata temu. I oto jest teraz tutaj, bez celu i oparcia. Ludzie mówią, że to jej wina. Powinna była zastanowić się nad swym krokiem – mając lat dwadzieścia! Lub powinna była ukryć swe cierpienie i wytrwać. Przeklęte niech będą ich gruboskórne, miłosierne dusze! Cóż mogą wiedzieć oni o tem, jak cierpi wrażliwa kobieta? Przepraszam panią, lady Barbaro, uniosłem się. – Umilkł, lecz widząc jej oczy, zwrócone

na siebie, ciągnął dalej. – Matka umarła przy jej urodzeniu, ojciec krótko po jej małżeństwie. – Szczęściem ma dosyć pieniędzy, by żyć spokojnie. Co do niego, zmienił parafję i mieszka teraz gdzieś daleko w Szkocji. Żał tego biedaka również. Nigdy się nie widują i, o ile mogą sądzić, nie korespondują ze sobą. Oto, lady Barbaro, jej tak bardzo prosta historia.

Barbara rzekła:

– Dziękuję panu – i odwróciła się. Usłyszał jej szept: – Jakie to okropne! Nie wiedział jednak, co wywołało te słowa, czy los mrs. Noel, czy jej męża, czy też myśl o Miltoun'ie.

Dziwiła go swą prawie-że surową umiejętnością panowania nad sobą i swymi uczuciami. Jaką cudowną stałaby się kobietą, gdyby uchronić ją od przekleństwa wysokich sfer, które zabije w niej wszelkie porywy, spaczy ją i uczyni z niej bezduszną lalkę. Gdyby pozwolić, by entuzjazm przenikał i użyłniał jej duszę! Przypominała mu wielką, czarną lilję, marzyła mu się jako wizja tego kwiatu, uwolnionego z więzów korzeni i z pokładu kultywujących nawozów, – unoszącego się w wolnym powietrzu. Jakże szlachetną i pełną wzniosłych zapałów stałaby się mogła! Jaki blask i jaką woń roztaczałaby wkoło. Duch Fleur de Lys. Siostra wszystkich szlachetnych kwiatów światła, istniejących we wszechświecie.

Zagłębniony we framugę okna patrzył w tajemniczą noc. Słyszał hukanie sów i czuł bicie czyjegoś serca tam w ciemnościach, lecz nie znajdował odpowiedzi na zew swych marzeń. Czy zapomni kiedykolwiek ta dziewczyna-lilja o swoim otoczeniu, nie pozornie tylko, lecz całą duszą, czy stanie się tylko kobietą, kochającą, czującą, cierpiącą, umiejącą cieszyć się szczęściem innych? Czy będzie kiedyś w stanie zespolić się z tem niewielkiem bractwem wielkich serc, wydziedziczonych z przywilejów i korzyści. Courtier nie był w kościele już od lat dwudziestu, czując, że nie może przestąpić progów świątyni swego kraju, nic wyzbywszy się uprzednio godła wolności, – lecz czytał z zamiłowaniem bibliję, uważając ją za potężny poemat. I stare słowa przyszły mu na myśli: „Zaprawdę, mówię wam, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wstąpić do raju.” I teraz, patrząc w czarną noc, której otchłań zdawała się odpowiadać na wszystkie zagadki, próbował odczytać tajemnicę przyszłości tej dziewczyny, z której istnieniem zdawało się splatać wielkie zagadnienie ducha, wyswabdzającego się z więzów, które przykuwają go do jego powłoki i otoczenia.

Noc przemówiła nagle, i na horyzoncie, jakgdyby wynurzając się morza, wzeszedł nagle księżyc. Zrzucił z siebie bladawą szatę świetlną i rozbłysnął jasny i nagi na ciemnej kurtynie nieba. Zdawało się że noc nie jest już nieprzenikniona. W mrocznym ogrodzie wyłoniła się powoli przed Courtierem kamienna statua Diany, a poza nią, jakgdyby jej mroczna świątynia, wznosił się w ciemnościach wysoki i kręty cyprys.

#### ROZDZIAŁ XIV

Egzemplarz gazety Buklandbury News z opisem awantury doszedł do rąk Miltoun'a dopiero wtedy, kiedy gotował się on do powrotnej podróży. Przyszedł, zakreślony błękitnym ołówkiem wraz z małą kartką:

Drogi Eustachy!

Załączony artykuł, – chociaż bezczelny i nieuzasadniony – jednakże wymaga zastanowienia. Nie możemy przedsięwziąć żadnych kroków, zanim nie przyjedziesz. Szczerze oddany.

William Shropton.

Wrażenie, jakie sprawiła wiadomość ta na Miltoun'ie, byłoby inne, gdyby nie był on już tak całkowicie zdecydowany poślubić Mrs. Noel, – lecz w jakichkolwiek okolicznościach by go doszła, jest wątpliwem czy wywołałaby u niego coś więcej, niż lekceważący uśmiech i podarcie gazety w kawałki. Tego rodzaju sprawy nie były w możności dotknąć go lub wzruszyć, nie pojmował nawet zupełnie jak mogą dotknąć i wzruszyć kogokolwiek. Jeśli artykuł ten miał jakikolwiek wpływ na tych, co go czytali – tem gorzej dla nich. Czują rzeczywisty, choć nieujawniony wstręt do wszelkiej kołtunerji w jakiejkolwiek sferze miałyby miejsce, i ani na krok nie odstąpiłby od sposobu swego postępowania, by zadośćuczynić jej wymaganiom. Również nie przychodziło mu wcale na myśl, aby Mrs. Noel mogła się czuć dotknięta podłością ludzi. Z obydwu przysłanych dokumentów liścik Shroptona był tym, który sprawił mu więcej przykrości. Było to tak w stylu jego szwagra wyolbrzymiać każdą drobnostkę.

Nie spał zupełnie podczas swej krótkiej podróży przez uśpioną okolicę, a przybywszy do Monkland późną nocą, nie udał się również na spoczynek. Miał cudowne, podniosłe uczucie, iż znajduje się u progu jakiegoś przełomowego wydarzenia. Jego dusza i zmysły płonęły, – gdyż właśnie zasługą tej kobiety było, iż wszystko w nim powołała do życia.

wypił herbatę i wyszedł, kierując się w stronę ugorów. Dochodziła już ósma rano, kiedy dotarł do wierzchołka najbliższego wzgórza. Tutaj, pod nim, nad nim i wokoło, roztaczała się ziemia i niebo, których potężny widok harmonizował wspaniale z jego podniosłym nastrojem. Były one jak symfonia potężnej muzyki lub szlachetność wielkiego umysłu odkrytego dla ludzkiego oka. Wyczuwało się tu obecność Boga we wszystkich przejawach. Błękitna, niepokalana cisza roztaczała się na niebiosach, tylko na wschodzie trzy wielkie chmury, jak myśli, błędzące szlakiem przeznaczenia, płynęły spokojnie w kierunku morza, a cień ich padał na odległe doliny. Ziemia, rozpostarta pod błękitną



kopuła nieba, błyszczała i mieniła się wszystkimi kolorami, jakby opromieniona boskim uśmiechem. Wiatr, idący z północy, gdzie gonił białe ptaki obłoków, nie mącił swym głosem ciszy, unosił się bowiem zbyt wysoko, swobodny i wolny. Przed Miltoun'em, zwróconym w stronę tego wiatru, leżała szachownica nizin, mglista zieleń, różowawa rdza i brunatność pól, białe i szare centki domków i wież kościelnych, rozplywających się w błękitnym woalu przestrzeni, otoczone daleką ścianą gór. Poza nim nie było nic, prócz nieskończonej powierzchni sinawo - brązowych, ugorów. Na tem nieograniczonym morzu ponurej dzikości nie było ani jednej łodzi, prócz odcinającego się na dalekim horyzoncie groźnego, potężnego budynku, warowni Dartmoor. Nie słychać było żadnego głosu, nie unosiła się żadna woń i zdawało się Miltoun'owi, że duch jego opuścił ciało i połączył się z majestatem Boga. A jednak, gdy stał tutaj z głową obnażoną, dziwny uśmiezek, błakający mu się zawsze na ustach, w chwilach podniosłych i głębokich przeżyć, wskazywał, iż duch jego nie poddał się wszechpotędze, przeciwnie umocnił się we własnej sile i to było tajemnym źródłem jego zadowolenia. Położył się w zagłębieniu między kamieniami. Słońce dochodziło tu, lecz złomy skalne chroniły go od powiewów. Otaczała go cisza, przesiąknięta suchym, słodkim zapachem młodego wrzosu. Ciepło i woń przeniknęły jego ducha i rozeszły się po krwi.

Płomienne obrazy wstawały przed jego oczyma, wizja niekończącego się uścisku ramion. Z uścisku tego powstawało życie, a potem uczyniony został wszechświat, z jego niezliczonymi kształtami i bogactwem natur, wśród których nie znajdziesz dwóch jednakich! Ze związku jego z tą kobietą powstaną istnienia, które zajmą przeznaczone im miejsce w wielkim planie życia! To będzie związek piękny i właściwy, gdyż istoty te będą z pewnością godne, by służyć wielkim zasadom, którym on hołdował. I nagle ogarnęła go obłądna fala pożądania, przeciw któremu tak często walczył i z wielkim trudem pokonywał. Powstał i począł biec ze wzgórza, potykając się o kamienie i gęste kępy wrzosu.

Audrey Noel wstała tego rana również bardzo wcześnie pomimo, iż późno położyła się spać. Ubierała się powoli i bardzo starannie, gdyż była jedną z tych kobiet, które zbroją się przeciw losowi. Są zbyt dumne i nie mogą znieść myśli, że cierpienie ich może sprawić przykrość innym. Zewnętrzny ich wygląd jest dla nich świętością, bo dała im go natura w tej wierze, iż będzie wzbudzał zachwyt. Kiedy skończyła się ubierać, przejrzała się w lustrze bardziej badawczo, niż kiedykolwiek.

Była ona, jak lady Csaterley słusznie zauważyła, kobietą, która psuje mężczyzn, że jest dla nich zbyt urocza. Była bezużyteczna dla tych, którzy walczą o zrównanie praw kobiety, posiadała pewien bierny stoicyzm, wysoce dezorjentujący, gdyż obdarzona małą dozą, czy też pozbawioną zupełnie, inicjatywy, przeprowadzała jednak wszystkie swe zamierzenia, z wielką siłą i skrupulatnością. Niezdolna prosić o nic nikogo. Wymagała miłości, jak roślina wymaga wody, mogła oddawać się najzupełniej, pozostając jednocześnie dziwnie nietkniętą, nietykana i najczęściej kochana przez tych, którzy ją za taką uważali.

W naturze jej, łączącej w sobie wszystkie cechy słodkiej i łagodnej kobiety tkwił jeszcze pewien rys cynizmu „widziała” z dziwną jasnością i przejrzystością. Kochała blask, barwę i ciepło. Mistycyzm jej był omal że nie pogański. Przytem nie miała wielkich wymagań – wystarczały jej rzeczy takie, jakimi się wydawały.

Tego poranka, uporawszy się z wszystkimi drobnymi zabiegami, które dodają uroku nawet najpiękniejszej kobiecie, zeszła na dół do swej małej jadalni, zapaliła maszynkę spirytusową i z gazetą w ręce stanęła, oczekując, aż się zagotuje woda na herbatę.

Była to jej najulubieńsza godzina dnia. Choć przeznaczenie starło świeżość rosy porannej z jej egzystencji, znajdowała ją ona każdego poranka na obliczu natury i na słodkich twarzyczkach kwiatów. Badała z rozkoszą jak spała każda z tych małych istotek w jej ogrodzie, ile nowych dziątek przyszło na świat od świtu, komu dolegało coś i kto wymagał opieki. Budziło się w niej to uczucie, które odzywa się co poranka u ludzi, żyjących samotnie, przeświadczenie, że nie są zupełnie samotni. Uczucie to jest niestety, krótkotrwałe, gdyż istnieje tylko do czasu, kiedy bieg dnia znowu przekonywa ich o samotności. Nie była

bezczylna, zajmowała się pracą, którą jej dostarczał Courtier, polegającą na zasilaniu muzycznego działu pewnego pisma kobiecego. To, jej własna muzyka, kwiaty i sprawy kilku rodzin włościańskich, które się opiekowała – wypełniały całkowicie jej czas. Nie pragnęła lepszego losu, byleby każda minuta dnia była zajęta, gdyż lubiła pracę, niewymagającą inicjatywy, co jest zwykłym u ludzi, obdarzonych niezbyt aktywnym umysłem.

Odrzuciła nagle gazetę, podeszła do wazonu, stojącego na stole, wyjęła umieszczone w nim dwie gałązki lawendy i, trzymając je zdaleka od siebie, wyszła do ogrodu i wyrzuciła je poza mur. To dziwne unicestwienie dwóch biednych roślinek, wykwitłych tak wcześnie, które zerwała i postawiła dla niej w najlepszych chęciach służąca, było czynem, którego najmniej się można było spodziewać po niej, tak zważającej zawsze na to, by nie dotknąć czyjegoś uczucia, której oczy rozjaśniały się zawsze na widok kwiatów. W rzeczywistości zapach lawendy – woń, przenikająca zawsze ubranie i chustki jej męża – raził ją tak bardzo, iż nie mogła przebywać tam, gdzie się unosił. Bardziej niż cokolwiek innego, zapach ten przypominał jej człowieka, z którym pożycie było dla niej torturą. Pod wpływem tego nawałnica wspomnień otoczyła ją.

Wspomnienie tych trzech lat, kiedy trwała, zacisnąwszy zęby, w straszliwym przeświadczeniu, że przykuta jest do nieszczęścia na przeciąg całego życia.

Wspomnienie nagłego zerwania i odsunięcie się od świata w poszukiwaniu wycieczki dla starganych nerwów. Przypominała sobie, jak to dwukrotnie podczas pierwszego roku swobody, która nie była jednak wolnością, zmieniała miejsce pobytu, by uciec przed swoją przeszłością, nie dlatego, że się jej wstydziła, lecz, że przypominała jej całe nieszczęście i niedolę, jak to przybyła do Monkland, gdzie pod wpływem spokojnego życia odzyskała powoli równowagę ducha. A potem spotkanie z Miltoon'em! Niespodziewane źródło radości, płynące z tej przyjaźni. To szczere, ciche zadowolenie czterech pierwszych miesięcy. Przypominała sobie swoją spokojną radość, tajemne utożsamianie czyjegoś życia z jej własnym, zanim jeszcze podejrzewała, że rodzi się miłość. Akurat trzy tygodnie temu, kiedy pomagał przy wiązaniu krzaków róż, dotknął przypadkiem jej ręki, i wtedy otworzyły się jej oczy. Nawet wówczas, aż do dnia, kiedy Courtier uległ przypadkowi, nie śmiała uświadomić sobie otwarcie swego szczęścia.

Zainteresowana teraz bardziej dobrem Miltoon'a niż swoim własnym, po tysiącokrotnie pytała sumienia, czy niema w tem jej winy, że pozwoliła mu zakochać się w niej, stojącej poza nawiasem prawa, w umarłej kobiecie! Niewybaczalny grzech! Oczywiście, zależało wiele od tego, co zamierza mu dać. Była szczerze przygotowana, dać mu wszystko, nie żądając nic wzamian. Znał jej sytuację, powiedział przecież, że zna, miłość do niego uszlachetni ją, będzie cierpieć za tę miłość bez żalu. Miltoon miał rację sądząc, że plotki prasy nie są w stanie dotknąć Audrey, chociaż powód tej nietykalności był inny, niż przypuszczał. Nie była tak jak on odporna na insynuacje, tyżące życia prywatnego, dlatego jedynie, że oszczerstwa te były nędzne, niskie i niegodne uwagi. Jak dotychczas nie zastanawiała się nad nimi z ogólnego punktu widzenia. Nie dotykały jej natomiast tylko dlatego, że duchowo tak dalece była związana z Miltoon'em, iż czuła się nieledwie szczęśliwa, gdy uważano resztę jej istoty za należącą do niego. Tylko i jedynie ze względu na Miltoon'a czuła się wzburzona do głębi duszy. Zaćmiła blask jego tarczy w oczach ludzi, (gdyż, będąc z natury praktyczną, jasno zdawała sobie sprawę z sytuacji) być może cofnęła jego karierę o wiele lat wstecz

Zasiadła do herbaty. Z natury nie była skłonna do łez, cierpiała więc w milczeniu. Wiedziała, że Miltoon przyjdzie do niej, nie miała pojęcia co mu powie, kiedy go zobaczy. Nie mógł kochać jej tak silnie, jak ona jego. Był mężczyzną, a mężczyźni zapominają szybko! Tak, lecz on nie był wszak podobny do innych mężczyzn! Po oczach jego poznać można było iż ootrafił czuć głęboko. W całej sprawie nie obchodziła jej zupełnie własna opinia. Życie i jasny pogląd na świat zakorzeniły w niej przeświadczenie, że dla kobiety cenność jej opinii jest fikcją, stworzoną przez mężczyznę tylko dla jego korzyści; tandetny fetysz podstępnie i nieuchronnie wysuwany przez mężczyznę do uwielbienia w powieści, sztuce i przed kratkami sądu. Czuła instynktownie, że żaden mężczyzna nie byłby pewny posiadania swej kobiety, gdyby nie wierzył, że kobieta ta przykłada niesłychaną wagę do swej reputacji. W to, co chcieli wierzyć, w to wierzyli! Lecz Audrey wiedziała, że jest inaczej. Wielkoduszne

kobiety, które spotykała, lub o których czytała, robiły na niej wrażenie, że nie chodzi im głównie o ocenę ich moralności, ale o faktyczną wartość ich duszy i umysłu. Własne doświadczenie przekonało ją, że dla zwykłej kobiety najcenniejsza jest opinia w oczach tego, którego kocha. U kobiet światowych zauważyła, że reputacja nie przedstawia wartości rzetelnej, lecz tylko pozorną korzyść handlową, nie była dla nich koroną godności, lecz zyskownym dobrem. Nie obawiała się zupełnie tego, co ludzie będą mówić o jej przyjaźni z Miltoun'em, jak również nie uważała, żeby więzy małżeńskie mogły zabronić jej kochać go.

W głębi ducha czuła się wolna od tej chwili, kiedy uświadomiła sobie, że nigdy prawdziwie nie kochała swego męża. Spełniała tylko swe obowiązki, aż do czasu separacji, gdyż była z natury bierna i nie lubiła robić nikomu przykrości. Człowiek, który był kiedyś jej mężem, nie istniał dla niej zupełnie. Nie mogła wyjść za mąż, to prawda, lecz mogła kochać i kochała. Jeśli miłość ta nie znajdzie odpowiedzi i umrze, nie stanie się to napewno z powodu jakichś moralnych skrupułów. Otworzyła powoli gazetę i pierwsze słowa, które rzuciły jej się w oczy, pod nagłówkiem „Echa wyborów”, były:

„W związku z wypadkiem Mr. Courtiera, udało nam się stwierdzić, że dama, która towarzyszyła lordowi Miltoun w niesieniu pomocy, była to Mrs. Lees Noel, żona wielobnego Stefana Lees Noel, wikarego parafji Clathampton, w Warwickshire”. Wzmianka ta wywołała tylko smutny uśmiech na jej usta. Zostawiła niedopitą herbatę i wyszła na powietrze. Przy furtce spostrzegła Miltoun'a, idącego w jej kierunku. Serce jej zabiło, lecz poszła spokojnie naprzeciw niego i powitała go z napół spuszczonej oczami, jakgdyby nic nie zaszło.

## ROZDZIAŁ XV

Podniosły nastrój nie opuścił jeszcze Miltoun'a, Jego zwykle blada twarz płonęła, oczy błyszczały i Audrey Noel, która łatwiej niż wiele innych kobiet umiała czytać wrażenia, wykryte na twarzy ludzkiej, zauważyła blask tych oczu z radością cmy, dążącej do światła lampy. Przemówiła jednak głosem, niezdradzającym wzruszenia:

– Przyszedł pan na śniadanie? Bardzo to ładnie z pańskiej strony.

Nie leżało w naturze Miltoun'a, by przestrzegać zbyt licznych formalności przed atakiem. Gdyby stawał do pojedynku, z pewnością nie ścierpiałby żadnego wstępu, wystarczyłoby spojrzenie, ukłon i szable by się skrzyżowały. Tak też uczynił w swej pierwszej potyczce o duszę kobiety. Nie siadł, ani też czekał aż Audrey spocznie, stał i patrząc intensywnie w jej oczy, rzekł:

– Kocham panią.

Teraz, gdy to już nastąpiło z tak oszałamiającą szybkością, czuła się dziwnie spokojna i niezmięszana. Urok pewności, że jest kochaną rozproszył, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystkie dreszcze niepokoju, zamieniając je w słodkie uczucie. Z chwilą, kiedy nic niezdołne było odebrać jej tej świadomości, zdawało jej się, że już nigdy w życiu nie może być zupełnie nieszczęśliwa. Jej natura, nierozważnie a z głębokim przekonaniem odrzucająca doniosłość innych wartości prócz miłości, triumfowała potajemnie, znalazłszy oparcie. On ją kochał! I ona jego! Boże wielki! I nagle, opanowana strachem, że może cofnąć te słowa, wyciągnęła rękę i dotykając jego piersi, szepnęła:

– I ja kocham pana.

Ramiona jego otoczyły ją. Moc i uniesienie tej chwili były tak potężne, iż zamarła w niej wszelka myśl. Stała, spoglądając w jego twarz, z ustami rozchyłonymi i oczyma pociemniałymi głębią miłości, o jakiej nie marzyła. Milczał, owładnięty szaleństwem swego uczucia. I trwali tak pochłonięci sobą, nie wiedząc o niczym, nie troszcząc się o nic. Było bardzo cicho w pokoju. Róże i goździki w kryształowej wazie, zdając się wiedzieć, że pani ich błądzi w raju, rozchyliły kielichy i napełniły wonią każdy atom powietrza. Złotawa pszczoła krążyła koło głów kochanków, wyczuwając, zda się, słodycz, goszczącą w kielichach ich serc.

Twierdzenie Miltoun'a, zazwyczaj prawie ładna, stała się dla Audrey Noel w tej chwili, kiedy oczy jego były tak blisko jej oczu, a usta dotykały jej ust, uosobieniem wszelkiego piękna. A ona z sercem bijącym blisko jego piersi, z oczami w pół przymkniętymi w

upojeniu, z włosami przesiąkniętymi słodką wonią, z twarzą pobladłą ze wzruszenia i ramionami omdlałymi ze szczęścia, niezdolnymi do uścisku, – była wcielenie wizji, która ukazuje się jeno w marzeniach sennych.

Tak minęła chwila. Kres jej położyła złotawa pszczoła. Zniecierpliwiona kwiatami, które ukrywały słodycz tak głęboko, krążąc coraz bliżej ich głów, zaplątała się we włosy Audrey. W tej chwili, zauważyła ona, że słowa, złowróżbne słowa, powstają na ustach ukochanego. Próbowała unicestwić je pocałunkiem, lecz pojawiły się:

– Kiedy zostaniesz moją żoną?

Coś się zachwiało! Coś pękło! Z błyskawiczną szybkością obraz sytuacji pojawił się przed Audrey. Wejrzała z nadprzyrodzoną przenikliwością we wszystkie jej zakątki i zakamarki. Coś, co powiedział do niej raz, kiedy rozmawiali o poglądzie kościoła na śluby i rozwody, rozjaśniło jej nagle wszystko. więc w rzeczywistości nigdy nie znał całej prawdy! W tym momencie straszliwej słabości uchronił ją od zemdlenia jedynie zmysł humoru – jej cynizm.

Niepozostawiające jej w spokoju języki ludzkie rozwiodły ją, a on wierzył temu! Szczytem ironji było to, że pragnął ją poślubić, kiedy ona czuła się tak najzupełniej, święcie należąca do niego, gotowa zrobić wszystko co zechce bez wszelkich formalności i ceremonij. Fala gorzkiej nienawiści do człowieka, który stał między nią a Miltoun'em, omal że nie wywołała okrzyku na jej usta. Ten człowiek uwięził – związał ją zanim jeszcze zdołała poznać własną duszę. I oto była przykuta do niego aż do czasu, kiedy jakiś łaskawy przypadek sprawi, że wyda ostatnie tchnienie, wtedy, kiedy jej włosy będą już siwe, oczy stracą blask, a policzki nie będą bladły pod żarem pocałunków, kiedy mrok zapadnie, kwiaty powiędną i złote pszczoły odfruną od niej.

Uczucie to, nagły ból zrozpaczonego więźnia sprawił, iż wyciągnęła dłoń, uchwyciła porywczo gazetę i pokazała ją Miltoun'owi.

Przeczytał wzmiankę. Nastąpiła jedna z tych wieczności, które trwają zaledwie minutę. Spytał wkońcu:

– Czy to prawda?

A na jej milczenie, dodał;

– Proszę mi wybaczyć.

Te dziwne suche słowa były o tyle straszniejsze od okrzyku, że stała pozbawiona nawet możliwości oddychania, z oczami wlepionymi w jego twarz. Uśmiech starego kardynała pojawił się na jego ustach i zdał jej się żywym oskarżeniem. Wydało się dziwnem, że brzęczenie pszczoł i much, łagodny szelest lipy, trwał ciągle na dworze, wskazując uparcie, że istnieje świat, poruszający się i oddychający, obojętny na jej nieszczęście. Potem odwaga wróciła jej, a z nią niema władza kobieca. Oblekła spokojem jej twarz, zaciśnięte, zmysłowe usta i oczy ciemne, nieomal buntownicze pod łukami brwi. Stała, przyciągając go milczeniem i pięknnością. Rzekł:

– Zdaje się, że popełniłem szaloną omyłkę. Wierzyłem, że jesteś wolna.

Jej usta już poruszyły się, by powiedzieć: „Myślałam, że wiesz. Nigdy nie śniłam, że chcesz mnie poślubić”. Zdawało się jej całkiem naturalne, że myślał jedynie o sobie, lecz wiedziona jakimś najsztubtelniejszym instynktem odsłoniła nagle całą tragedję swego istnienia.

– Ja już przyzwyczaiałam się do świadomości tego, że jestem umarła.

– Czy niema sposobu zerwania więzów?

– Żadnego. Żadne z nas nie uczyniło nic złego, poza tem małżeństwo z nim jest na wieki.

– Boże wielki!

Wywołała przedtem jego uśmiech, okrutny mimo woli, a teraz sama z uśmiechem okrutnym rzekła:

– Nie przypuszczałam również, żebyś ty wierzył, iż więzy takie zerwać można.

I nagle twarz jej zadrgała, jakby raniąc jego, raniła siebie jednocześnie. Patrzył na nią, uświadomiwszy sobie, że i ona cierpi. Czuła, że wyteża całą siłą woli, by nie chwycić jej znów w ramiona, więc pobladłe jej usta poczerwieniały i blask rozświetlił oczy, przykryte powiekami. Choć stała tak dumnie milcząca, jakaś siła magnetyczna płynęła od niej. Dłonie, ramiona i twarz Miltoun'a drżały jak w febrze. Ta walka niema i bolesna zdawała się trwać wieczność całą w małym, białym pokoju, zaciemnionym przez dach werandy, przesyconym słodkim zapachem goździków i płonących polan. wreszcie, nie mówiąc ani słowa, Miltoun odwrócił się i wyszedł. Usłyszała trzask ogrodowej furtki.

Odszedł!

## ROZDZIAŁ XVI

Lord Dennis łowił ryby. W słońcu woda była tak przejrzysta, iż widać było jak małe pstrągi, uwijając się po płytkim, wiecznie szmerzącym strumyku, omijały przynętę, rzuconą w ich kierunku. Niepowodzenie zniechęciło staruszkę. Długą wędką szukał każdego zakamarka ich wodnej drogi. W prostym, grubym ubraniu i zniszczonym kapeluszu, gramolił się pomiędzy krzakami tarniny i leszczyny, czując się najzupełniej szczęśliwy. Jak stary wyżeł, który niegdyś celował w tropieniu zajęcy, królików i innej zwierzyny jest teraz zadowolony, jeśli mu ktoś rzuci choć kawałek drzewa do aportowania, tak i on, będąc niegdyś mistrzem w łowieniu ryb, plondrującym wody Szkocji, Norwegji, Islandji i Florydy, – teraz zadawała się prześladowaniem małych pstrągów, niewiększych od sardynek. Błask

tysiąca wspomnień opromieniał mu te godziny, spędzane nad przejrzystą wodą. Łowił powoli, z namaszczeniem, jak pobożny katolik, przesuwający na różańcu jeszcze jeden paciorek. Każda złowiona rybka przynosiła mu uroczyste zadowolenie.

Był rad, gdyby Barbara towarzyszyła mu tego poranka, nie zaproponował jej tego jednak, przyjrzał jej się tylko nieznacznie po śniadaniu i, uśmiechając się lekko, wyruszył sam. Powietrze było spokojne, ciepłe i przejmujące jednocześnie. Gałęzie drzew łączyły się ponad wodą, z której sterczały głazy kamienne, formując małe zatoczki i wstrzymując bieg wody, tak że zarzucenie przynęty wymagało wielkiej przebiegłości.

Strumień w parowie biegł kilka mil u podnóża gór. Ptaki koczowały gęsto wśród drzew, rosnących na brzegu. Ludzkich istot nie było tu wcale, prócz jednej staruszki, wdowy po farmerze, której domek, zapadnięty głęboko w ziemię, stał w parowie. Starowina zarabiała na życie, wskazując drogę turystom, co czyniła z taką znajomością rzeczy, że zazwyczaj po ujściu kilku kroków, wracali oni czempredzej do niej na herbatę.

Lord Dennis zarzucił właśnie wędkę w kierunku odległej, ciemnej plamy zatoczki, uformowanej między kamieniami, gdy usłyszał nagle hałas i trzeszczenie, wywołane przez czyjeś szybkie kroki. Zmarszczył się trochę, nie chcąc płoszyć biednych rybek. Intruzem był Miltoun, rozgorączkowany, blady, z rozwianym włosiem, z dziwnym, bolesnym wyrazem twarzy. Ujrzawszy swego wuja, przystanął i natychmiast przybrał maskę uśmiechu.

Lord Dennis nie był człowiekiem, który widzi to, co nie jest dla niego przeznaczone. Zapytał więc prosto: „Jak się masz, Eustachy” takim tonem jakby przemówił, spotykając swego siostrzeńca

w hall'u jakiegoś londyńskiego klubu. Miltoun, niemniej uprzejmy, rzekł:

– Mam nadzieję, że nie spłoszyłem wujowi rybek?

Lord Dennis potrząsnął głową i, odkładając wędkę na brzeg, powiedział:

– Usiądź tu obok, porozmawiamy trochę. Zdaje mi się, że ciebie nie zajmuje rybołówstwo?

Nie przeoczył cierpienia, wrytego na twarzy Miltoun'a, poza maską obojętności. Oczy jego były jeszcze bystre, poza tem posiadał doświadczenie dwudziestu lat własnych przeżyć. Historia ta, już teraz przebrzmiała, uczyniła z niego człowieka szczególnie wrażliwego na oznaki cierpienia u innych.

Miltoun nie posłuchałby zaproszenia, gdyby pochodziło od kogoś innego, lecz było coś dziwnego w lordzie Dennisie, coś, czemu trudno się było oprzeć. Jego siła leżała w jakimś lekko ironicznym wdzięku, który mógł przekonywać ludzi, że nieuprzejmość jest cechą zbyt nowoczesną, zbyt surową jeszcze, by można ją było tolerować.

Zasiedli obok siebie na pniach drzew. Z początku rozmawiali o ptakach, potem siedzieli cicho, tak cicho, że różne niedostrzegalne istoty, ukryte w lesie, poczęły śmiało wgłós się nawoływać. Lord Dennis pierwszy przerwał milczenie:

– To miejsce – rzekł – przypomina mi zawsze opowiadanie Marka Twaina. Nie wiem dlaczego, może przez swoją wieczystą zieloność i młodość. Lubię tych wiecznie młodych filozofów Twaina i Mereditha. Zbawienie nasze leży w męstwie i silnej woli, choć coprawda nigdy nie mogłem znieść tych „silnych ludzi”, sterników swych dusz: Henley'a, Nietzsche'go i im podobnych. Są wbrew moim zapatrywaniom. Co mówisz, Eustachy?

– Mieli dobre zamiary – odpowiedział, – lecz krytykowali zbyt wiele.

Lord Dennis potwierdził.

– Być sternikiem własnej duszy! – ciągnął dalej Miltoun – to piękny frazes. –

– Bardzo piękny – wyszeptał lord Dennis. Miltoun spojrział na niego.

– I zdaje się, można go zastosować do ciebie, wuju.

– O nie, mój drogi, – odparł porywczo lord Dennis – daleko mi jeszcze do tego, dziękować Bogu!

Oczy jego wlepione były z uporem w dużego pstrąga, krążącego wśród brunatnej wody. Znał tego łotra oddawna, na oko ocenił go na pół funta wagi. Myśli staruszka zaczęły zatrzymywać się nad różnymi właściwościami przynęty z much. Palce śwędziły go, by uchwycić wędkę, lecz nie uczynił ani ruchu, aż wielki jesion, pod którym siedział, zaszumiał nad nim współczująco.

– Niech wuj spojrzy na tego sępa – rzekł nagle Miltoun.

Na wysokości, sięgającej wierzchołka wzgórz, wprost ponad nimi, w błękicie zawisł wielki sęp. Zaciekawiony nieruchomością ludzi tam wdole, przyglądał im się, badając, czy nie są dla niego odpowiednim żerem. Wystrzępione końce skrzydeł poruszyły się dwukrotnie, wskazując, iż jest on żyjącą cząstką powietrznych przestworzy, – symbolem swobody dla przykutych do ziemi ludzi. Lord Dennis spojrział na swego siostrzeńca. Ten młodzieniec cierpiał bardzo – ogromnie! Był z rodzaju ludzi, którzy znoszą swój ból do czasu aż padną. Najgorsze natury, jeśli chce im się pomóc. Ludzie, stworzeni do cierpień, trawia w sobie tak długo ból, aż ich zmoże! Przed oczami starca zjawił się nagle obraz Prometeusza, pożeranego przez sępa. Mit ten należał do jego najulubieńszych, czytał go często po grecku, pomagając sobie starym słownikiem przy niektórych wyrazach, których znaczenie ulotniło mu się już z pamięci. Tak, Eustachy był człowiekiem, stworzonym dla wyżyn i głębi!

Powiedział spokojnie:

– Mam wrażenie, że nie masz ochoty do rozmowy.

Miltoun skinął głową i znów zapanowało milczenie.

Sęp, ujrawszy, iż ludzie wdole poruszają się, zatrzepotał skrzydłami i odfrunął. Mała raszka, siedząca w ciepłe omszonego kamienia, przyglądała im się teraz. Znowu dał się słyszeć plusk w wodzie. Lord Dennis zauważył szeptem:

– Ten pstrąg dwukrotnie się wynurzył. Mam wrażenie, że połknął przynętę. – Dobywając ostatnią muchę z puszki i uwiązując ją na haczyku, począł delikatnie zarzucać wędkę.

– Jeszcze dziś go złapię – zamruczał.

Lecz Miltoun'a już nie było – wymknął się cichaczem.

Dalsze szczegóły o Mrs. Noel, szczegóły, które znała Barbara i które poruszyła również gazeta Bucklandbury News, doszły do wiadomości mieszkańców pałacu dopiero po śniadaniu, kiedy lord Dennis wyruszył już na połów.

W związku z wiadomością, iż Miltoun przyjechał i udał się dokądś bez śniadania, nowiny te spotkały się z rozmaitymi komentarzami. Bertie, Harbinger i Shropton po krótkiej naradzie zdecydowali, że, biorąc pod uwagę dobro wyborów, jest może lepiej, że Mrs. Noel nie jest rozwódką. Skłonni byli mniemać, że niema czasu do stracenia i że należy coś przedsięwziąć, – co jednak – nie byli w stanie określić. Przy niemożliwości przesądzenia tego, jak człowiek, tego rodzaju co Miltoun, zapatrywać się będzie na sprawę, przyjaciele jego stali w obliczu niesłychanie drażliwej sytuacji, o której można było tylko przypuszczać, że im mniej się będzie mówić, a prędzej działać – tem lepiej. Stali wobec przerażającego faktu, wobec potęgi skandalu.

Skonstatowanie prostych faktów, bez komentarzy, (coś, czemu nie można było nic legalnie zarzucić) przedłożone zostało przed forum publiczne, jako zwykła, interesująca wzmianka, lub, w najgorszym razie, jako wiadomość, zamieszczona w dobrej wierze, bo przecież społeczeństwo nie powinno na ślepo wybierać swych reprezentantów, jeśli ich życie prywatne nie może być ujawnione. Cóż mogło być bardziej lojalne! Jednakże stronnicy Miltoun'a zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że proste stwierdzenie, gdzie przepędza on wieczory, jest niebezpieczne przez swą siłę poruszenia tej strony ludzkiej wyobraźni, którą najłatwiej podniecić. Wiedzieli aż zbyt dobrze, jak silna bywa pokusa, szczególnie w tych małomiasteczkowych środowiskach, ulegania czemuś zakazanemu, jak strasznie trudno przychodzi tym ludziom oprzeć się jej, jak interesujące i podniecające jest każde przyłapanie bliźniego na błędzie, jak surowo karana słabość.

Zdawali sobie sprawę z tego, jaką uciechę mieć będą z plotek ludzie, obdarzeni specjalnie drażliwym sumieniem, jak purytanie skorzystają z okazji, by napiętnować winnych. Wiedzieli, jak frapującym będzie dla każdego połączenie nazwiska członka sfery, przez tradycję uznanej za posiadającą wszystko, po co zechce dłoń wyciągnąć, z nazwiskiem tej samotnej kobiety. Rzeczywiście. Była to, jak się wyraził Harbinger, djabelnie niefortunna sprawa. Jakiegokolwiek zainteresowanie się z ich strony wzmocni tylko podejrzenie tych ludzi. A widzieli, że muszą one istnieć, gdyż sami nie byłiby od nich wolni, gdyby nie to, że byli tak pewni Miltoun'a. Pozostawiali decyzję w zawieszaniu, oczekując w każdej chwili powrotu Eustachego.

Lady Valleys przyjęła nowinę z westchnieniem ulgi, odnosząc się do niej nieufnie. Kiedy Barbara potwierdziła tę wiadomość, lady Valleys rzekła tylko: „Biedny Eustachy” i natychmiast wystosowała list do męża z wiadomością, iż nieznamiona pani jest mężatką i tem samym uniknie się katastrofy.

Miltoun pojawił się na lunch'u. Z wyrazu jego twarzy i zachowania nie można było nic wywnioskować, był tylko odrobinę rozmowniejszy niż zazwyczaj. Rozprawiał o mowie Brabrooka, której fragmenty słyszał. Patrzył znacząco w stronę Courtiera, a po skończonym posiłku, zwrócił się do niego:

– Czy nie zechciałby pan udać się na chwilę do mnie?

Pokój Miltoun'a, dawna bawialnia, znajdująca się w skrzydle zamku o stylu elżbietańskim, komnata, którą zdobiły niegdyś obicia, hafty i makaty, tkane rękami wyniosłych dam, dziś wypełniony był książkami, broszurami, rapierami, fajkami i wyłożony do połowy ciemną dębową boazerją. Na jednej ścianie znajdowała się kolekcja broni i ozdób indyjskich, które przywiózł Miltoun ze swej podróży do Stanów Zjednoczonych. Wysoko ponad tym zbiorem wisiała wykonana w brzoźnie maska pośmiertna słynnego wodza czerwonoskórych, odlana z oryginału, który zdjął profesor w Yale, w przekonaniu, iż typ ten był znakomitym okazem zanikającej rasy. Oblicze to, posiadające pewne podobieństwo do rysów Dantego, królowało nad pokojem, z wyrazem tragicznego i okrutnego stoicyzmu. Nie można było patrzeć nań bez uświadomienia sobie, że w istocie tej wola ludzka rozwinięta była do ostatecznych granic. Widząc ją poraż pierwszy, Courtier rzekł:

– Doskonała rzecz, tylko brak temu duszy. Miltoun potwierdził.

– Proszę, usiądź pan – rzekł.

Nastąpiło milczenie, jedno z tych, podczas których ludzie o duszach odrębnych, lecz posiadających pewne wzniosłe cechy wspólne, wiele sobie powiedzieć mogą. Wkońcu przemówił Miltoun:

– Zdaje mi się, że żyłem dotychczas w obłokach. Pan jest jej dobrym przyjacielem. Najważniejsze jest teraz zagadnienie, w jaki sposób złagodzić konieczność przeciwstawienia się tym podłym obelgom.

Courtier odpowiedział: – Nie należy zwracać na nie uwagi. Niechaj się plotkarze zadławią własnym jadem. Ona na pewno nic sobie z nich nie robi.

Miltoun słuchał. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy.

– Przyjaciele pańscy tutaj – ciągnął Courtier z odrobiną wzgardy, – zdają się być ogromnie przejęci. Niech pan im zabroni robić cośkolwiek w tej sprawie.

Nie powinni pisać ani słowa. Trzeba potraktować tę rzecz tak, jak na to zasługuje. Sama się skończy.

Miltoun uśmiechnął się:

– Nie jestem pewien, czy konsekwencje będą takie, jak pan przewiduje, jednakże zastosuję się do pańskich rad.

– Co do kandydatury pańskiej, to zapewniam pana, że każdy człowiek z cieniem szlachetności w duszy będzie głosował za panem właśnie dlatego.

– Najpewniej – rzekł Miltoun, – przypadnę na wyborach pomimo wszystko.

W tej chwili, uświadomiwszy sobie, że ich ostatnie słowa najdobitniej zobrazowały różnicę przekonań i usposobień, spojrzeli bystro na siebie.

– Nie, – rzekł Courtier, – nigdy nie mogę uwierzyć, by ludzie mogli być aż tak podli.

– Do chwili, kiedy się okaże, że są takimi.

– Widzę, że choć różnymi drogami dochodzimy do konkluzji, w rezultacie zgadzamy się.

Miltoun oparł łokieć na gzymsie boazerji i, zasłaniając twarz ręką, spytał:

– Pan zna jej smutne położenie. Czy jest jakieś wyjście?

Na twarzy Courtiera pojawił się wyraz, który przybierał on często wtedy, gdy

przemawiał za jakąś przegraną sprawą.

– Tylko jedno wyjście, które obrałbym, będąc na miejscu pana.

– Jakie?

– Ujęcie prawa we własne dłonie.

Wzrok Miltoun'a zdawał się powracać z wielkiej odległości, zanim zatrzymał się na twarzy Courtiera.

## ROZDZIAŁ XVII

Tej nocy, kiedy wszystko już leżało pogrążone we śnie, Barbara, w szlafroku i z włosami rozpuszczonymi, wymknęła się cichutko ze swego pokoju do ciemnego korytarza. Nagimi nóżkami, wsuniętymi w miękkie, futrem wykładane, pantofle ranne, sunęła cicho wzdłuż szeregu drzwi. Przez wysokie gotyckie okno, nieosłonięte firanką, wpadało łagodne światło księżyca.

Barbara przystanęła pod drzwiami, na które padał wprost blask księżyca, i zastukała. Nie było odpowiedzi.

Uchyliła więc drzwi i szepnęła:

– Czy śpisz już, Eustachy?

Nie otrzymała znów odpowiedzi, więc wsunęła się do pokoju. Firanki były zasunięte, lecz promień księżyca, wpadający przez szczelinę, oświetlał łóżko. Było puste. Barbara stała niepewnie, nadsłuchując. Wśród ciemności dawał się słyszeć niewyraźny odgłos, jakby stłumione echo, jakiś dziwny rodzaj wibracji, jakby języki płomieni bezszelstnie lizały powietrze.

Dziewczyna przyłożyła rękę do serca, które biło tak mocno, jakby lada chwila miało przebić cienkie, jedwabne przykrycie. Z którego kąta pokoju dobywał się ten niemy dreszcz?

Przysunęła się do okna i, odchylając firankę, spojrzała znów w głąb pokoju. W głębi, na ziemi, z głową otoczoną ramionami, z twarzą, zwróconą ku ścianie, leżał Miltoun. Barbara opuściła firankę

i stała bez tchu, przeniknięta dziwnym, nigdy dotąd nieznanym, uczuciem.

Zdawało jej się, że coś świętego znieważono, że pogwałcono jej dumę. Uczucie to minęło prawie natychmiast, ustępując miejsca litości.

Postąpiła szybko kilka kroków naprzód w ciemności. Strach ją nagle ogarnął i przystanęła. Miltoun zdawał się być tego wieczora spokojny, trochę rozmowniejszy, bardziej może zgryźliwy, niż zazwyczaj. A teraz zastała go w stanie takiego przygnębienia.

Barbara nie żywiła zbyt wielkiego szacunku dla nikogo, lecz jeśli już kogoś obdarzała tym uczuciem, to z pewnością w pierwszym rzędzie najstarszego swego brata. Wywierał na nią wpływ już od dzieciństwa przez swą odrębność. Była dumna, że pozwalała jej całować się, podczas gdy nie pozwalał na to nikomu innemu. Kochała go tak, jak się kocha ludzi, z których jesteśmy dumni.

Otaczała go również jakimś rodzajem macierzyńskiej opieki, jak mała dziewczynka, kochająca lalkę, która nie żyje w zgodzie z innymi zabawkami.

Żywiła jednak pewną bojaźń, jaką się odczuwa przed czymś nieodgadnionem. Czy odważy się teraz mieszać do jego osobistej tragedji? Czy sama zniosłaby, gdyby ktoś widział ją w takim upadku? Nie słyszał przecież jak weszła. Próbowwała cicho wysunąć się z pokoju. Podłoga zaskrzypiała. Usłyszała, jak Miltoun poruszył się i, odrzucając nagle obawę, zawołała:

– To ja, Barbara!

Podbiegła i uklękła obok niego. Gdyby nie było tak przeraźliwie ciemno, nie odważyłaby się nigdy na to. Próbowwała ująć głowę jego w swe dłonie, lecz nie widziała nic i niezupełnie jej się to udawało. Gładziła tylko bezustannie jego rękę, rozmyślając, czy też nie znienawidzi jej od tego dnia. Błogosławiła ciemność, w której zaślone wszystko zdawało się nierealne, a jednak było bardziej przejmujące, niż gdyby istniało. Nagle poczuła, iż Miltoun wymyka się z jej ramion i, powstając, wysunęła się za drzwi.

Po ciemnościach, panujących w pokoju, wielki korytarz zdawał się być przesiąknięty mglistym, szarawym światłem, jakgdyby czarodziejskie pająki zasnuły przestrzeń od ściany do ściany pajęczyną, w której sieci szamotały się niezliczone ilości drobnych, białych owadów- w powietrzu drżały jakieś szepty. Nagłe przerażenie i tęsknota za ciepłem, światłem, barwą nawiedziła Barbarę; Uciekła do swego pokoju, lecz nie mogła zasnąć. Straszliwa, niema, niewidzialna wibracja w ciemnym pokoju, jak bezszelstne języki płomieni w



cichem powietrzu dotyk ręki Miltoun'a, gorącej jak ogień, na jej szyi i policzku, wspomnienie tego ponurego epizodu przenikało ją nawskroś, W taki to sposób dziwaczna siła miłości ukazała jej się w całej potędze. Pod pierwszym wrażeniem tego czerwonego kwiatu namiętności, policzki płonęły jej, ciało, otulone chłodną bielizną, drżało, jak w febrze. Leżała, wpatrując się szeroko rozwartymi źrenicami w sufit. Myślała o kobiecie, która była tak mocno kochana i zastanawiała się, czy i ona w tej chwili leży bezsennie, rozciągnięta na nagiej podłodze, starając się ochłodzić czoło i usta zimną powierzchnią ściany.

Długie godziny jeszcze nie mogła zasnąć, a gdy nad ranem zdrzemnęła się, śniła, iż pędzi w obłąkaniu przez pola, porośłe smukłymi, ostrymi złocieniami, uciekając od siebie samej.

Zbudziwszy się zrana, obawiała się zejść na dół. Czy będzie w stanie spojrzeć w oczy Miltoun'owi, teraz, kiedy zna jego namiętność, a on wie o tem?

Kazała podać sobie śniadanie na górę. Zanim skończyła je, Miltoun zjawił się u niej. Zdawał się więcej, niż kiedykolwiek pewny siebie, trochę ironicznie nastrojony. Powiedział:

– Jeśli wyjeżdżasz konno, może zechcesz wziąć ze sobą ten liścik do starego Halidaya Wippincott.

Poczuła, że swem przyjściem i obojętnym zachowaniem powiedział wszystko, co kiedykolwiek miał zamiar powiedzieć o całym tem nocnym zajściu. Najzupełniej zgadzając się, z tą powściągliwością, którą uważała za jedyne wyjście dla nich obojga, spojrzała tylko na niego z wdzięcznością i odpowiedziała:

– Bardzo chętnie załatwię to.

Poczem Miltoun, rozejrzawszy się po pokoju, wyszedł.

Pozostawił ją zaniepokojoną, wytrąconą z równowagi, z tysiącem niezaspokojonych pytań na ustach, gotową ujrzeć olbrzymie skrzydła życia, zataczające kręgi nad jej głową i usłyszeć ich spieszny łopot. Rozmowy z ludźmi irytowały ją tego poranka. Były one skierowane i związane z faktami teraźniejszości, dotyczyły się życia codziennego i spraw świata, takich, jakimi były w istocie. Starła się unikać towarzystwa, chciała bowiem, by mówiono jej o rzeczach, które się jeszcze nie stały, ale stać się mogły. Chciała uchylić rąbek zasłony i ujrzeć ducha wydarzeń, przeżyć i niedoli ludzkiej, uwolnionego z więzów. Było to wszystko niezwykle u Barbary, doskonałej fizycznie, o naturze zbyt zdrowej, by nie korzystać z chwili i nie radować się przyjemnościami, jakie jej dzień przynosił. Sama zdawała sobie sprawę z tego niezwyklego nastroju. Powróciwszy z przejażdżki konnej, nie zeszła na lunch, lecz udała się na przechadzkę w pole. Około godziny drugiej uczuła głód. Wstąpiła do pobliskiej farmy i poprosiła o mleko. W chacie, w kuchni, jak kawki z otwartymi dziobkami, siedzieli rzędem na ławce pod kominem trzech chłopcy. Spożywali chleb z serem. Ponad ich głowami wisiała strzelba, nad kominem wędziły się w dymie dwie szynki, U nóg czarnowłosej dziewczynki, zajętej siekaniem cebuli, leżał, z pyskiem opartym na wyciągniętych łapach, pies tak stary, iż w jego niebieskich oczach zdawał się widnieć blask zbliżającej się śmierci. Wszyscy wpatrywali się w Barbarę. Jeden z chłopców, na którego twarzy widniał wyraz, świadczący, że traci świadomość wszystkiego z wyjątkiem tego na co w danej chwili patrzy, uśmiechnął się i trwał z tym uśmiechem zadowolenia. Barbara wypila mleko i powędrowała dalej. Minęła ogrodzenie i u stóp skalistego, stromego wzgórzka usiadła na wygrzany przez słońce kamieniu. Promienie słoneczne opadły ją łakomie, jak niewidzialne, szybkie ręce, dotykając jej wszędzie, a w szczególności pieszcząc twarz i szyję. Leciutki powiew wiatru, który dolatywał z poza wierzchołków wzgórz i błąkał się pośród młodych paproci, otulił ją swem tchnieniem, przesiąkniętem soczystą wonią ziół.

Ciepło było i cicho. Tylko kukułki na dalekiej tarninie ostrym głosem mąciły spokój. Słodycz i łagodność dnia nie zdołały ukoić Barbary. Nie była w stanie określić swego nastroju. To jedno wiedziała, iż jest czemś zaniepokojona i nie odczuwa nic, prócz jakiegoś bolesnego zniecierpliwienia i oczekiwania czegoś. Czego – sama nie wiedziała. Ogarnęło ją to straszliwe uczucie, że coś wymyka się jej i nie jest w stanie tego schwytać. Uczucie to było dla niej czemś zupełnie nowem, gdyż rzadko można było spotkać młodą dziewczynę, mniej podlegającą nastrojom i zmiennym humorom, niż właśnie ona. Budził się w niej wstręt do tego słabego i prawie-że sentymentalnego uczucia, jakie ją ogarniało.

Chcąc je zmóc, zaciskała usta i ganiła się wewnątrz. Była usposobiona nieufnie i sarkastycznie do nastroju, który był przeciwny jej ideałowi „nieugiętości”, ideałowi, który od dzieciństwa uczono ją czcić: nie uznawać żadnych sentymentów ani słabości u siebie i innych, nie łamać się nigdy – było pierwszym hasłem tej wiary. Było to czemś straszliwym dla Barbary, że tak potrafiła się ugiąć, jednak nie udawało jej się przemóc. Nagle, nie bacząc już na nic, poddała się całkowicie swemu zniecierpliwieniu. Zdjęła szal z ramion, pozwalając, by powiew

muskał jej nagie ramiona i kark. wyciągnęła ręce, jakby chcąc przygarnąć słońce i wiatr do siebie, poczem z ciężkim westchnieniem wstała i poszła dalej. Zaczęła znów myśleć o Audrey Noel. Zastanawiała się nad jej losem. Sama myśl, że kobieta młoda i piękna może być wyrzucona poza nawias życia, budziła w Barbarze oburzenie. Gdyby coś podobnego jej się zdarzyło, pokazałaby wtedy ludziom co potrafi. Pomimo swej szczepionej nieugiętości, Barbara była bardzo czuła na cierpienia innych. Odwiedzając szpitale, gdzie lady Valleys była opiekunką, ochronę dla ułomnych dzieci, lub biorąc udział w dorocznym koncercie w przytułku, nie mogła się nigdy pozbyć uczucia straszliwej litości, które ścisnęło ją za gardło. Razu pewnego, gdy śpiewała dla tych biedaków, widok ich wybladłych, napiętnowanych cierpieniem twarzy podzielała na nią w ten sposób, że urwała w połowie taktu, zapominając słów i melodji i zakończyła uśmiechem, który trafił do serc jej słuchaczy bezwątpienia lepiej, niż niedokończona pieśń. Wracała zawsze od tych widoków z uczuciem buntu, przechodzącym prawie we wściekłość. Chodziła tam nadal tylko dlatego, że wiedziała, iż jej sfery towarzyskie wymagają, by nie odwracała się od tych rzeczy. Jednak nie takie uczucie kierowało nią teraz, gdy kazało jej zatrzymać się przed domkiem Mrs. Noel. Nie była to także ciekawość. Była to prosta chęć uściśnięcia ręki tej kobiety.

Audrey znosiła swój smutek tak, jak znoszą go kobiety, które na pewno nie ubiegają się o zrównanie praw. Czyniła wszystko z takim samym spokojem, jak gdyby się nic nie stało. Była tylko może odrobinę bledsza niż zazwyczaj, z ustami mocniej zaciśniętymu. Obie kobiety stały chwilę naprzeciw siebie, nie mówiąc ani słowa, nie patrząc sobie w oczy. Wreszcie Barbara, kierowana nagłym impulsem, postąpiła naprzód i ucałowała młodą kobietę, poczem, jak dwoje dzieci, które najpierw się

całują, a potem dopiero zawierają znajomość, stanęły obok siebie, milcząc i uśmiechając się niepewnie. Zamieniły pocałunki z prawdziwą słodyczą i przyjaźnią w imię kobiecości, przeciwstawiającej się podłemu światu, lecz w następstwie uczuły się obie trochę zmieszane. Czy zamieniłyby ten pocałunek w innych okolicznościach, gdyby los był pomyślniejszy? Czy nie było to tylko dowodem słabości? Tak zdawał się mówić uśmiech Mrs. Noel, a uśmiech Barbary niechętnie przytakiwał. Następnie, orientując się, że jeżeli chcą mówić, muszą poruszać rzeczy najzwyklejsze, zaczęły gawędzić o muzyce, o kwiatkach i pszczołach. Przez cały jednak czas Barbara podświadomie badała swemi uśmiechniętymi oczami te drobne poruszenia i gesty, które wskazują jasno jednej kobiecie, co przeżywa druga. Widziała leciutkie drżenie kącików ust, oczy nagle rozszerzające się i ciemniejące, lekki jedwab bluzki, który wznosił się i opadał na piersiach. wyobraźnia jej, podniecona przeżyciami ubiegłej nocy, ujrzała tę kobietę, oddającą się w myślach wspomnieniom swej miłości. Na myśl o tem uczuła młoda dziewczyna pewien rodzaj zniecierpliwienia, jaki odczuwają zwycięzcy dla biernych, a jednocześnie pewien nieuchwytny cień zazdrości zrodził się w jej sercu. Ta kobieta bezwątpienia przyjmie wszystko, cokolwiek postanowi Miltoun. Pomimo, że rezygnacja taka znakomicie ułatwiała sprawę, oburzała jednak Barbarę, która zawsze buntowała się przeciw bierności, nie uznawała żadnych rozkazów, choćby pochodzić miały od jej ukochanego brata. Powiedziała nagle:

– Czy pani nic nie przedsięwzięmie? Czy pani nie spróbuje wyswobodzić się? Gdybym była na pani miejscu, nie spoczęłabym pókiby mnie nie uwolniono z więzów. Lecz Mrs. Noel nie odpowiedziała nic i Barbara, obrzuciwszy wzrokiem jej postać, od korony ciemnych włosów aż do drobnych stóp, dodała:

– A więc tak dalece wierzy pani w przeznaczenie?

Niezadługo potem, nie wiedząc już doprawdy o czem mówić, udała się do domu. Szła poprzez pola, gdzie lato mieniło się ciepłem i barwą, gdzie czerwone krowy pasły się, siejąc zniszczenie wśród kaczeńców i mleczków. Barbara

przeżywała w duszy bolesne wspomnienie tej siły bierności, uległości i słodyczy, jaką tamta kobieta przed nią odkryła. Zdawało się jej, że ujrzała w białej postaci Audrey Noel i usłyszała w dźwięku jej głosu coś z zaświatów, coś symbolicznego, niezrozumiałego, a jednak tak bardzo prawdziwego.

## ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy groźba wojny minęła, lord Valleys, nienaglony już oficjalnymi sprawami, powrócił do Monkland na dłuższy wypoczynek. Wielki ciężar spadł mu z serca, kiedy dowiedział się, że Mrs. Noel nie była wolna. Pojęcia jego, o ile chodziło o mieszanie sfer, nie były tak przestarzałe jak pojęcia jego teściowej, choć był zawsze gotów twierdzić, że ekskluzywność była już czemś przebrzmiałym, choć, nauczony doświadczeniem, wskazywał nieraz niebezpieczeństwo, płynące ze zbyt wielkiej rasowości, jednak, jeśli chodziło o jego własną rodzinę, miał inne zapatrywania. Był on cokolwiek dotknięty małżeństwem Agaty, gdyż Shropton, pod każdym względem wzorowy i ogromnie bogaty, był zaledwie trzecim z rzędu, noszącym tytuł barona, tytuł, który uzyskała jego rodzina, dorobiwszy się majątku na rudzie żelaznej. Lord Valleys uważał, że nie było wskazanym wychodzić poza obręb swej sfery, jeśli nie zmuszała do tego jakaś materialna konieczność. Sam przecież nie uczynił tego również. Nadto należało mieć pewien sentyment, broniący odstępstwa.

Następnego ranka po przybyciu zwiedził swe psiarnie. Stał, rozmawiając z zarządzającym i pieścił ręką wilgotne nosy swych dwóch ulubionych wyżłów z dziwnym uczuciem uczniaka, który wypuszczony został ze szkół na ferie świąteczne. Te miłe stworzenia, łaszące się koło jego nóg i wznoszące ku niemu żółte, skośne oczy, napełniały go uczuciem ciepła i spokoju, jakie nawiedza zawsze ludzi w obecności ich faworytów. Ta para wyżłów była zupełnie okazowa. Płynęła w nich najczystsza krew kilkunastu rasowych pokoleń. Teraz było dla niego poważnym zagadnieniem, czy można będzie zaryzykować jeszcze jedno skrzyżowanie tej pary, by wyeliminować już ostatecznie pozostałość sinawego koloru ich łat. Było to wielkie ryzyko i dlatego właśnie tak bardzo interesujące.

Cienki głosik odwrócił uwagę lorda Valleys. Obejrzał się, poza nim stała mała Anna. Poprzedniego wieczora, kiedy powrócił, leżała już w łóżeczku, dlatego przedstawiał dla niej dzisiaj najnowszy, najbardziej zajmujący obiekt.

Trzymała w objęciach małą świnkę morską i natychmiast rozpoczęła:

– Dziaduniu, babcia ma ci coś do powiedzenia. Prosi, żebyś przyszedł. Jest na tarasie, rozmawia z Mr. Courtierem. Bardzo go lubię. Strasznie dobry. Czy myślisz, że jeśli puszczę moją świnkę, psy ją pogryzą? Biedactwo! Chyba nie zrobią jej nic złego. Jest zachwycająca, prawda?

Lord Valleys, muskając wąsy, przyglądał się śwince bez szczególnej sympatii. Nie znosił tego rodzaju głupich stworzeń. Przyciskając świnkę rączkami, tak jakby to była harmonja ręczna, Anna wywijała ją ponad wyżłami, które marszczyły straliwie nosy i przyglądały się jej z zachwytem.

– Poczciwe pieski! Chcą się z nią bawić. Dziadku!

– Co takiego?

– Czy przypuszczasz, że następne szczenięta będą już całe w łatki?

– Myślę, że nie jest to nieprawdopodobne.

– Dlaczego zależy ci na tem, żeby miał akurat takie łatki? O patrz! One liżą małą Sambo! Muszę już iść.

Lord Valleys podążył za nią. Kiedy zbliżał się do tarasu, żona jego wyszła mu naprzeciw. Miała wypieki na policzkach i wyraz twarzy, dumniejszy i bardziej rezolutny, niż zazwyczaj, co było oznaką, że jej się ktoś sprzeciwiał.

W istocie poróżniła się z Courtierem. Courtier bowiem z tytułu tego, iż był pierwszym, który zdradził właściwe stanowisko Mrs. Noel, poczuwał się do obowiązku dalszych konfidencji w tym przedmiocie. Spór rozpoczął się od uwagi, którą lady Valleys uważała za naturalną i wcale nieprzesadzoną. Uznała mianowicie, że wszystkiemu jest winna Mrs. Noel, gdyż powinna była od samego początku i zupełnie szczerze przedstawić Miltoun'owi sytuację, w jakiej się znajduje. Courtier odrazu się zaperzył.

– Jest bardzo łatwo obwiniać samotną kobietę tym, którzy nigdy nie znajdowali się w jej sytuacji.

Lady Valleys, nieprzyzwyczajona do tego, by jej się ktoś sprzeciwiał,

przyglądała mu się ze zdziwieniem.

– Na pewno nie należę do ludzi, którzy rzucają kamieniem na kobietę z powodu jej prowadzenia się, lub niewyraźnego stanowiska, lecz uważam, że w tym wypadku Mrs. Noel okazała brak charakteru.

Odpowiedź Courtiera brzmiała prawie-że niegrzecznie:

– Nie wszystkie rośliny są jednakowo krzepkie i odporne, lady Valleys. Niektóre, jak wiemy, są jednakże trochę wrażliwe.

Odpowiedziała stanowczo:

– Niesłusznie użył pan tego wyrażenia tu, gdzie należałoby powiedzieć zwyczajnie słabe.

Przybrał wyraz bardzo surowy i, przygryzając wąsy, odpowiedział:

– Jakież zbrodnie popełnia się pod przykrywką hasła: „Silni zwycięzcami”, które głosicie wy, uprzywilejowani!

Lady Valleys, chełpiąca się swą powściągliwością, odpowiedziała tylko:

– Oh, o tym należałoby jeszcze pomówić. Z pozoru słowa pańskie nie brzmią bardzo filozoficznie.

Spojrzał na nią z dziwnie niemiłym uśmiechem. Poczwała w tej chwili gniew i jakieś niezadowolenie. Było bardzo przyjemnie bawić się obserwowaniem tego rodzaju ludzi, istniały jednakże pewne granice. Przypomniała sobie, że był jej gościem, więc rzekła tylko:

– Być może, że mimo wszystko rozsądniej będzie nie mówić zupełnie o tem.

Zabierając się do odejścia, usłyszała jeszcze jego słowa:

– Jakkolwiekby było jestem pewien, że Audrey Noel umyślnie nie ukrywała niczego przed pańskim synem. Jest na to zbyt dumna.

Chociaż wzburzona, nie mogła się oprzeć jednak uczuciu sympatji. Spodobał jej się upór, z jakim Courtier bronił tej kobiety. Rzuciła więc na odchodnym:

– My dwoje, Mr. Courtier, musimy jeszcze któregoś dnia stoczyć walkę.

Szła teraz naprzeciw męża, uświadamiając sobie pewne uczucie zadowolenia, które zawsze budziła w niej każda potyczka.

Stanowili z mężem doskonałą parę przyjaciół. Małżeństwo ich zawarte było z miłości. Pozostawało dotychczas solidnym i doskonałym związkiem. Zajmowali oboje wybitne stanowiska w życiu towarzyskim i społecznym i wobec tego chwile, które spędzali razem, choć bardzo nielicznie, obfitowały zawsze we wzajemne porozumienie i harmonję. Dotychczas jeszcze nie mieli czasu porozmawiać o sprawach ich najstarszego syna, więc teraz lady Valleys, ujmując pod rękę męża i uprowadzając go od domu, zaczęła:

– Chciałam pomówić z tobą o Miltoun'ie, Geoffrey'u.

– W istocie – rzekł lord Valleys – wygląda bardzo wyczerpany i przygnębiony.

Gdyby już te wybory minęły wreszcie!...

– Jeśli przypadnie, a nie znajdzie innego poważnego zajęcia, by skupić na niem swą uwagę, zagryzie się z żalu za tą kobietą.

Lord Valleys pomyślał chwilę zanim odpowiedział:

– Nie przypuszczam tego, Gertrudo. Posiada przecież bardzo dużo energii.

– Naturalnie, lecz miłość do tej kobiety jest prawdziwą i szczerą namiętnością, a Miltoun należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy nie potrafią zastąpić prawdziwego uczucia czemś pierwszem lepszem.

– Żał mi tej kobiety, – bąknął lord Valleys – prawdziwie mi jej żał.

– Plotki prawdopodobnie wyrządziły wiele złego.

– Wpływy nasze bezwątpienia będą silniejsze.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co zamierza Miltoun teraz czynić. Czy zechcesz go zapytać?

– Uważam, że ty jesteś jedyną osobą, która powinna z nim pomówić. Ja nie nadaję się do tego rodzaju rzeczy.

Lady Valleys szepnęła z prawdziwym zakłopotaniem:

– Mój drogi, wiesz przecież, jak nie umiem postępować z Eustachym. Jak tylko przybiera ten swój ironiczny uśmieszek, natychmiast zbija mnie z tropu.

– W każdym razie jest to sprawa, którą powinna załatwić kobieta i nikt inny, jak właśnie matka.

– Gdyby to któreś inne z dzieci – bąknęła lady Valleys. – Eustachy dziwnie umie dać odczuć, jak jest się niezręcznym i nieporadnym.

Lord Valleys spojrzał na nią pytająco. Jego wytrawny smak, poruszony często jednym słowem,

zmuszał go do krytyki. Czyż była rzeczywiście niezręczna i nieporadna?

Dotychczas nigdy mu to na myśl nie przyszło.

– Ha, będę zmuszona z nim się rozmówić – westchnęła lady Valleys. – Jeśli już nie ma innej rady.

Po śniadaniu udała się do pokoju Miltoun'a. Zastała go zajętego przymocowywaniem ostróg do butów, wybierał się właśnie na przejażdżkę konną do miasteczka.

Pod maską indyjskiego wodza stał Bertie, bardziej nieposzlakowany i układny niż zazwyczaj. Krawat miał starannie związany, bez zarzutu też były skrajane jego breczesy.

Ludzi, mających do czynienia z Miltoun'em, głównie mieszało to, iż prędzej, czy później przekonywali się, że nigdy nie mogą być pewni, jak zareaguje on na poszczególne fakty. Była w jego umyśle, jak również i w twarzy, pewna regularność, która w jakimś nieoczekiwanym momencie rozprzęgała się, ustępując miejsca czemuś nieprzewidzianemu. Cecha ta była zapewne odziedziczona po przodkach, których stanowcza, wybitna indywidualność wysuwała zawsze na czoło współczesności. W Miltoun'ie płynęła nie tylko krew Caradoc'ów i Fitz Haroldów, lecz wielu innych przodujących rodów Anglii, które w czasach, kiedy jeszcze pieniądź nie odgrywał głównej roli, zdobywały przywileje przez swoje osobiste zalety, niezawsze może wzniosłe, lecz zawsze silne i wybitne.

I choć lady Valleys odznaczała się zawsze śmiałością i niełatwo dawała się zbić z tropu, tym razem rozpoczęła przezornie rozmowę od spraw polityki w nadziei, że syn jej pierwszy da impuls do właściwego tematu. Tak się jednak nie stało i matka poczęła się niecierpliwić. Wreszcie, zbrojąc się w odwagę, powiedziała:

– Ogromnie mi jest przykro, mój drogi. Postaraj się nie brać sobie zbyt tego do serca.

Miltoun nie odpowiedział. Zaległo milczenie, którego najbardziej obawiała się lady Valleys. Chcąc je przerwać za wszelką cenę, brnęła dalej. Usiłowała przedstawić synowi całe zajście ze swego punktu widzenia i zakończyła słowami:

– Na pewno wszystko nie jest warte tego, by się tak przejmować.

Miltoun słuchał jej z dziwnym wyrazem człowieka, wyglądającego z poza maski. Wkońcu, uśmiechając się, rzekł:

– Dziękuję mamie – i otworzył drzwi.

Lady Valleys, nie zdając sobie sprawy z tego, czy chce, żeby wyszła, wogóle nie orientując się w niczym w tej chwili, wysunęła się za drzwi, a Miltoun przymknął je za nią.

W dziesięć minut później wraz z Bertie jechał konno w kierunku miasteczka.

## ROZDZIAŁ XIX

Tego popołudnia wiatr, który od rana systematycznie się wzmacniał, napędził nawałnicę chmur z południowo-zachodniej strony. Zrodzone w sercu Atlantyku płynęły z początku prędkie i postrzępione, jak białe szalupy, wielkiej floty w zapasach, poczem stłoczoną masą przysłoniły słońce. Około godziny czwartej spadł deszcz, pędzony przez wiatr pionowo, z zimnym, przejmującym szmerem. Jak młodość i marzenie zamiera pod zimnym uderzeniem deszczu żyda; tak zamarła jasność i piękno pól i ugorów, wzgórz, które wydawały się przedtem wyniosłymi, dzikimi zamczyskami, teraz zamieniły się w szare, bezkształtne narośle. Perspektywę zasłoniła siwa mgła. Kukułki zmiłkły. W krajobrazie nie było jednak nic z tej piękności, która tkwi w majestacie śmierci. Nie było nic z jej tragicznej potęgi. Wszystko zdawało

się monotonne i rozplakane. Około godziny siódmej słońce znów się przedarło przez zasłone chmur i rozbłysło złościście. Jak ogromna gwiazda, której promienie sięgały dołem linii horyzontu, górą najwyższego szczytu bezkresnej przestrzeni powietrza, jaśniało oślepiającym, mrocznym blaskiem. Chmury, rozszczepione gdzieś niegdzie ostremi dzidami płomieni, skupiły się, jak w podziwie. Pod dusznym ciepłem słońca mokry wrzos począł parować, a blask jego drobniutkich, wilgotnych, zamkniętych dzwoneczków przypominał niezliczone, malutkie, dymiące ogniki.

Obaj bracia, przemoczeni do nitki, wracali w milczeniu do domu. Będąc zawsze w doskonałej przyjaźni, nie mieli nigdy wiele sobie do powiedzenia, gdyż Miltoun uświadamiał sobie doskonale, że myśli jego biegną innym torem, niż myśli Bertie, a Bertie ukrywał przed swym bratem wszystko, co absorbowało jego

umysł, tak, jak ukrywał zawsze wszystkie swe przekonania polityczne, sekrety stajni, oraz wszystkie inne cenne wiadomości, o których sądził, że z chwilą, kiedy przestaną być wyłącznie jego tajemnicą, osłabiają władzę, jaką posiadał nad życiem. Nie zdradzał ich, przypuszczając, że obniżyłoby to wartość jego poczucia samowystarczalności i zraniłoby jego dumę, ukrytą w najtajniejszej głębi duszy, lecz chociaż mówił niewiele, posiadał zdolność obserwowania, rozważania i zastanawiania się, często spotykane u ludzi o statecznym charakterze, obdarzonych pewną tendencją do złośliwości. Razu pewnego, bawiąc na polowaniu w Nepalu, przepędził samotnie cały miesiąc w towarzystwie jedyne go słuźącego tubylca, który nawet nie rozumiał po angielsku. Gdy pytano go potem, czy nie nudził się straszliwie, odpowiedział:

– Ani trochę, myślałem dużo i zastanawiałem się nad wieloma rzeczami.

Do przejść Miltoun'a odnosił się teraz ze współczuciem braterskim, zabarwionem jednak wrodzoną nietolerancją zatwardziałego kawalera. Nie uznawał kobiet. W głębi duszy nie ufał istotom, które posiadały tak jawną władzę wyzyskiwania mężczyzn. Był jednak z tych, w których kobieta obudzi może kiedyś szczere i wzniosłe uczucie. Do tego czasu jednak zajmować będzie w stosunku do całej płci pięknej stanowisko nawskroś męskie, a i potem zapatrywania jego zmienia się tylko dla jednej wybranej. Do kobiet odnosił się podobnie jak do życia. Były to istoty, na które należało uważać, w miarę stykać się z nimi i odpowiednio korzystać z ich usług. Jedyna aluzja, na jaką się zdobył w związku z całą sprawą Miltoun'a, brzmiała nieco szorstko:

– Mam nadzieję, mój stary, że prędko przebolejesz tę stratę.

Słowa jego nie wywołały żadnej odpowiedzi. Zapanowało niezmacone milczenie.

Gdy jednak przejeżdżali koło domku Mrs. Noel, Miltoun odezwał się:

– Przytrzymaj mego konia, muszę wstąpić tutaj...

Siedziała przy pianinie z rękami opuszczonemi leniwie na kolana. Wpatrywała się w nuty. Siedziała już tak od dłuższej chwili, nie uderzając w klawisze. Kiedy cień wchodzącego Miltoun'a przysłonił światło, przy którym widziała i tak niewiele, drgnęła lekko i powstała, lecz nie zbliżyła się do niego, ani nie przemówiła. On również bez słowa wszedł do środka i stanął koło kominka, patrząc w pustę palenisko. Płowy kot, któremu wejście Miltoun'a przeszkodziło w śledzeniu przefruwających jaskółek, zsunął się z okna i przycupnął za krzesłem. Milczenie, wśród którego zagadnienie przyszłości miało się rozstrzygnąć, zdawało się trwać nieskończenie. Jednak żadne z nich niezdolne było przerwać ciszy. Wreszcie, dotykając zlekka rękaw Miltoun'a, rzekła:

– Przemókł pan zupełnie.

Drgnął, zabołał go ten pokorny znak posiadania. I znów stali pogrążeni w ciszy, którą przerywał tylko kot, myjący łapy. Jednak jej zdolność milczenia była silniejsza, jemu też przypadło w udziale rozpoczęcie rozmowy.

– Przebac mi, że przyszedłem. Coś jednak należy postanowić. Te płotki...

– Ach to, – przerwała – czy jest coś co mogłabym uczynić, by nie dopuścić do konsekwencji zgubnych dla pana?

Usta Miltoun'a skrzywiły się boleśnie.

– Mój Boże, nie, niech sobie gadają.

Oczy ich spotkały się teraz i niezdolne były się rozstać. Mrs. Noel przemówiła wreszcie:

– Czy będzie pan mógł przebaczyć mi kiedykolwiek?

– Co? Przecież to ja jestem winien.

– Nie. Powinna była lepiej znać pana. Głębia ukrytego znaczenia tych słów, subtelne,

straszliwe przyznanie się do tego, co gotowa była zrobić dla niego, beznadziejna świadomość, że nie był on ani teraz ani nigdy zdolny do takiego poświęcenia, wszystko to poruszyło do głębi Miltoun'a. Wyrwało mu się:

– To nie tchórzostwo, wierz choć w to!

– Wierzę,

Nastąpiła znów długa cisza. Chociaż stali tak blisko siebie, że nieomal się dotykali, nie patrzyli sobie w oczy. Potem powiedział Miltoun:

– Teraz więc nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć ci – żegnaj!

Na te spokojne słowa, wypowiedziane ustami, które choć uśmiechały się, nie potrafiły jednak ukryć całej niedoli, twarz Audrey Noel stała się nagle biała, tak biała jak jej suknia, a oczy jej, rozszerzając się niezmiernie tak, że zdawało się, iż wchłonęły w braku innej barwy całą jej siłę i żywotność, –

zdawały się być żywym, bolesnym i dumnym wyrzutem. Drżąc i ściskając dłonie, odszedł Miltoun ku oknu. Z głębi pokoju nie dochodził żaden szmer. Po chwili odwrócił się i spojrzał ku niej. wodziła za nim wszędzie oczami. Zasłonił twarz rękami i wyszedł szybko z pokoju. Mrs. Noel stała chwilę na miejscu, w którym ją pozostawił, poczem podeszła do pianina, osunęła się na krzesło i znów poczęła się wpatrywać uparcie w linje nut. Kot przemknął znów na swe miejsce przy oknie, śledząc jaskółki. Promienie słońca zamierały powoli na najwyższych gałązkach lipy. Mżył drobny deszczyk.

## ROZDZIAŁ XX

Klaudjusz Fresney wicehrabia Harbinger, mając lat trzydzieści jeden, był najmniej może zadłużonym arystokratą w całej Anglii. Dzięki jednemu ze swych przodków, który zdobył ziemię sto trzydzieści lat przed wybudowaniem na niej miasta Nettlefold, oraz swemu ojcu, który umarł, kiedy Klaudjusz był jeszcze dzieckiem, sprzedawszy przedtem wspomniane miasto za wielką sumę, posiadał ogromne dochody, niezależnie od swoich majątków ziemskich. Wysoki, dobrze zbudowany, z twarzą przystojną o rysach stanowczych, sprawiał na pierwszy rzut oka wrażenie siły, które zacierało się trochę, kiedy zaczynał mówić. Przyczyna tego nie leżała w samym sposobie mówienia, zabarwionym dziwacznym żargonem i obracającym wszystko w żart. Słuchając go, miało się wrażenie, że mózg jego nie wysiła się zbyt i idzie po drodze najmniejszego oporu. Był w istocie jedną z tych osobistości, które, zajmując miejsce dość wybitne w polityce i życiu społecznym, zawdzięczają je jedynie swemu zewnętrznemu wyglądowi, stanowisku, pewności siebie i pewnej energii, napoły rzeczywistej, napoły wypływającej z tego właśnie wrodzonego upodobania do najprostszej, najłatwiejszej drogi. Bez wątpienia nie był leniwy, napisał książkę, podróżował, był kapitanem gwardji królewskiej, sędzią pokoju, doskonałym sportsmanem i niewyczerpanym, biegłym mówcą. Nie byłoby słusznie nazwać jego entuzjazm dla reformy społecznej nieszczerem. Był rzeczywiście prawdziwy i świadczył o pewnym polocie i dobroci serca. Cała jego działalność była skrępowana przyzwyczajeniami, zaszczerpieniami przez wychowanie w szkołach, przyzwyczajeniami nawskrość angielskimi, tak silnymi i wpływowymi, że stają się drugą naturą i podciągają wszystko na świecie pod sztandar i przesady jedne; klasy. wobec tego, że wszyscy jego towarzysze podlegali temu przesądowi, nie mógł sobie uświadomić własnego postępowania. W rzeczywistości niczego tak bardzo nie lekceważył w polityce jak ograniczonych i nietolerancyjnych zapatrywań, których przykłady obserwował u stronników partji pracy i u nonkonformistów. Nigdy nie przypuszczał ani przez chwilę, że dla niego pewne drzwi zostały zamknięte w dniu jego urodzenia, zaopatrzone podwójnym zamkiem w chwili wstąpienia do Eton i zabarykadowane, kiedy udał się do Cambridge. Niktby nie zaprzeczył, że było wiele cennych zalet w jego hasłach i przekonaniach: wysoki poziom uczciwości, prawość, dżentelmanerja, szczerłość przekonań, niezależność i wstręt do wszelkiego okrucieństwa, jeśli ono było oficjalnie za okrucieństwo uznane. Posiadał również silnie rozwinięty zmysł obowiązku służenia państwu, lecz powinien być mieć o wiele silniej rozwiniętą indywidualność, by móc spojrzeć na życie z innego punktu widzenia, niż mu kazało jego urodzenie i wychowanie. Ażeby dokładnie zrozumieć Harbingera należałoby, odrzuciwszy z oczu i z uszu zasłonę wszelkiego przesądu, uczestniczyć w jednym z tych wielkich zawodów cricketowych, w których odznaczał się tak wybitnie jako mały chłopiec. Należałoby z jakiegoś wysokiego, odległego, bezpartyjnego miejsca przyglądać się temu polu, które w godzinach przedpołudniowych pokrywały od ogrodzenia do ogrodzenia, od trybuny do trybuny zdumiewające tłumy ludzi, złożone z osobników, poruszających się zupełnie jednakowo, z zupełnie jednakowym wyrazem twarzy, pod identycznymi kapelusami. Tłumy te stanowiły największą, najbardziej zdumiewającą jedność hasła, dążności, wiary i zwyczajów, jaka kiedykolwiek znana była od początku świata. Nie, otoczenie jego nie sprzyjało rozwojowi oryginalności i indywidualności. Przytem był bardzo żywy, niezbyt głęboki i życie nieczęsto pozwalało mu zastanawiać się nad samym sobą. Stykając się od rana do nocy z ludźmi, dla których polityka stanowiła tylko przepędzenie czasu, nie podlegając żadnemu przymusowi, ani dyscyplinie, był i tak bardziej poważny, niż się tego należało spodziewać. Nie

kochał się nigdy aż do zeszłego roku, kiedy Barbara, podczas swego pierwszego sezonu w świecie, „pograżyła go najzupełniej”. Choć był bardzo zakochany, dotychczas jednak nie prosił o jej rękę. Nie miał na to czasu, lub może odwagi, czy też przekonania, że powinien to uczynić. Kiedy znajdował się w obecności Barbary, niepewność jej przychylności zdawała mu się nie do zniesienia. Kiedy oddalał się od niej, było to dla niego prawie że ulgą, gdyż miał zawsze wiele do zrobienia i powiedzenia, a mało czasu, by to wykonać i powiedzieć. Teraz jednak, podczas tych dwóch tygodni, które poświęcił dla sprawy Miltown'a, jego uczucie spotęgowało się do tego stopnia, iż przeszło granice równowagi i wewnętrznego spokoju. Nie przyznawał się nawet przed samym sobą, że powodem pewnego niepokoju był Courtier, gdyż pomimo wszystko był on przecież niczem – intruzem. Jednakże ilekroć jego oczy zatrzymywały się na tej spokojnej, ironicznej twarzy, zawsze tlił w nich błysk jakiejś zimnej badawczości, często zaćmiewany przez cień niepokoju. Spotykali się rzadko, gdyż większą część dnia spędzał Harbinger na rozjazdach autem po okolicy i na przemówieniach, zaś Courtier czytał i jeździł konno, gdyż noga jego była za słaba do pieszych spacerów. Raz, czy też dwa, późnym wieczorem w palarni wszczynał Harbinger dyskusję z tym bojownikiem przegranej sprawy i przy takich okazjach źle ukrywane zniecierpliwienie dawało się odczuć w jego głosie. Było dla niego czymś niepojętym, w jakim celu człowiek traci czas, walcząc z wiatrakami podczas tej podróży na księżyc. Fakt pozostawał przecież faktem, natura ludzka nie będzie nigdy niczem innym, jak tylko naturą ludzką. Irytował go zwłaszcza błysk oczu Courtiera i ton jego głosu, który przy takich okazjach zdawał się mówić: „Mój młody przyjacielu, napróżno tracisz swój drogi czas, chcąc mnie przekonać”.

Pewnego rana po takiej sprzeczce, Harbinger, ujrawszy Barbarę, wybierającą się na konną przejażdżkę, poprosił o pozwolenie towarzyszenia jej do stajen. Udali się razem. Młody człowiek milczał wbrew przyzwyczajeniu, dziwne uczucie ścisnęło mu serce: przełykał co chwila ślinę przez zaschnięte gardło. Stajnie Monkland Court były tak wielkie, jak niektóre dwory wiejskie. Urządzone na trzydzieści koni, teraz mieściły tylko dwadzieścia jeden, łącznie z kucem małej Anny, wysokie, doskonale oświetlone, czyste i przewietrzane nie miały równych sobie w całym hrabstwie. Zdawało się niemożliwością, by jakiś koń w takiej stajni pamiętać mógł o tem, że jest tylko koniem. Każdego rana ustawiano przy głównym wejściu kobiałkę z marchwią, jabłkami i cukrem dla tych, którzy, odwiedzając stajnie, pragnęliby nakarmić jej rozpieszczonych mieszkańców.

Konie, uwiązane do mosiężnych kół, umieszczonych po obu stronach każdej przegrody, zwrócone głowami do drzwi, utrzymane bez zarzutu, stały z podniesionymi szyjami, nastawionymi uszami, błyszczącą skórą, dumając o tem i owem, napominane lekkim sykaniem wiecznie czujnych groomów, gotowe w każdej chwili witać uprzejmem rżeniem wchodzącego. W wysokiej, obszernej przegrodzie, leżącej w północnym skrzydle, stał doskonale rasowy, kasztanowaty hunter, ulubieniec Barbary. Usłyszawszy kroki swej pani, stanął spokojnie z odwróconą głową. Znalazł właśnie jabłko w swym żłobie i łakomstwo jego walczyło ze smakowitym zapachem tego delikatesu a świadomością odgłosu kroków, które wróżyły mu bezsprzecznie marchew. Kiedy Barbara odemknęła drzwiczki i zawołała: „Hall”, odwrócił się do żłobu, chcąc zaznaczyć swą niezależność, lecz kiedy rzekła: „A więc dobrze!”, – zawrócił i zbliżył się do niej. Oczy jego wielkie, błyszczące pod grubymi, kasztanowatymi rzęsami, obszukiwały ją badawczo. Nie znalazłszy marchewki, wyciągnął szyję, nozdrzami błędził wzdłuż jej kibici i dotykał wargami ręki, poczem, stąpając ostrożnie, by nie nadeptać jej na nogę, odsunął ją tak zręcznie, iż znalazł się poza nią i obwąchiwał z kolei jej kark. Lecz i tu nie wyczuł ukrytej marchwi. Przyłożył więc głowę poprzez jej ramię do policzka i zarżał zlekka. Marchew ukazała się w rękach Barbary na poziomie pasa. Wyciągając szyję, koń starał się dostać ją i, czując smaczny kąsek tak blisko, znów począł rzeć i uderzył Barbarę leciuteńko zgiętem kolaniem. Nie mogąc wciąż jeszcze dostać się do marchwi, podniósł głowę i odsunął się, udając obojętność. Nagle poczuł dwoje ramion wokół szyi i coś miękkiego, tulącego się do jego nozdrzy. Stał spokojnie, kładąc uszy po sobie, lekki oddech łaskotał go. Nastawiwszy uszu parsknął silniej i natychmiast miękka buzia jego pani odsunęła się. Zauważył wtedy, że włożyła mu do pyska marchew.



Harbinger stał, opierając się o ścianę przegrody, i przyglądał się całej scenie z dziwnie pobladłą twarzą. Kiedy Barbara odeszła od konia przemówił:

– Lady Barbaro!

Ton jego głosu musiał być szczególny, gdyż Barbara odwróciła się gwałtownie.

– Co takiego?

– Jak długo mam jeszcze znosić to wszystko?

Nie spuściła oczu, nie zaczerwieniła się ani pobladła. Przyglądała mu się tylko z badawczym zainteresowaniem. Nie było to spojrzenie okrutne, nie zawierało w sobie ani cienia złośliwości lub ironji, a jednak przeraziło go nieodgadniętym spokojem i pogodą. Niepodobieństwem było dowiedzieć się, co tkwiło poza tem spojrzeniem. Ujął jej rękę, pochylił się nad nią i rzekł cichym głosem:

– Pani wie przecież co ja czuję... Nie bądź okrutna dla mnie...

Nie usunęła ręki. Zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na to, że ją przytrzymał.

– Nie jestem wcale okrutna dla pana. Podniósł oczy i zobaczył, że uśmiecha się.

– A więc, Barbaro!

Twarz jego dotykała prawie jej twarzy, lecz Barbara nie odsunęła się.

Potrząsnęła tylko przecząco głową. Harbinger zaczerwienił się.

– Dlaczego? – spytał,

Jakgdyby ta straszna niesprawiedliwość przeczącego gestu dotknęła go nagle, puścił jej rękę.

– Dlaczego? – powtórzył szorstko.

Lecz ciszę przerywał tylko świergot wróbli poza okragłem oknem, oraz mlaskanie Hala, pożerającego ostatni kęs marchwi.

Harbinger chłonał nozdrzami słodko-cierpki, przejmujący zapach stajenny, zmieszany z wonią włosów i sukien Barbary. Trochę niepewnie spytał po raz trzeci:

– Dlaczego?

Splatając poza sobą ręce, odparła łagodnie:

– Mój drogi, skądżeż ja mogę wiedzieć dlaczego?

Była zupełnie spokojna, przygotowana na jego uścisk, gdyby tylko się na to był odważył, lecz nie uczynił tego i usunął się znów pod ścianę. Przygryzając usta, patrzył na nią ponuro. Głaskała szyję konia. Jakaś tępa wściekłość wezbrała w jego sercu. Odrzuciła jego, Harbingera! Nie zdawał sobie wcale sprawy przedtem, jak strasznie jej pragnął. Czy mogła istnieć dla niego inna kobieta, dopóki to młode, spokojne, słodko uśmiechnięte stworzenie żyło, przyprawiało go o zawrót głowy, rozpalając zmysły i napełniając jego serce tęsknotą i pożądaniem? Zdawało mu się w tej chwili, że jest najnieszczęśliwszy z ludzi.

– Nie wyrzeknę się ciebie! – wyszeptał.

Odpowiedzią Barbary był uśmiech odrobinę litościwy, zabarwiony pewną ciekawością, a jednocześnie prawie-że wdzięczny.

Zdawał się mówić: „Dziękuję ci... Kiedyś... może... kto wie”... A potem, prędko wracając w kierunku domu, oddaleni od siebie o kilka kroków, rozmawiali o koniach.

Około południa Barbara wyjechała konno w towarzystwie Courtiera. Trzydniowa niepogoda ustąpiła teraz miejsca promiennej ciszy. Wystarczyło tylko żyć, by odczuć cudowny nastrój całej natury. Przy małym strumyku, biegnącym koło ugoru, pod kamienną figurą zatrzymali jeźdźcy swe konie, by usłyszeć rytm dnia i oddychać jego wonią. Daleki odgłos chóru życia tętniał najdelikatniejszym rytmem. Ani jeden z drobnych odgłosów strumyka, łagodnego powietrza, zwierząt, ludzi, ptaków i owadów nie wy bijał się zbyt ostro w tej symfonji tonów, płynącej ponad ziemią. Było południe – najcichszy moment dnia, lecz ten hymn zgody, wznoszony do słońca po jego długiej nieobecności, nie milkł ani na chwilę. Ziemia obleczona była w szatach woni, delikatnie tkaną z soków młodych paproci, z pączków wrzосу, z modrzewiu, brunatnego jałowca, dymu smolnych szczap i oddechu głogu. Tę podwójną osłonę ziemi, złożoną z woni i tonów, otaczała niebieska szarfa powietrza, bezkresna przestrzeń, wymierzona tylko skrzydłami swobody.

Nasyciwszy się dowolni oddechem dnia, ruszyli jeźdźcy w milczeniu, kierując się na sam wierzchołek wzgórza. Tutaj znów przystanęli i przyglądali się widokom, jakie się roztaczały przed nimi. Daleko, w stronie południowo-zachodniej

widniało morze, wyraźnie, jak na dłoni. Dwa niewielkie stada dzikich koni pasły się na zboczu wzgórz, zbliżając się powoli ku sobie.

– Oto chcę zasiąść tu i śpiewać, trzymając miłość mą w ramionach, i patrzeć, jak dwa nasze stada łączą się, a przed nami roztaczać będzie swe fale dalekie, boskie, modre morze...

A potem, po długim milczeniu, patrząc badawczo w oczy Barbary, dodał:

– Lady Barbaro, obawiam się, że jest to po raz ostatni, kiedy się znajdujemy sami razem. Korzystam z okazji, by złożyć pani mój hołd. Pozostanie pani zawsze moją gwiazdą przewodnią, którą będę wielbił, lecz promienie twe są zbyt jasne dla mnie. Będę cię wielbił zoddali, z twego siódmego nieba. Spójrz na mnie przyjaznymi oczami i nie zapominaj mnie.

Słuchając tej przemowy, złożonej tak dziwacznie z ironji i żarliwości, siedziała Barbara w milczeniu z płonąca twarzą.

– Tak, – rzekł Courtier – tylko nieśmiertelny może zdobyć boginię. Przed progiem potęgi uklękne i korzyć się będę trzy razy dziennie.

Lecz Barbara nie odpowiadała.

– Wczesnym rankiem – ciągnął dalej Courtier, – opuszczając mroczne i posępne siedliska wolności, spoglądać będę do świątyni możliwych i oczami wiary ujrzę cię. Przerwał, gdyż usta Barbary poruszyły się:

– Proszę, przestań pan. To boli...

Courtier pochylił się, ujął jej rękę i podniósł do ust.

– Pojedziemy teraz dalej...

Tego wieczora przy obiedzie lord Dennis, siedzący naprzeciw swej siostrzenicy, uderzony został jej urodą.

– Jaka ona piękna – pomyślał. – Najbardziej urocze, młode stworzenie.

Siedziała między Courtierem a Harbingerem i zawsze jeszcze bystre oczy starca pilnie badały obu mężczyzn.

Chociaż byli bardzo grzeczni dla swych sąsiadek po drugiej stronie, jednakże obaj kącikiem oka stale obserwowali Barbarę i siebie nawzajem. Te manewry nie uszły uwagi lorda Dennisa i uśmiech otoczył jego poważne usta, okolone białymi wąsami i szpiczastą bródką. Czekał, kierowany instynktem rybołówcy, który mu nakazywał nie zaniedbywać ani skrawka terenu. Popatrzył z kolei na Barbarę, cichą i zamyśloną, i czekał uważnie, co dalej będzie. Chociaż spokojnie jadła, oczy jej ukradkiem zwracały się w stronę Courtiera. Te szybkie spojrzenia zdawały się lordowi Dennisowi trochę niepewne, jakgdyby coś ją nurtowało.

Potem przemówił Harbinger. Zwróciła się do niego, by mu odpowiedzieć.

Twarzyczka jej była spokojna, lekko uśmiechnięta, o wyrazie trochę prowokującym i popędliwym. Lord Dennis przypomniał sobie własną młodość.

Jakżeż cudowną parę tworzyłaby Barbara z Harbingerem, gdyby się pobrali. W całej Anglii nie znalazłoby się chyba piękniejszej. Oczy staruszka powędrowały do Courtiera: Bardzo męski! Nazywano go niebezpiecznym! Zdawały się w nim nurtować szalone namiętności, umiejętnie maskowane! Być może, iż typ taki jest zajmujący dla młodej dziewczyny, lecz dla wskroś praktycznego i zrównoważonego umysłu lorda Dennisa, człowiek, podobny do Courtiera, był zawsze zagadką.

Zdawał mu się nawet sympatyczny nadobny, lecz nie ufał jego ironicznemu wyrazowi oczu i objawom zbytnej krewkości. Człowiek, bezwątpienia, przepojony ideami humanitarnymi. Dla lorda Dennisa ludzie tego pokroju byli zawsze dziwakami trochę

niezrozumiałymi. Nie odpowiadali jego dokładnemu poczuciu kształtu i formy. Zawsze szukali we wszystkim niesprawiedliwości i okrucieństwa. Zdawali się być prawdziwie zadowoleni, jeśli je znaleźli – rośli z uciechy, jeśli je gdzieś odkryli, a że zła wiele jest na świecie, nigdy prawie nie powracali do zupełnie normalnego wzrostu. Ludzie, żyjący dla idei, byli dla niego, któremu wstarażała tylko rzeczywistość bardzo irytującym objawem.

Lekkie poruszenie Barbary znowu zwróciło na nią uwagę staruszka.

Czy być może, żeby ta kobieta o uroczych włosach, boskich ramionach, była tą jego małą Barbarą, która towarzyszyła mu niegdyś w porannych przejażdżkach konnych? Jak djabelnie prędko upływał czas.

Oczy jej szukały czegoś. Idąc w kierunku jej wzroku, lord Dennis spostrzegł, że patrzy ona na Miltoun'a. Jakże różnili się ci dwoje! Oboje byli jednak bezwątpienia w wielkiej rozterce duchowej. Lord Dennis wiedział z doświadczenia, że takie rozterki, choć są udziałem młodości, pozostawiają czasem niezatarte piętno do późnego wieku. Dziwnym spojrzeniem obrzucała

Barbara brata. Zdawała się prosić go o radę i pomoc. Lord Dennis widział w swem życiu młodych, którzy, opuściwszy spokojne schronienie swobody, przestąpili dobrowolnie próg domu wielkiego Hazardu. Wielu wyciągnęło białą gałkę i życie ich opromieniło ciepło i blask, oczy wielu jednak zgasły poza ciemnymi kratami tego domu, gdyż wyciągnęli czarną gałkę niedoli. Myśl, że jego mała Barbara mogłaby przestąpić podwoje tego nieubłaganego siedliska, napełniła go bolesnym smutkiem, a widok tych dwóch mężczyzn, śledzących ją i czyhających na nią, jak myśliwi na zwierzynę, był mu wstrętny. Jakkolwiekby być miało, niech na miłość boską, nie zapędza się tak daleko, by mógł ją pochwycić ten podstarzały rudowłosy, który bezwątpienia posiada ideały, lecz brak mu

rodowodu. Niech pozostanie przy młodości i swojej sferze. Niech wyjdzie za tego młodzieńca, który wygląda, do djaska! jak grecki bóg, urodzony w nieodpowiednim czasie. Przypomniał sobie jej zdanie, wypowiedziane poprzedniego wieczora o tych dwu ludziach i różnicy życia, jakie prowadzą. Jakieś romantyczne mrzonki, któremi nabiła sobie głowę. Znow spojrzał na Courtiera. Typ Don Quichota, rodzaj zawad jaki. Bardzo to piękne, lecz nie dla jego małej Barbary. Nie była wcale podobna do słynnej Anity Garibaldi. Charakterystycznym dla lorda Dennisa, jak zresztą dla wielu innych ludzi, było, że cenił daleko więcej zmarłych bojowników wolności, niżeli żywych. Tak, Barbara będzie wymagała więcej, – lub też, być może, było to mniej – aniżeli życie we śnie, w cieniu gwiazd, przyświecających człowiekowi, którego kochała i sprawie, dla której człowiek ten walczył. Będzie żądała rozkoszy, przyjemności, wysiłku i czasem trochę władzy. Nie wystrczy jej echo sławy kobiety, która przecierpiała wiele, lecz będzie pragnęła stawy rzeczywistej, władzy piękności i autorytetu towarzyskiego.

Teraźniejsze jej urojenia nie były niczem innym, jak romantyzmem młodej dziewczyny. Czy dla przemijającego cienia warto poświęcić trwałą rzeczywistość? Bezwzględnie nie!

I znow oczy lorda Dennisa spojrzały bystro w twarz swej siostrzenicy. Co za uśmiech, co za oczy! Tak! Musi wyrosnąć z tych urojeń i pojąć tego greckiego boga, czy też umierającego galijczyka, czemkolwiek zresztą był ten młodzieniec.

## ROZDZIAŁ XXI

Courtier opuścił Monkland Court zrana, w dzień wyborów. Już od pewnego czasu odczuwał wyrzuty sumienia, gdyż kolano jego było zupełnie wyleczone i zdawał sobie sprawę, że jedynie tylko obecność Barbary zatrzymuje go jeszcze w Monkland. Atmosfera tego wielkiego domu z całą armją służby, uniemożliwiająca wykonanie samemu jakiejś czynności, uczucie beznadziejnego odcięcia od żywotnych i pożytecznych stron życia, wszystko to dokuczało mu ogromnie. Czuł szczerą litość dla tych ludzi, którzy zdawali się wieść egzystencję, przytłumioną doniosłością ich społecznego stanowiska. Nie było w tem ich winy. Rozumiał, że czynili wszystko, co było w ich mocy. Byli, naprawdę, wzorowymi okazami swego rodzaju, nie zniewieścieli ani rozpustni, jak się to często zdarza w tem zdegenerowanym i szalonym stuleciu. Starali się w swem zachowaniu o widoczną prostotę i te usiłowania podnosiły jeszcze w oczach Courtiera patetyczność ich życia. Los był dla nich zbyt łaskawy. Jakaż dusza ludzka mogła pozostać nieopętana i niespaczona we władzy przywilejów materialnych! Przed oczami Courtiera zdawała się rozgrywać jakaś subtelna, straszliwa tragedia, której główną bohaterką była ta dziewczyna, wywierająca na nim tak kolosalne wrażenie. Każdego wieczora, kiedy powracał do swego obszernego pokoju, gdzie wszystko było nieostentacyjnie a tak doskonale przygotowane dla jego wygody, myślał:

– Mój Boże, jutro już będzie po wszystkim!

Każdego ranka, kiedy spotykał ją przy śniadaniu, prześladowała go ta sama myśl i chwilami zastanawiał się: „Czy ja również podlegać zaczynam czarowi tej egzystencji? Czy ja też staję się słaby?”

Pojmował, teraz lepiej niż kiedykolwiek, że ta dziwna, sztuczna oschłość wśród arystokratów była tylko jakąś konserwującą substancją, w której kazał się im pogrążyć instynkt samozachowawczy, by nie dopuścić do zepsucia przedelikaconych tkanek. Zauważył nawet u Barbary jakiś rodzaj puklerza, zabezpieczającego przed wszelkiem wzruszeniem, brak zaufania emocji i

sentymentom, pogardę dla uczuć romantycznych, współczucia i tkliwości. I z dniem każdym rosła w nim chęć, by zerwać z niej tę osłonę i przekonać się, czy nie mógłby rozniecić w niej zarzewia, by ogarnął ją płomień miłości i ideału. Pomimo jej męczącego zrównoważenia, spostrzegł kilkakrotnie, iż czuje ona tę chęć, wzbierającą w nim i wtedy dostrzegał w niej jakby cień bezbronności, którą zdawała się go wabić.

A jednak tego wieczora, kiedy żegnał się z nią przed wyjazdem, nie mógł powiedzieć sobie szczerze, że rozkrzesał bodaj jedną iskrę w jej duszy. Bezwątpienia nie dała mu możliwości przekonania się o tem podczas tego pożegnania, stojąc spokojna i uśmiechnięta wśród innych kobiet, jakby zdecydowana nie dać już powtórnie okazji do ironicznego wyznania.

Następnego rana wstał bardzo wcześnie. Chciał wyjechać, nie widząc się z nikim. W samochodzie, oddanym na jego usługi, zastał małą istotkę, w holenderskiej sukience, wsuniętą w poduszki tak głęboko, że jej stopki w sandałach, wycelowane były wprost w plecy kierowcy. Była to mała Anna, która, w wiecznym poszukiwaniu czegoś zajmującego, odkryła z radością samochód, stojący przed domem. Jej cienki, prędko głosik uspakajał Courtiera tonem przyjaznym, lecz niezbyt poufałym.

- Pan odjeżdża? Mogę odprowadzić pana aż do bramy.
- To bardzo szczęśliwie się składa.
- Tak, czy to wszystko pański bagaż?
- Zdaje mi się, że tak.
- Ach, to naprawdę ogromnie dużo!
- Akurat tyle, na ile zasługuję.
- Naturalnie, nie zabiera pan ze sobą świnek morskich?
- Nie, z zasady nie zabieram.
- Ja zawsze biorę. Oto prababunia.

W istocie, niedaleko podjazdu stała lady Casterley, wydając wysokiemu ogrodnikowi polecenia, jak należy postępować ze starym dębem.

Courtier wysiadł i zbliżył się do niej, by się pożegnać. Powitała go z pewną ponurą uprzejmością.

- A więc wyjeżdża pan. Bardzo się z tego cieszę, choć domyśla się pan naturalnie, że osobiście bardzo lubię pana.

- Oczywiście.

Oczy jej zabłysły złośliwie.

- Mężczyźni tego rodzaju, co pan, są niebezpieczni. Mówiłam to już kiedyś panu. - Poczem z wielką powagą dodała: - Moja wnuczka poślubi lorda Harbingera. Wzmiankuje o tem dla pańskiego spokoju. Jest pan gentlemanem i pozostanie to między nami.

Courtier, pochylając się nad jej ręką, odparł:

- Będzie to dla niego wielkiem szczęściem. Mała staruszka przyglądała mu się bez zmruczenia powiek.

- Naturalnie, że będzie, panie. Dowidzenia. Courtier, uśmiechając się, uchylił kapelusza.

Twarz mu płonęła. Kiedy wsiadł zpowrotem do auta, odwrócił się raz jeszcze.

Lady Casterley znów była zajęta pouczeniem ogrodnika. Głosik małej Anny przerwał po chwili jego rozmyślanie:

- Mam nadzieję, że wróci pan jeszcze tutaj. Bo ja przyjadę tu pewnie na Boże Narodzenie i moi bracia będą wtedy także. To znaczy tylko Jack i Teddy, Krzysztof nie, gdyż jest za mały. Już muszę wsiąść. Dowidzenia panu. Hallo, Zuziu!

Courtier ujrzał, jak zeskoczyła z samochodu i zbliżyła się do małej, bladej córeczki odźwiernego. Samochód wjechał na drogę, biegnącą wśród pól.

Gdyby nawet lady Casterley uczyniła to wyznanie z premedytacją, czego w tym wypadku nie było, gdyż impuls dał jej dopiero widok uśmiechu Courtiera, nie mogłaby wymyśleć nic bardziej skutecznego. Była w duszy Courtiera głęboko zakorzeniona nieufność, przechodząca prawie w odrazę, nieufność człowieka bezdomnego, włóczęgi do tych wszystkich ludzi, zabezpieczonych i na stanowisku pewnym i trwałym,

jakimi są arystokraci i burżuazja. wszelki stosunek do Barbary, nie mający na celu małżeństwa, nie wchodził w rachubę u niego, gdyż, choć nie posiadał zmysłu konwencjonalnej moralności, nie zatracił był jednak szacunku dla siebie

samego. Potajemne usiłowania, by ubiec Harbingera nie przypadały również do gustu temu człowiekowi, który uważał się za równego innym i nie zniósłby małżeństwa, w którym odgrywałby rolę intruza.

Polecił szoferowi zboczyć na drogę, wiedącą do domku mrs. Noel. Nie mógł się pogodzić z myślą odjazdu bez słowa pociechy dla tej istoty w rozterce. wyszła do niego na werandę. Z uścisku jej dłoni, szczupłych i opalonych – dłoni kobiety, która nigdy nie pracowała, wyczuł Courtier, że Audrey wierzy, że ją rozumie i współczuje jej. A nic nie budziło w nim tak wzniosłych uczuć, jak taka niema prośba o pomoc. Powiedział łagodnie:

– Nie dawaj im poznać po sobie, że cię to złamało. – Ściskając silnie jej rękę, dodał: – Dlaczego masz się tak marnować? Przecież to grzech i wstyd... Urwał, gdyż zauważył, że odezwał się niezręcznie. Powiedział mu to wyraz jej twarzy, wymowniejszy niż jego słowa: on protestował ze stanowiska cywilizowanego człowieka, jej twarz była protestem natury, bezsłownym protestem piękna, marnowanego wbrew woli, piękna, które było stworzone przez życie do uścisku, dającego z kolei narodziny nowemu życiu.

– Ja odchodzę stąd, – rzekł. – Ani ty, ani ja nie jesteśmy stworzeni dla tych ludzi. Nie uznają oni wolności.

Uścisknąwszy rękę Courtiera weszła z powrotem do domku, pozostawiając go wpatrzonego w miejsce, gdzie przed chwilą widniała jej biała postać. Zawsze żywił dla Audrey Noel jakieś życzliwe, opiekuńcze uczucie, które mogłoby przejść w coś żywszego, gdyby znalazł zachętę i oddźwięk, lecz wobec tego, że zajmowała ona tak anormalne stanowisko, za nic na świecie nie zamąciłyby jej wiary w to, że może mu bezgranicznie ufać. A teraz, kiedy jego wzrok był skierowany gdzie indziej, a ją dotknęło to ciężkie strapienie, odczuwał za nią żal do całego świata, jak brat za swą siostrę, kiedy sprawiedliwość i litość zmówią się, by naigrawać się z nich. Głos kierowcy Frith'a wyrwał go z ponurej zadumy.

– Lady Barbara, panie.

Patrząc w kierunku, który mu wskazywał, Courtier ujrzał na tle horyzontu, na wzgórzu, ponad domkiem, zwanym „Szaleństwem Ashmana” sylwetkę kobiety na koniu. Kazał zatrzymać samochód i wysiadł. Spotkał ją przy ruinach, zasłoniętą niemi, jak parawanem, dzięki jakiemuś boskiemu przypadkowi, który przychodzi z pomocą człowiekowi wtedy, kiedy się sam o to postara. Nie mógł się zorientować, czy wie o tem, że podchodzi w jej kierunku i dałby wszystko, co posiadał, co zresztą było niewiele, by mógł dojrzeć poprzez sztywne, szare sukno jej okrycia delikatną biel jej ciała, dowiedzieć się, co się dzieje w tajemniczym wnętrzu jej serca. Gdyby mógł być w tej chwili tym Ashmanem, który zerwał ze światem i wszelkiem dobrem ziemskim i żył czystym życiem, gdzie niema przeszkód i barjer pomiędzy kobietą i mężczyzną. Uśmiech jej onieśmielał go. Uśmiech ten wykwitł na jej ustach, jak pierwszy kwiat, przebijający powłokę ziemską, by zadrwić z zimnych powiewów wiosny. Jakże można było zgłębić co oznacza! A jednak szczylił się przecież znajomością kobiet, z którymi w życiu tyle miał do czynienia. Mimo to, wszystko, co w tej chwili mógł powiedzieć, było:

– Rad jestem ogromnie z tego przypadku. –

Spojrzał na nią nagle i dostrzegł, że jest dziwnie blada i drży. –

– Zobaczymy się w Londynie, – powiedziała.

Dotknęła konia szpicrutą i, nie oglądając się poza siebie, odjechała.

Courtier powrócił do samochodu i, wsiadając, mruknął:

– Prędeż proszę, Frith.

## ROZDZIAŁ XXII

Kiedy Courtier przybył do Bucklandbury, akcja wyborcza wrzała już w całej pełni. Zainteresowany był jej rezultatem i podświadomie wierzył, że jakiś przypadek pozwoli mu ujrzeć raz jeszcze Barbarę. Udał się więc do hotelu, zdecydowawszy pozostać aż do czasu ogłoszenia wyniku wyborów. Pozostawił swój bagaż i, wyszedłszy na główną ulicę, obserwował nastrój dnia.

Jego, który znał cały świat prawie, nie ponosiły już skrzydła wiary w święte zadanie i posłannictwo polityki. Widział już zbyt wiele prawdziwie żywotnych barw, by mógł jeszcze szczególną wagę przywiązywać do mdłych i niepewnych odcieni żółtych i niebieskich. wzbudzały w nim raczej ochotę do zimnego i

krytycznego rozumowania. Dnia tego jednak nie mógł od nich uciec. Cały świat zdawał się być żółty i niebieski. Trzeci dominujący kolor, czerwony, który w równej mierze przyjęły obie przeciwne sobie partje, nie dawał również gwarancji, że jedna z nich oceni zalety drugiej. Zdawał się raczej symbolizować pragnienie widoku płynącej krwi przeciwników. Niebawem Courtier zaobserwował ze spojrzeń, zatrzymujących się na jego znudzonym i trochę sarkastycznym obliczu, że bardziej jeszcze niż ich antagoniści znienawidzony jest przez obie strony człowiek, który mierzy walkę krytycznym, obojętnym okiem. Z tą swoją djabelną bezstronnością, swoim zwyczajem przenikania do sedna rzeczy, by ujrzeć co tkwi w niej naprawdę, wyczuwał, iż uważają go za prawdziwego przeciwnika, za wiecznego wroga tych wszystkich drobnych, napuszonych „faktów”, które, przybrane niebiesko lub żółto, paradowały, wymyślając sobie, podbijając wzajemnie oczy i rozkrwawiając nosy. Te małe, poważne, zabawne kreatury, tak bardzo powierzchowne, nienawidziły krytycznego spojrzenia, które miało zwyczaj kierować się nie tylko przed siebie, lecz i sprawdzać nieraz, co się dzieje w głębi. Te zapamiętałe niebieskie i zapamiętałe żółte figurki małych, awanturniczych wojowników, noszących blaszane szabelki u boku i blaszane trąbki przy ustach, występowały w każdym oknie i na każdej ścianie i zapewniały każdego obywatela, że tylko oni i jedynie oni potrafią go godnie reprezentować w parlamencie. Nie mieli wielkich trudności z wyborcami, którzy, nie znosząc niepewności, szukali zapewnienia, że państwo zostanie natychmiast uratowane właśnie przez niebieskich albo żółtych, zależnie od ich poszczególnych sympatyj – z wyborcami, którzy mieli wiele powodów, by być stronnikami jednej partji lub drugiej: naprzykład dlatego, iż ich ojcowie byli już przed nimi tymi lub owymi stronnikami, że ich chleb był posmarowany masłem na niebiesko lub żółto, że pomyśleli nad tem i doszli do takiego, a nie innego wniosku, że znajdowali się po tej stronie podczas wyborów, że posiadali niewinną niebieską krew, lub naiwne żółte piwo w sobie, że ich lordowska mość była kandydatem, lub że podobały im się słowa „Chilcox for Bucklandbury” i, co najważniejsza, ten jedyny, godny pochwały powód, że – jak daleko mogli w danej chwili sięgnąć rozumem i uczuciem, – prawda była albo niebieska albo żółta.

Wąskie, ciasne uliczki przepełnione były wyborcami. Wysoki policjant, utrzymujący jakoby porządek, w istocie nie miał tu nic do powiedzenia. Pewność każdego, że właśnie jego partja wygra, wprawiała wszystkich w dobry humor. Jak dotychczas nie zachodziła potrzeba pobicia kogokolwiek, lecz mimo, że uważnie baczili, czy nie zauważą gdzie obojętnego spojrzenia, poza Courtierem, dostrzec je mogli jedynie w wózkach dziecięcych i u staruszka, który przejeżdżał właśnie na rowerze i zatrzymał się, by zapytać policjanta, co się właściwie dzieje. Obojętnie zachowywali się także dwaj malcy, których czynność polegała na rozłożeniu czapek, wypełnionych żółtymi i niebieskimi kartkami. Courtier przyglądał się wszystkiemu sceptycznie, jednakże mile uderzała go gorliwość, z jaką odnosili się ludzie do całej ceremonji. Zdawało się, że oddają się temu z przejęciem i prawdziwym upodobaniem. Oczekiwali na wybory już długie miesiące i długo jeszcze potem będzie to dla nich tematem rozmów. Był to dla nich jakiś wprost religijny ceremonjał, skupiający najwznioślejsze uczucia. I to wszystko zdawało się Courtierowi, który sam był przecież człowiekiem czynu, zupełnie oczywiście, być może trochę patetyczne, lecz bezwątpienia niezasługujące na wzgardę.

Przed samym wieczorem ukazał się na głównej ulicy długi szereg „sandwichmanów”, obnoszących wielkie plakaty, na których wypisane były pięknymi granatowymi literami na blade-niebieskim tle słowa:

NOWE GROŻNE KOMPLIKACJE!  
NIEBEZPIECZEŃSTWO NIE MINĘŁO JESZCZE!  
GŁOSUJCIE NA MILTOUN'A I RZĄD!  
Ratujcie ojczyznę!

Courtier przystanął, by przeczytać ogłoszenia. Ogarnęło go oburzenie. Nietylko bowiem te plakaty i napisy godziły w jego ukochaną ideę pokoju, lecz widział w nich jeszcze wiele cech, które były mu wstrętne. Były dla niego jakby symbolem całej lichoty i tandety życia narodowego, epitafjum na grobie wszelkiej szlachetności, czemś niewymownie smutnem. Jednakże z punktu widzenia partji

walczącej nic nie mogło być bardziej naturalnego. Czyż nie było rzeczą najważniejszą, by wszystkie zmysły niebieskiej partji wysiłały się na to, aby jeszcze przed nocą żółta partja zzieleniała bodaj ze złości? Czyż nie było najoczywistszą prawdą zresztą, że państwo może być uratowane tylko, przez głosowanie na niebieską listę? Czyż mogli wreszcie powstrzymać się od wydrukowania słów: „Nowe groźne komplikacje!” Było to zupełnie zgodne z prawdą. Sam zresztą czytał o tem rano w pismach. Tak samo przecież nie powstrzymywali się żółci od wydrukowania w swej gazecie: „Nocna przygoda lorda Miltoun'a". Jedyńm ich celem była wygrana i to uświęcało wszystkie środki. wszak i partja żółtych nie używała prawomyślnych sposobów w swej walce, a najmiej prawomyślną ich taktyką było oskarżenie niebieskich, że walczą nikczemnymi środkami – oskarżenie, zakrawające na śmieszność. Gdzie była prawda? To, co pomagało światu, by się stał niebieskim, było jawną prawdą, – to, co przeszkadzało – nie było nią. Kompromis nie istniał wogóle. Człowiek, który nie widział świata z punktu widzenia któregośkolwiek z tych kolorów, był kretyńm i nie mógł być dobrym obywatelem.

O tem wszystkim wiedział Courtier, jednakże reklamy wydawały mu się wstrętne. Nie mógł się powstrzymać od uderzenia laską w jeden z plakatów. Silny odgłos spłoszył małego kuca rzeźnika, stojącego przy trotuarze. Poniósł, pociągając za sobą Courtiera, który chciał go wstrzymać i zdążył uchwycić zwisające lejce. Jakiś pies przebiegł wpoprzek drogi. Courtier potknął się i upadł. Kuc, chcąc się oswobodzić wierzgnął i uderzył go kopytem w głowę. Przez chwilę Courtier leżał nieprzytomny. Kiedy go ocucono, odrzucił dalszą pomoc i sam udał się do hotelu. Był bardzo odurzony, obwiązał ranę na głowie i położył się na łóżku. Miltoun, wracający z wystąpień publicznych, które są głównem urozmaiceniem akcji wyborczej, znalazł czas, by wstąpić do niego.

– Te ostatnie plakaty pańskie... – rozpoczął Courtier natychmiast.

– Kazałem je wycofać.

Podstęp udał się. Winszuję, teraz na pewno pan wygra.

– Zrobiono to bez mojej wiedzy.

– Mój drogi przyjacielu, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że jest inaczej.

– Słuchaj, Courtier. Jeśli pustynia dzieli człowieka od świętego miejsca, nie zawraca on ze swej pielgrzymki dlatego tylko, że wypada mu po drodze myć się w mętnej wodzie. Ten motłoch!... Boże, jak ja ich nienawidzę!

Była taka siła nienawiści w jego głosie, że zdumiała nawet Courtiera, choć przecież i jego życie upływało wiecznie na utarczkach i konfliktach z motłochem.

– Nienawidzę ich niskich, nikczemnych głupstw! Nienawidzę dźwięku ich głosów, wyrazu ich twarzy. Takie to brzydkie, małe... Przechodzę piekielne męki na myśl, że dopnę celu dzięki głosom tych ludzi. To grzech posługiwać się temi kreaturami, a ja ten grzech popełniam.

Courtier nie odpowiadał początkowo na ten dziwny wybuch młodzieńca.

– Pracował pan za dużo – rzekł wkońcu. – Jesteś przemęczony i podrażniony.

Pomimo wszystko „motłoch” ten składa się z takich samych ludzi, jak pan i ja.

– Nie, ten motłoch nie składa się z takich samych ludzi, jak my. Gdyby tak było, nie stanowiliby motłochu.

– Zdaje mi się, – rzekł Courtier poważnie – że nie powinien pan mieć nic wspólnego z pańskim przyszłym zawodem. Ja sam zawsze możliwie unikałem go.

– Pan idzie za głosem swego uczucia. Ja nie jestem w tak szczęśliwym położeniu. – To mówiąc, zwrócił się Miltoun ku drzwiom.

Courtier ciągnął dalej surowo:

– Porzuć politykę, o ile w ten sposób rozumu jesz. Nie marnuj życia w imię czegoś – cokolwiekby to było. Nie marnuj swego ani jej życia.

Lecz Miltoun nie odpowiedział.

Była cudowna, cicha noc, kiedy kilka minut przed dwunastą Courtier, z głową obandażowaną pod kapeluszem, udał się do gmachu szkoły, aby dowiedzieć się o wyniku wyborów. Jakiś odgłos, niby oddech olbrzyma wiódł go aż do miejsca, gdzie, wychodząc z wąskiej, spadzistej uliczki, ujrzał rynek, pokryty falującym tłumem, jak wielkim, ciemnym dywanem, usianym plamami światła lamp. Wysoko, na niewielkiej szpiczastej wieży szkolnej, jasno oświetlona twarz zegara górowała ponad tłumem. A nad temi namiętnymi dążeniami i nadzieją tysiąca serc, ściśniętych niepewnością, roztaczało się niebo. Żadna chmurka nie błąkała się pomiędzy ziemią a szafirową, bezkresną przestrzenią.

Courtierowi, zstępującemu powoli w kierunku skweru, zdawały się te blade twarze, zwrócone wszystkie w jedną stronę, kielichami olbrzymich, dzikich kwiatów na ciemnym polu, poruszanymi chłodnym wiatrem. Noc rozproszyła swym czarem wszelkie żółte i niebieskie różnice i napełniła ten tłum jednakim duchem wzruszenia i emocji. Courtier pojął całą piękność i znaczenie tego obrazu – drgających mocy, których wieczysty przypływ, miarkowany zmysłem równowagi, jest duszą świata. Tysiące serc, które zatraciły wszelką myśl o sobie w jednym, wspólnym, przeogromnym podnieceniu.

Staruszek, o długiej siwej brodzie, stojący tuż koło niego, wyszeptał:

– Mój Boże, cóż za wyczekiwanie, ale nie zamieniłbym tego na nic w świecie.

– Wspaniała rzecz, ech? – zapytał Courtier.

– Ho, ho – odparł staruszek. – Nie widziałem nic podobnego od pamiętnego roku czterdziestego ósmego. Oto są tam – arystokraci!

Patrząc w kierunku jego kościstej dłoni, ujrzał Courtier lorda i lady Valleys, stojących obok siebie

na balkonie i spoglądających bystro w tłum. również, oparta o parapet okna stała Barbara, mówiąc do kogoś, wychylającego się z poza niej. Staruszek mruczał coś jeszcze i Courtier ujrzał, że oczy jego napełniły się nagle blaskiem, cała twarz nabrała zdecydowanie wrogiego wyrazu. Uczuła sympatię dla tego starca, wzruszonego do głębi duszy. Wtem ujrzał, że Barbara patrzy na niego, trzymając rękę przy skroni, jakby chciała mu pokazać, że widzi jego bandaże. Miał tyle przytomności umysłu, że nie uchylił kapelusza. Starzec u jego boku przemówił znowu:

– Pan nie może pamiętać czterdziestego ósmego roku. Za młody pan jeszcze. Wtedy był duch w narodzie! Życie gotowi byli oddać za sprawę. Ja mam osiemdziesiąt cztery lata – podniósł rękę do piersi, – lecz ten duch żyje jeszcze tutaj. Boże, spraw, by partja radykałów zwyciężyła!

Powiał od niego jakiś zapach, jakby ziemniaków.

Daleko, na samych krańcach tego wielkiego tłumy, pojedyncze głosy zaintonowały pieśń: „Nad brzegami rzeki Swanii”. Tony płynęły, milkły, podniosły się raz jeszcze i ucichły zupełnie, poczem, w samym środku ciszy, jakiś potężny baryton zaintonował inną pieśń: „Nie zapominajmy starych przyjaciół...” Pieśń ta brzmiała coraz mocniej, aż wreszcie wszystkie głosy śpiewały ją, od cienkiego dyszkantu do chwiejnego basu starego chartrysty. Tu i tam tłum poruszał się, wtórując sobie poruszaniem złączonych rąk. Courtier poczuł, iż dłoń jego obejmują z prawej strony miękkie palce jakiejś kobiety, z lewej sucha, starcza ręka. Śpiewał głośno razem z nimi. Poważna, bezdzwięczna melodia podnosiła się pod niebiosy, roztaczała szeroko i gubiła wśród wierzchołków wzgórz. Kiedy zmilknęła, ten sam potężny baryton zaintonował z kolei hymn narodowy: „Boże, zbaw króla”. Tłum cały nagle jakby urósł o kilka stóp w górę, a pod baldachimem wzniesionych kapeluszy rozbrzmiewał potężny chór.

– To – pomyślał Courtier – jest dla nich świętością i religją.

Śpiewano nawet na balkonie. W świetle lampy dojrzał Courtier usta lorda Valleys nawpół otwarte, jakby głos jego wstydził się trochę, że rozlega się w chórze innych, oraz Barbarę, opartą o framugę i śpiewającą z całej duszy. Ani jedno usta w całym tłumie nie milczały. Było to, jakgdyby dusza narodu angielskiego wyzwała się z więzów powściągliwości na skrzydłach pieśni. Lecz nagle, jak raniony ptak, opuszczający skrzydła, melodia opadała stopniowo aż przypadła do ziemi. Pod kręgiem zegara ukazała się szczupła, ciemna postać, poza nią pojawiło się kilka innych postaci. Courtier ujrzał Miltoun'a. Jakiś daleki głos zakrzyknął: „Niech żyje Chilcox!” Potężne: „Cicho tam!” zgłuszyło go. Potem nastąpiła taka cisza, że słyhać było turkot lokomotywy, odległej o milę może. Ciemna postać postąpiła naprzód, w rękę trzymała niewielki skrawek papieru, który bielił się na tle ubrania.

– Panie i panowie! Rezultat głosowania jest następujący: Miltoun – 4.898, Chilcox – 4.802.

Cisza prysła nagle w tysiące głosów. Wśród wrzawy, okrzyków przyjaznych i wrogich, Courtier przedostawał się w kierunku balkonu. Ujrzał lorda Valleys, pochylającego się z uśmiechem na ustach, lady Valleys, ocierającą ręką oczy i Barbarę, stojącą z dłonią w dłoni Harbingera i patrzącą wprost na niego. Przystanął. Stary trzymał się wciąż jego boku, wielkie łzy kapały mu po twarzy na siwą brodę. Courtier ujrzał Miltoun'a, jak wysunął się naprzód i stał bez uśmiechu, śmiertelnie blade.



## CZĘŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ I

O godzinie trzeciej po południu, dziewiętnastego lipca mała Anna Shropton wchodziła mozolnie po głównych schodach Valleys-House w Londynie. Wspinała się powoli w samym środku – małutka, biała kropeczka na szerokich, lśniących stopniach. Idąc, liczyła je głośno. Liczba stopni wypadała jej codzień inaczej, było to więc czemś ogromnie zajmującym dla niej, dla której wszelka nowość była solą życia.

Doszedłszy do miejsca, w którym schody rozchodziły się, przystanęła. Zaczęła się zastanawiać, przez które z dwóch skrzydeł przechodziła ostatnio, a nie mogąc sobie tej ważnej rzeczy przypomnieć, przysiadła. Szła z ważnym poleceniem. Polecenie to było jeszcze zupełnie świeże, kiedy ruszyła w drogę, lecz teraz stało się już stosunkowo przebrzmiałe i wkrótce mogło przestać być aktualne i ciekawe, wobec tego, że w perspektywie miała Anna plan przejścia całej długiej galerji z obrazami. Teraz właśnie, kiedy siedziała, rozważając ten plan, promienie słońca, wpadające przez wielkie okno, oblekły jasnym blaskiem szerokie, lśniące stopnie z drzewa i marmuru, które przed chwilą przebyła. Mała Anna z natury nie odnosiła się przyjaźnie do wszystkich nadprzyrodzonych i fantastycznych zdarzeń, znajdowała, że są zbyt mało namacalne, brakło im dostatecznej realności. I ten blask prawie niezemski w swej wędrującej glorii, który przeszedł nad jej małą główką i muskał teraz kolumny hallu, nie pobudził w niej żadnej fantazji, ani sentymentu. Zamiar zbadania, co właściwie znajduje się na końcu galerji, całkowicie absorbował jej bystry, nawszkroś praktyczny umysł. Zdecydowała się wreszcie przejść lewym skrzydłem schodów i po chwili przestąpiła próg niesłychanie długiej, wąskiej i, z powodu zapuszczonych sztor, prawie ciemnej komnaty.

Małutka stąpała ostrożnie, gdyż posadzka była bardzo śliska. Na twarzyczce jej malował się wyraz powagi, w części zawdzięczanej panującym ciemnościom, a w części widokowi ponurych obrazów. W mrocznym oświetleniu zdawali się istotnie groźni ci starzy Caradoc'owie. Szerniały, uzbrojone postacie spoglądały groźnie z płomienną, ponurą chciwością na małą, białą figurkę swojej pra-pra-wnuczki. Lecz mała Anna wiedziała przecież, że są to tylko obrazy, podążała więc swoją drogą pewnie, tu i ówdzie tylko przed portretem, który wydawał się jej brzydszy od innych, marszczyła swój wydatny nosek. Przy końcu galerji ukazały się drzwi. Otworzyła je i wyszła do przedsionka. Znajdowały się tu schody w jednym ro-|u, oraz dwoje drzwi. Byłoby bardzo wskazaniem wejść na te schody, lecz również niemniej wskazaniem było otworzyć drzwi. Podeszła i z pewnem drżeniem nacisnęła klamkę najbliższych drzwi. Okazał się jeden z tych pokoików, koniecznych w każdym domu, których nie obdarzała wielką sympatją. Zamknęła drzwi z trzaskiem i otworzyła następne. Znalazła się w pokoju, niepodobnym zupełnie do dolnych, wysokich i pięknie umeblowanych. Przypominał raczej jej pokój szkolny, niewysoki, zastawiony skórzanymi fotelami i zapełniony książkami. Z głębi pokoju, której nie mogła dojrzeć, dobiegł ją odgłos jakby pocałunku i natychmiast, wiedziona instynktem, chciała zawrócić. W tej samej chwili z ust wyrwało jej się słowo: „Hallo!” i ujrzała babkę i dziadka, stojących przy kominku. Nie była zupełnie pewna, czy radzi są z jej widoku. Postąpiła naprzód i natychmiast rozpoczęła:

- Ach, to tutaj przebywasz najczęściej, dziaduniu.
- Tutaj.
- Tu jest bardzo ładnie, nieprawdaż babuniu? Dokąd wiodą te kamienne schody?
- Na szczyt wieży, Anno.
- Ach, idę właśnie z pewnem poleceniem, więc muszę już odejść.
- Bardzo nam przykro, że nas już opuszczasz.
- Hm, co robić – Dowidzenia,

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, lord i lady Valleys spojrzeli na siebie z niepewnym uśmiechem. Lord Valleys, przyzwyczajony chronić się do tego spokojnego, zacisznego pokoju, w którym nie był, jak w swoim biurze, narażony na ciągłe ataki sekretarzy, przyszedł tu dzisiaj po lunch'u, by wypalić cygaro i roztrząsać w spokoju pewne, dość przykre zagadnienie. Sprawa tyczyła się jego dóbr Pendridny w Cornwall i już długo absorbowała jego i jego agentów, aż teraz nastąpił czas ostatecznej decyzji. Zagadnienie tyczyło dwóch niewielkich

osad, leżących na północ od Pendridny, których mieszkańcy zatrudnieni byli w wielkiej kamieniołomni. Przedsiębiorstwo to jednak wykazywało od pewnego czasu deficyt.

Lord Valleys był dobrym człowiekiem i niechętnie odnosił się do wszelkich zamierzeń, które mogły zaszkodzić jego poddanym, tembardziej w wypadkach, kiedy między nim a nimi nie zachodziło żadne nieporozumienie ani różnica zdań. Lecz tym razem w ostatecznej swej formie sprawa przedstawiała się następująco: niezależnie od wspomnianego przedsiębiorstwa, dochody z dóbr Pendridny nie tylko były wystarczające na utrzymanie samego Pendridny, lecz jeszcze stanowiły poważny zasiłek w budżecie Val-leys-House, oraz stajen wyścigowych w New-Market.

Teraz, gdyby kamieniołomnia była jeszcze czynna, wystarczyłoby za ledwie na utrzymanie Pendridny, oraz na emeryturę dla zasłużonych pracowników, – o innych dochodach mowy już być nie mogło.

Siedząc więc tego popołudnia i paląc fajkę, hrabia na Valleys zdecydował, że nie pozostaje mu nic innego, jak zlikwidować przedsiębiorstwo. Decyzja ta nie przyszła mu z łatwością. I tu trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż świadomość wywołania protestu w prasie dodawała mu raczej bodźca niż odstraszała od powzięcia postanowienia. Miał wrazenie, że ktoś mu dyktuje zgóry co ma czynić, a nie nosił żadnych rozkazów. Wiedział, że jest zmuszony pozbawić utrzymania tych biednych ludzi i myśl ta była dla niego dużo przykrzejsza niż dla tych, którzy będą głośno protestować. Jego sumienie było czyste i przyszłą wrzawę mógł uważać za zwykłą partyjną zaczepkę. Bardzo sumiennie zbadał całą sprawę i doszedł w końcu do następującego wniosku: jeżeli pozostawi w ruchu to przedsiębiorstwo, stanie w istocie na gruncie zasad pauperyzacji, gdyż dotychczas dobra jego prowadzone były w ten sposób, by dochody z każdego z nich dawały możliwość utrzymania domu, gruntów, terenów polowania, oraz opłacały utrzymanie pałacu londyńskiego i stajen wyścigowych. Prowadzenie przedsiębiorstwa, które nie opłaca się w ogólnym budżecie, oznacza wspieranie i tem samem, pauperyzowanie jednych poddanych kosztem innych, – jest fałszywym pojmowaniem gospodarowania i wkracza w dziedzinę doktryn socjalistycznych. Następnie, jeśli będzie tak nadal konsekwentnie postępował, doprowadzić to może do ruiny, a zgoda na to, niezależnie od jakichkolwiek interesów osobistych, będzie dowodem, iż nie uznaje, że przez zalety odziedziczonych tradycji i wychowania, jest najdoskonalszą maszyną, którą jedynie państwo skłonić może do pracy nad dobrem narodu...

Kiedy doszedł do tego punktu swych rozważań, jego rozum, lub raczej jakaś wewnętrzna część jego istoty, poruszyła się i zaprotestowała...

– ... a to jest absurdem.

Rozumowanie nieosobiste było w modzie i w zasadzie lord Valleys stosował się do tego. Były jednakże granice, kiedy możliwość takiego rozumowania kończyła się z obawy oszukania siebie samego, swego stanowiska i ojczyzny. A na argument, który wolał sam sobie postawić, niż pozwolić, by mu go inni podsunęli, mianowicie, że nie było sprawiedliwości w tem, by człowiek mógł jednym pociągnięciem pióra decydować o życiu setek, których zmysły i uczucia były mu współrzędne, odpowiedział sobie:

– Jeśli ja tego nie uczynię, uczyni to ktoś inny, jakiś plutokrata, towarzystwo akcyjne, lub – co gorsza jeszcze, – państwo.

Uważał wszelkie kooperatywy za obce duchowi kraju, to też nie widział innego wyjścia. Fakty pozostawały faktami i nic nie można było na to poradzić.

Niezależnie od rozważań, konieczność tego postanowienia była mu przykra, gdyż pomimo, że nie posiadał zmysłu współmierności, był jednakże ludzki.

Wciąż jeszcze palił fajkę i wpatrywał się uparcie w arkusik papieru, pokryty cyframi, gdy żona jego weszła do pokoju. Choć przyszła tu, by zasięgnąć jego rady w zupełnie innej sprawie, natychmiast zauważyła, że jest zakłopotany, spytała więc

– Co się stało, Geoffrey'u?

Lord Valleys powstał, podszedł do kominka, wytrząsnął uważnie popiół z fajki, następnie podał żonie arkusz papieru i rzekł:

– To sprawa kamieniołomni. Nie mogę nic poradzić, trzeba będzie ją zamknąć.

Na twarzy lady Valleys pojawił się wyraz troski.

– Ach, nie rób tego. Przecież to znaczy pograżyć w niedolę setki ludzi.

Lord Valleys przyglądał się uważnie paznokciom.

– A jednak tamuje mi to cały normalny bieg gospodarki, – powiedział.  
– Wiem o tem, lecz jak będziemy mogli spojrzeć w oczy tym ludziom? Nigdy nie będę miała odwagi tam się udać. Większość z nich ma przecież liczne rodziny. Widząc, że lord Valleys nadal uparcie wpatruje się w swe paznokcie poważnym, zastanowienia pełnym, wrokiem, ciągnęła dalej:  
– Wolałabym uczynić jakieś poświęcenie. Wypuścić choćby Pendridny w dzierżawę, niż pozostawić tych wszystkich ludzi bez pracy. Przypuszczam, że znalazłby się dzierżawca.  
– Wyzierżawić? Najlepszą bazanciarnię świata? Lady Valleys, idąc za biegiem swych myśli, mówiła dalej:  
– Zczasem mogliby ci ludzie znaleźć inne zajęcie. Czy radziłeś się już Miltoun'a?  
– Nie, – odparł krótko lord Valleys – i nie mam wcale zamiaru. Jest zbyt niepraktyczny.  
– Zdaje się zawsze wiedzieć bardzo dokładnie, czego chce.  
– Mówię ci – powtórzył lord Valleys, – że rady Miltoun'a nie nadają się w podobnych kwestjach. Zarówno on, jak jego przekonania sięgają średniowiecza. Lady Valleys podeszła bliżej i ujęła męża za wyłogi marynarki.  
– Geoffrey'u, proszę cię, zrób to dla mnie. Załatw tę sprawę inaczej. Lord Valleys zmarszczył brwi. Przyglądał jej się przez chwilę, wkońcu odpowiedział:  
– Hm, dla ciebie – pozostawię chyba w zawieszeniu całą tę sprawę jeszcze przez jeden rok.  
– Czy przypuszczasz, że to będzie lepsze, niż wydzierżawienie ?  
– Cierpię na myśl, że jakiś intruz tam się dostanie. Jeszcze będzie zawsze czas na to, jeśli okoliczności przyprą nas do muru. Uważaj takie załatwienie sprawy, jako mój podarunek gwiazdkowy.  
Lady Valleys, trochę zarumieniona, pochyliła się i pocałowała męża. Stało się to właśnie w tej samej chwili, kiedy mała Anna weszła do pokoju. Po jej wyjściu małżonkowie zamienili powątpiewający uśmiech i lady Valleys powiedziała:  
– Przyszłam właściwie w tym celu, żeby pomówić z tobą o Barbarze. Od czasu jak przyjechalśmy tutaj, nie wiem właściwie co o niej sądzić. Zachowuje się tak dziwnie obojętnie w stosunku do wszystkiego.  
Lord Valleys odparł kwaśno:  
– To zapewne upał – lub może jest zaabsorbowana Harbingerem.  
Pomimo, że jego stosunek ojcowski do dzieci był dość obojętny, niemiła mu była myśl, że może tak prędko utracić swoją najukochańszą córkę.  
– O, – powiedziała lady Valleys powoli – nie jestem tego wcale pewna.  
– Co przez to rozumiesz?  
– Jest coś dziwnego w całym jej zachowaniu. Nie jestem pewna, czy nie obdarza jakimś uczuciem tego Courtiera.  
– Co takiego?! – zapytał lord Valleys, czerwieniąc się gwałtownie.  
– To, co słyszysz.  
– To być nie może, Gertrudo. Już chyba sprawa Miltoun'a wystarczy nam na jeden rok.  
– Nawet na dwadzieścia – mruknęła lady Val-ley, – Obserwuję ją uważnie. Zresztą mówią, że wyjeżdża do Persji.  
– I już tam pozostanie do śmierci! – zawołał lord Valleys. – Doprawdy, tego już za wiele. Mam wrażenie, żeście wszyscy powarjowali.  
Lady Valleys uniosła brwi. Rzeczywiście, mężczyźni dziwnie przyjmowali tego rodzaju rzeczy, bardzo dziwnie, przytem trudno było liczyć na ich pomoc.  
– Teraz – rzekła – idę na moje zebranie. Zabiorę Barbarę ze sobą, może mi się uda coś z niej wydostać.  
Było to inauguracyjne posiedzenie ligi przeciwdziałania wyludnieniu, na którym przyrzekła prezydować. Od początku zapaliła się do tej idei, odpowiadającej jej bujnej, szerokiej naturze. Figurowanie w wielu instytucjach, którym nie mogła odmówić swego poparcia i nazwiska, nie sprawiało jej dużej satysfakcji i było, doprawdy, objawem bardzo pochlebnym, że mogła teraz odnosić się do niewielkiego zakresu swej społecznej pracy z pewną dozą entuzjazmu. Nie można było powiedzieć, by w swem życiu prywatnym, pośród przyjaciółek odnosiła się do kwestji licznego potomstwa z jakąś niezachwianą stałością, w żadnym razie nie głosiła zasad dogmatycznych, dotyczących obowiązku każdej małżonki obdarzania swego męża liczną rodziną. Patrzyła na tę sprawę z punktu widzenia

dobra państwa i absolutnie bez bigoterji: liczne, zdrowe rodziny w zasadzie – z wyjątkiem poszczególnych wypadków. Zasadniczą ideą jej zapatrywań była ekspansja narodowa, jej motto brzmiało – i pragnęła również, by stało się to mottem ligi: – „De l'audace et encore de l'audace”. Było to zagadnienie całej przyszłości narodu. Miała szczerą i cokolwiek wzruszającą wiarę w to hasło, bez względu na to, co pod niem się kryć miało. To był jej idealizm.

– Możecie mówić, co wam się podoba o tem, – zwykła była głosić, – że życie narodowe musi być kierowane zgodnie z socjalnem prawodawstwem. Co obchodzi społeczeństwo prawo socjalne. Tu w grę wchodzi rzeczy, zakrojone na szerszą miarę – kwestja uczucia. Musimy się ekspansować.

W drodze na posiedzenie, lady Valleys, zajęta w myślach przygotowaniem mowy wstępnej, nie próbowała wciągnąć Barbary do rozmowy. Z tem musi jeszcze poczekać. Młoda dziewczyna, mimo że blada i znużona, wyglądała tak uroczo, iż było prawdziwą radością mieć ją u swego boku, walcząc o tak wzniosłe cele. W małym, ciemnym pokoiku, poza salą posiedzeń, znajdował się już cały komitet, w pełnym składzie. Udano się więc natychmiast na trybunę.

## ROZDZIAŁ II

Barbara zajęła miejsce na trybunie, zatopiona w ponurych myślach, nie zwracając zupełnie uwagi na natarczywe spojrzenia audytorjum. Przez trzy tygodnie, które upłynęły od czasu wyborów, była tak dalece zaabsorbowana rozmaitemi czynnościami, że nie miała czasu ani energii zastanowić się nad swojemi sprawami. Harbinger, od czasu tego poranka w stajni, zdawał się żyć wyłącznie poto, aby znajdować się blisko niej. Świadomość jego silnego uczucia napełniała ją drażniącą radością. Jeździła z nim konno, tańczyła i chwilami omal że nie błogosławiła tego stanu rzeczy. Od czasu do czasu czuła – podobnie jak wtedy, kiedy to siedziała na rozgrzanym słońcem kamieniu ugornym – jakieś dziwne niezadowolenie, jakąś tęsknotę za czemś, znajdującem się poza ramami tego świata, gdzie musiała wyobrażać sobie cierpienie głodu i szarość powszedniości, aby móc wogóle poważnie się zastanowić nad życiem.

Z Courtierem widziała się trzy razy. Raz, gdy przyszedł do nich na obiad na skutek zaproszenia, które wystosowała do niego lady Valleys z tem jej właściwem uroczem wyrafinowaniem stylu, używanem zawsze, gdy zwracała się do ludzi niższych sferą, lecz równych jej inteligencją; po raz drugi – na zabawie ogrodowej w pałacu Valleys i następnego dnia, gdyż powiedziała mu o której godzinie zwykle wyjeżdża konno. Spotkała go w parku, nie na koniu, lecz stojącego koło barjery w miejscu, którą musiała przejechać. Stał z sobie tylko właściwym wyrazem twarzy, napoły uniżony, napoły ironiczny i pewny siebie. Powiedział jej, że opuszcza Anglję, a na jej zapytanie, dokąd jedzie i poco, wzruszył tylko ramionami.

Siedząc teraz na tem zakurzonem podniesieniu, w dusznej sali, przyglądała się tłumowi, znajdującemu się naprzeciw niej i słuchała przemówień, – zbyt leniwa i zajęta sobą, by rozumieć ich sens i znaczenie. Mieszanina zdań, słów, twarzy wokół niej, dźwięk głosu mówcy, wszystko to tworzyło jakiś koszmarny, wśród którego rozeznawała dokładnie tylko linję karku swej matki pod wielkim czarnym kapeluszem i wyraz twarzy jednego z komitetowych panów, który ogryzał paznokcie pod osłoną niebieskiego arkusza papieru, na którym miał notować. Zdawała sobie sprawę, że ktoś z pośród publiczności przemawia, rzucając jakby przed siebie ostre, małe wiązki słów. Ujrzała mówcę. Był to człowiek ubrany czarno, poruszający się rytmicznie w takt swych słów, „Uważam, że jest okropnością... – usłyszała, jak mówił – bluźnierstwem, że chcemy się mieszać do takich spraw i staramy się forsować największą, najpotężniejszą siłę, jaka porusza świat. Jest to dla mnie czemś strasznem. Nie jestem w stanie przysłuchiwać się temu”. Ujrzała, jak usiadł i zobaczyła matkę swą, wstającą, by mu odpowiedzieć.

– Winniśmy wszyscy odnosić się przyjaźnie do szczerych uczuć i intencji szanownego przedmówcy, lecz musimy postawić sobie pytanie: Czy mamy prawo pozwolić sobie na luksus osobistych naszych zapatrywań w obliczu zagadnienia, które dotyczy ogólnonarodowej wydajności i siły? Nie możemy ulegać sentymentom. Mój przedmówca mówił, – niech mi wybaczy, że się tak wyrażę, – raczej jak poeta, aniżeli reformator społeczny. Obawiam się, że jeżeli zagłębiać się będziemy w marzenia poetyckie, wzrost liczby urodzeń pozostanie również tylko marzeniem, a do tego nie wolno nam dopuścić. wniosek, który

właśnie chciałam przedstawić, kiedy szanowny mój przedmówca – – –  
Uwaga Barbary znów wróciła do jej własnych spraw i kłopotów, skąd wyrwał ją przedtem tak nagle mały, czarno ubrany człowieczek. Zorientowała się wreszcie, że posiedzenie dobiegło końca i usłyszała słowa matki:

– A teraz, moja droga, musimy udać się do szpitala. Dziś przypada nasz dyżur, pozostaje jeszcze dość czasu.

Kiedy znalazły się w samochodzie, oparła się o poduszki i siedziała milcząca, obserwując ruch uliczny. Lady Valleys przyglądała jej się z ukosa.

– Cóż za niespodziankę urządził nam ten czupurny osobnik! – rzekła. – Musiał się dostać na zebranie chyba przez pomyłkę. Wiesz, słyszałam, że Mr. Coutier dostał zaproszenie na dzisiejszy bal do Heleny Gloucester.

– Żal mi go,

– Ty będziesz tam przecież, – rzekła sucho lady Valleys.

Barbara wsunęła się w kąt samochodu.

– Ach, nie dokuczaj mi, mamo.

Na twarzy lady Valleys ukazał się wyraz skruchy. Ujęła dłoń Barbary, lecz leniwie zwisająca ręka córki nie odpowiedziała na jej uścisk.

– Rozumiem twój nastrój terazniejszy, dziecko. Wymaga on skoncentrowania całej siły woli, by się zeń otrząsnąć. Nie pozwól, by cię ogarnął całkowicie. Może pojedziesz jutro na parę dni do wuja Dennisa?

Barbara westchnęła.

– Chciałabym, żeby już było jutro Samochód przystanął. Lady Valleys spytała:

– Czy chcesz wstąpić ze mną, czy też może jesteś zmęczona? Ci biedacy zawsze cieszą się ogromnie, jak ciebie widzą.

– Ty jesteś na pewno daleko bardziej zmęczona ode mnie, mamo. Oczywiście, że wstąpię.

Zjawienie się obu pań na sali szpitalnej wywołało natychmiast lekkie poruszenie wśród chorych. Lady Valleys, której miła, dobrotliwa powierzchowność wzbudzała swą pogodą otuchę i zaufanie, podeszła do jakiegoś łóżka i usiadła obok. Barbara stała niezdecydowanie w słabym blasku promienia lipcowego słońca, pośród bladych twarzy, zwróconych w jej stronę. Ci biedacy robili wrażenie tak zmęczonych, pokornych, smutnych. Na jednym łóżku leżała nawznak młoda kobieta, która nawet nie uniosła głowy by zobaczyć, kto przyszedł. Jej uśpiona, blada twarz, o wystających kościach policzkowych, była tak delikatna, że zdawało się, iż lada dotyk lub tchnienie może ją zabołec. Promień czarnych włosów, delikatnych, jak jedwab, opadał jej na czoło. Przymknięte oczy wpadły głęboko w oczodoły, jedna ręka, spracowana i szorstka, spoczywała na piersi. Oddech dobywał się słabo z bardzo bladych warg. Było coś dziwnie pięknego w jej uśpieniu. Barbarę ogarnęło wzruszenie. Śpiąca kobieta zdawała się być tak daleka od wszystkiego wkoło, tak nie licowała z tą sztywną, formalną salą szpitalną. Widok jej rozproszył w sercu młodej dziewczyny uczucie pustki i lenistwa, z jakimi tu przyszła. Przez dziwną asocjację przypominały jej się dalekie ugory w Monkland, gdzie wiatr dał gniewnie a świat stał nagi, potężny i straszliwy. Było coś pierwotnego w tym cichym śnie chorej. Na łóżku obok siedziała mała staruszka, o opalonej, pomarszczonej twarzy i czarnych, błyszczących, pełnych życia oczach. Była omal, że wulgarna w porównaniu z tą niezmaconą ciszą. Opowiadała głośno Barbarze, że mały pęczek wrzosu, stojący w połamanej mydelniczce na oknie, pochodzi z walji, gdyż – jak mówiła – „Matka moja pochodzi z Stirling, kochaneczko, więc ja dziwnie lubię wrzos, choć sama nigdy nie byłam nigdzie poza Bathnal Green”. W kilka chwil później, kiedy Barbara przechodziła tamtędy, śpiąca kobieta, rozbudzona teraz, siedziała na łóżku i wyglądała zupełnie biednie i zwyczajnie. Jej delikatna piękność zniknęła.

Z prawdziwą ulgą przyjęła Barbara słowa lady Valleys:

– A teraz, moja droga, jest już w pół do szóstej. Muszę jeszcze udać się na kiermasz marynarki, ty wróć do domu i połóż się, by wypocząć przed balem. Obiadujemy u Plessey'ów.

Bal u księżnej Gloucester był okazją, której nikt nie pominął. W tym roku naznaczony został tak późno, gdyż księżna wyjawiała zamiar przedłużenia sezonu towarzyskiego i tem samem powiększenia zarobków biednych dorożkarzy. I choć wszyscy bardzo życzliwie się do tego projektu odnosili, uważali, że będzie jednak prościej wyjechać na wieś, wpaść

samochodem tylko na dzień balu do miasta i powrócić następnego dnia samochodem zpowrotem. To też przez cały tydzień przedłużenia sezonu stali dorożkarze na stacjach kolejowych i na swych posterunkach długimi rzędami, oczekując na pasażerów z cierpliwością swych własnych koni, nieświadomi zupełnie tego, co dla nich czyniono.

Ponieważ każdy z gości chciał skorzystać z okazji, rezultat był taki, że salony pałacu Gloucester zapełniły się tłumnie wytworną i doborową publicznością.

W wielkiej sali balowej, ponad tłumem wirujących par, umieszczono ogromne punkahs, mające odświeżać duszne powietrze. Te wielkie wachlarze, poruszające się powoli, słały delikatny, orzeźwiający powiew wdół na morze głów, odkrytych ramion i sztywnych gorsów frakowych, z którym splatała się woń niezliczonej ilości kwiatów.

Późno w nocy, około wielkiej grupy kwiatów, ustawionych w rogu sali, stał Bertie Caradoc. zatopiony w rozmowie z bardzo piękną młodą kobietą. Była to jego kuzynka, Lily Malvezin, siostra Geoffrey'a Winlow, żona lorda Malvezina, członka partii liberalnej. Było to śliczne stworzenie, obdarzone różowymi policzkami, błyszczącymi oczami i zgrabną figurką, zawsze ożywione i wesołe. Mówiąc, zerkała kokieteryjnie na swego towarzysza, starając się swym wdziękiem przełamać puklerz chłodu tego zrównoważonego młodzieńca.

– O nie, mój drogi – mówiła trochę drwiącym tonem – nigdy mnie nie przekonasz, że Milton kiedykolwiek stanie się popularny – intransigent. Ach, oto Barbara! Barbara przemknęła w tańcu obok nich. Usta jej były rozchylone, oczy obojętnie rozglądały się wokoło. Jej ramiona były prawie tak białe, jak jej biała suknia, pod ciężką masą płowych włosów twarz blada, nacechowana jakimś cierpieniem. Cała postać zdawała się za każdym obrotem walca popadać w omdlenie, z którego dźwigały ją ramiona tancerza.

Nieporuszając prawie ustami – umiejętność, którą nabywa każdy więzień towarzyskiego świata – spytała Lily Malvezin:

– Kto jest ten, co z nią tańczy? Czy ma jakieś szanse u niej ?

Wargami równie nieruchomymi odpowiedział Bertie:

– Najmniejszy nawet.

Badawcze, błyszczące oczy młodej kobiety śledziły wciąż Barbarę, unoszącą się w tańcu, jak wielka wodna lilja, schwytna w wir młyńskiego odmetu. Przemknęła jej przez głowę:

– Jest najwidoczniej w niej zadurzony. To doprawdy brzydko ze strony Barbary, że się o to postarała.

Następnie ujrzała kogoś, kto, oparty o kolumnę, również śledził tańczącą parę i pomyślała:

– Hm, biedny Klaudjusz. Teraz nie dziwię się, że tak wygląda. Oj ta Barbara! Tymczasem Barbara i jej partner przystanęli na tarasie i patrzyli w ogród, gdzie drzewa, niezeszpeczone, jak to zwykle bywa podczas podobnych uroczystości, lampjonami, roztaczały prawdziwy urok swej ciszy i powagi. Barbara, spowita w czar bladej melancholji, oddychająca szybko po tańcu, zdawała się Courtierowi uosobieniem słodyczy i wdzięku.

W jakim celu ma przemówić zwykły śmiertelnik do zjawiska? Była przecież wcieleniem piękności, wizją powietrzną, która rozplynie się w mgłę za na;-lżejszym dotknięciem, jak czarodziejskie duchy, które pojawiają się nagle ludziom wśród błękitnych, gwieździstych śniegów nocy górskiej, lub wśród gaju brzoźowego, rozżłoczonego promieniami słońca. Słowa byłyby profanacją. Poza tem, cóż miał do powiedzenia jej, która należała do świata dziwnego, zdumiewającego, odrębnego świata, przypominającego zabarykadowany, wielki, oddzielny budynek, w którym każde okno było zamknięte szczelnie i zasłonięte okiennicą. Nie przyjmowano tu nikogo, kto nie zaprzysiągł wiary w życie i tylko to życie, poza którym znajdowały się jedynie ruiny i zgliszczka. Był to świat wysokich sfer, po którym krążył Courtier, jak samotny podróżny po pustyni, złakniony widoku bliźniego. Poza nimi odezwał się głos Harbingera: – Lady Barbaro...

Jeszcze długo w noc wielkie punkahs powiewały ponad tym wielobarwnym wirami zabawy, a głosy skrzypiec śpiewały i zawodziły aż do rana. Poczem szybko zmiłkł gwar, jak krople rosy, znikające z trawy, kiedy słońce wzejdzie. W wielkich salonach pozostali tylko czerwono odziani lokaje, którzy poruszali się na błyszczących posadzkach, jak wielkie, krwiste flamingi o wschodzie

słońca nad jeziorem.

### ROZDZIAŁ III

W rodzinnym pałacu Fitz Haroldów, położonym poza obrębem małego nadmorskiego miasteczka Nettlefold, wiódł spokojny żywot lord Dennis. Wśród południowego morskiego powietrza, najzdrowszego w całej Anglii, czuł się staruszek doskonale, starzejąc się bardzo powoli, nie myśląc bynajmniej o śmierci i czerpiąc z życia dużo spokojnych uciech. Podobnie jak wysoki, stary budynek, z długimi oknami i szerokimi kominami, staruszek żył samotnie, zadowolony i wystarczający sam sobie. Miał swoje książki, studjował czasy starożytne i zamierzchłe kultury i cywilizacje, o których pisywał od czasu do czasu artykuły suche i niezbyt krytyczne, pojawiające się w pewnym staroświeckim piśmie. Miał swój mikroskop, przez który badał pierwotniaki, wreszcie rybacką łódź, należącą do przyjaciela jego, Johna Bogle. Przyjaciel ten już oddawna zdążył się przekonać, że najgrubszą rybą, jaką kiedykolwiek złowił, był właśnie lord Dennis. Wszystkie te przyjemności wraz z częstymi odwiedzinami gości i przejazdami do Londynu i okolic, wypełniały mu życie, które – choć nieszczególnie urozmaicone – było przyjemne i nikomu nie zawadzało. Przez właściwą mu dziwną prostotę miał pewien negatywny wpływ na swoje otoczenie, oraz na stosunki i wpływ tej sfery na cały naród. Było ogólnym mniemaniem w Nettlefold, że lord Dennis jest gentlemanem i że, jeśli inni są jemu podobni, na pewno nie jest prawdą to, co mówią o lordach wogóle. Drobnik sklepiarze i właściciele lotnisk doskonale rozumieli, że interes ich ogółu o wiele jest pewniejszy, jeśli pozostaje w rękach lorda Dennisa, aniżeli w rękach tych, którzy pragnęli mieszać się do wszystkiego, rzekomo dla dobra biednych, pragnących jedynie, by ich pozostawiono w spokoju. Człowiek, który do tego stopnia zapomniał, iż jest synem księcia, choć inni nigdy nie byli w stanie tego zapomnieć – z pewnością zasługiwał na zaufanie. Coprawda nigdy nie zabierał głosu w sprawach publicznych, lecz nie zwracano na to uwagi. Przecież gdyby chciał, w każdej chwili mógł to uczynić, a fakt, że nie chciał tego, jeszcze bardziej pogłębiał ogólne przekonanie, że jest gentlemanem. Podobnie jak on był jedyną osobistością w całym miasteczku, której nikt nic nie miał do zarzucenia, tak i jego pałacyk był jedynym domem mieszkalnym, który wytrzymywał wszelką krytykę. Długoletnie zabiegi uczyniły go najzupełniej wygodnym. Pożółkłe mury, szerniały dach, porosły miejscami mchem, spokojne łąki wokoło, sięgające aż do dalekiego morza, łąki, na których pasły się konie i krowy, wszystko to tchnęło spokojem i dostatkiem. W istocie inne domki w mieście wydawały się tandetą przy tym pałacyku, który stał w odosobnieniu, jak ich pan i władca, oddalony w trochę może zbyt wytworny sposób od codziennych, powszednich warunków życia. Lord Dennis nie miał w pobliżu sąsiadów, z którymby się komunikował, z wyjątkiem młodego Harbingera, którego widywał od czasu do czasu, gdyż jego posiadłość Whitwater oddalona była zaledwie o trzy mile. Osamotnienie to nie dawało się jednak staruszkowi we znaki, nigdy nie nudził się, poprzestając na własnym towarzystwie. Zajmował się trochę filantropją i hojność jego, szczególnie dla rybaków, którzy w zimowe miesiące pozbawieni byli zarobków, graniczyła nieomal z rozrzutnością, gdy się brało pod uwagę, że dochody jego nie były zbyt wielkie. W życiu politycznym, prócz tego, że zajmował czołowe stanowisko w pewnej miejskiej instytucji, nie brał zupełnie udziału. Jego przekonania konserwatywne były bardzo umiarkowane, wierzył, że odrodzenie ojczyzny może nastąpić tylko za sprawą przyjaznego porozumienia i współdziałania klas. Kiedy go zapytywano, jak wyobraża sobie wprowadzenie tego w czyn, odpowiadał z jemu tylko właściwym, suchym, lekko złośliwym wdziękiem, że jeśli się dotknie patykiem gniazda szerszeni, to szerszenie się porusza. Sam nie był obszarnikiem, więc powstrzymywał się zazwyczaj od wyrażania opinii w tej drażliwej sprawie, lecz czasem, przyparty do muru, dawał folę swym przekonaniom: „Oczywiście, że w zasadzie jest najlepiej, gdy ziemia pozostaje w naszych rękach, lecz posiadamy zbyt wiele drobnych, zawistnych pieków naokoło nas”. Jak należało członkowi jego sfery, żywił głębokie, opiekuńcze uczucie dla ziemi i nie mógł ścierpieć myśli, że może ona podlegać opiece tak obojętnej matki, jaką jest państwo. Śmiesznymi wydawały mu się przekonania socjalistów i

radykałów, lecz nie znosił, kiedy lżono ich poza plecami. Trzeba przyznać, że jeżeli spotykał się z odmiennym zdaniem, umacniał jeszcze swe sceptyczne przekonania. Odsunięty od możliwości narzucania w publicznym życiu swych przekonań innym, siłą rzeczy zmuszony był znajdować ujście dla przyrodzonego mu rasowego despotyzmu.

Rok rocznie w końcu lipca oddawał swój pałac do dyspozycji lordowi Valleys, który uczestniczył w wyścigach Goodwood i uważał tę siedzibę za najdogodniejszy punkt dla siebie.

Nazajutrz rano po balu u księżny Gloucester, lord Dennis otrzymał liścik następujące treści:

Valleys-House Drogi Wuju!

Czy mogę przyjechać do Ciebie wcześniej niż zazwyczaj, aby wypocząć trochę? W Londynie jest tak straszliwie gorąco. Mama ma jeszcze obowiązki, które ją zatrzymują w mieście. Ja również będę musiała wrócić, by wziąć udział w naszym ostatnim w tym sezonie politycznym przyjęciu, więc nie opłaca mi się jechać tak daleko aż do Monkland, wszędzie indziej zaś, prócz u Ciebie, jest zbyt hałaśliwie dla mnie Eustachy wygląda bardzo niedobrze. Spróbuj, może uda mi się namówić go, aby przyjechał wraz ze mną. Babunia miewa się doskonale. Najserdeczniejsze pozdrowienia od Twojej Barbary

Przyjechała tego samego popołudnia bez Miltoun'a. Drogę od stacji przebyła najętą bryczką. Lord Dennis wyszedł naprzeciw niej aż do ogrodzenia. Ucałowawszy Barbarę, przyjrzał jej się trochę niespokojnie. Nigdy jeszcze nie widział Barbary źle wyglądającej, od chwili, kiedy zabrał ją na przejażdżkę łódką Johna Bogle. Wyglądała teraz rzeczywiście bardzo blado, zmieniła również uczesanie.

Zmiana wyglądu zaniepokoiła staruszkę, który nie zdawał sobie sprawy z czego pochodzi. Ujął Barbarę pod ramię i wyprowadził poza ogrodzenie na łąkę, porośłą kaczeńcami. Pasł się tu stary, biały kuc, ten sam, na którym jeździła Barbara, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Pocziwe zwierzę podeszło natychmiast do niej i ocierało się pyskiem o jej ramię. W tej chwili wzbudziło się w staruszku nieprzyjemne i dziwaczne podejrzenie, że chociaż jego siostrzenica nie rozpłacze się, potrzebuje jednak trochę czasu, by opanować łzy. Odsunął się tedy aż do ogrodzenia i stanął, patrząc w morze.

Wiatr od morza przynosił woń roślin morskich i suchy szelest drobnych fal, które podpływały prawie do stóp lorda Dennisa. Woddali, opromieniona słońcem, roztaczała się biała przestrzeń wód, rozedrganych i tajemniczych, spowitych lipcową mgłą. Widok ten napełnił go dziwnym uczuciem: nawiedzały go czasem momenty poetycznego sentymentu, słabości, zasadniczo umiał się jednak opanować i wiedział, co sądzić o tem morzu. Mimo wszystko był to przecież tylko kanał angielski, a jako dobry Anglik wiedział przecież, że jeśli choć raz pozwoli sobie na fantazjowanie, oraz na to, by jakiś przedmiot zatracił swą właściwą nazwę, wtedy przestanie być dla mego rzeczywistością, a kiedy przestanie nią być, wtedy – wtedy staje się najgorszym niebezpieczeństwem.

W istocie nie zastanawiał się w tej chwili nad urokiem morza, lecz myślał o Barbarze. Jasnym było, że trapiła się czemś. Sama myśl, że Barbarę może spotkać jakieś strapienie wydawała mu się dziwaczna, gdyż zdawał sobie sprawę, jak wielką musiała być siła tego strapienia, jeśli przeniknąć zdołała niezliczone zasłony luksusu, który otaczał tę młodą, ze wszech miar szczęśliwą istotę. Jeśli nie była to śmierć, musiała to być miłość. I natychmiast przypomniał się lordowi Dennisowi osobnik o rudych węsach.

Ideały były czemś zupełnie naturalnem i nikt nie miał nic przeciwko nim tak długo, dopóki poruszano je na właściwym miejscu – przy stole obiadowym naprzykład, lecz miłość dla człowieka, który nietylko posiadał ideały, lecz zdradzał inklinacje, by żyć wyłącznie dla nich i za nie, to wydawało się lordowi Dennisowi cokolwiek outre.

Barbara podeszła do niego. Przyjrzał jej się nieufnie i rzekł:

– Chcesz wypocząć w falach Lety? Ale, ale, czyś widziała naszego przyjaciela Courtiera w Londynie? Bardzo interesujący typ – podobna donkiszoterja w życiu!...

Gdy mówił, głos jego – jak zresztą głos wielu subtelnych ludzi, którzy



zaniechali umysłowych spekulacji – posiadał trójbrzmiające zabarwienie: drwił z ideałów, ośmieszał siebie za to wykpiwanie ideałów i jednocześnie ukazywał jasno, że w istocie czyni to tylko dlatego, że byłoby gruboskórnością postępować inaczej.

Barbara nie odpowiedziała na jego uwagę. Zaczęła mówić o czymś zupełnie innym. Przez całe popołudnie i wieczór mówiła o różnych rzeczach lekko i obojętnie. Lord Dennis zawdzięczał, iż nie został wyprowadzony w pole, swemu czujnemu i subtelnemu instynktowi.

Kiedy Barbara udała się wieczorem do swego pokoju, mogła odłożyć wreszcie męczącą maskę śmiechu. Siedziała przy oknie w świetle księżycy, „tego srebrzystego motyla nocy, który powoli pełza po niebie” i patrzyła z bolesną ciekawością w mroki, jakgdyby widziała jakąś wielką tajemnicę, której serce chciała przeniknąć. Od czasu do czasu gładziła ręką ciało, jakgdyby sprawiało jej to ulgę i ukojenie, żywiła bowiem tę starą, nieszczęsną wiarę, że istota jej składa się z dwóch części. Słodka noc, przepełniona spokojnym szmerem morza, zbudziła w niej straszliwą tęsknotę, by połączyć się w jedność nierozdzielną z kimś, lub z czymś, znajdującym się poza nią. Ubiegłej nocy na balu znów ogarnęło ją pragnienie fruwania i odczuwała je teraz jeszcze. Wpływ Courtiera, ta „cacoethes volandi”, uczucie jakby jej podcięto skrzydła, bolało ją, cierpiała, jak cierpi dziecko, któremu czegoś zabraniają.

Przypomniała sobie oswojoną srokę, która należała do klucznicy w Monkland. Ptak schronił się razu pewnego przed swym prześladowcą do oranżerii. Kiedy osądzono, że jest już dostatecznie oswojony, puszczono go, by się przekonać, czy powróci. Całymi godzinami przesiadywał na wysokim drzewie, wkońcu zawsze wracał do klatki, Opiekunka jego w obawie, że go wrony napadną, jeśli raz jeszcze wyruszy na wycieczkę, podcięła mu skrzydła. Sroka, chociaż żyła sobie zupełnie wesoło, skacząc w klatce i po tarasie, służącym jej za miejsce przechadzek, siadała czasem przerażona i smutna, poruszając skrzydłami, jakby udając, że fruwa. Zdawała się cierpieć, że jest przykuta do ziemi.

Tak też Barbara, siedząc teraz przy oknie, poruszała w wyobraźni swemi podciętymi skrzydłami. A kiedy udała się wkońcu do łóżka, leżała bezsennie, wdychając i przewracając się z boku na bok. Zegar wydzwonił trzecią. Ogarnęło ją niesłychane zniecierpliwienie. Wstała, pochwyciła płaszcz samochodowy, narzuciła go na nocną koszulę, wsunęła stopy w pantofle i wymknęła się na kurytarz. W całym domu panowała cisza. Zeszła na dół, starając się stąpać jak najlżej. Przeszła przez hali, zamieszkiwany przez duchy przedświtów, i, otworzywszy drzwi z łańcucha, wybiegła. Biegąc po rosie nie sprawiała więcej hałasu, niż ptak, bujający w powietrzu. Dwa pasące się kuce, które poczuły jej bliskość w ciemnościach, zaczęły obwąchiwać zamknięte na noc kielichy kaczęńców, rżąc z przestachu. Przeszła przez ogrodzenie i znalazła się na wybrzeżu. Biegła z zamiarem zanurzenia się w morzu, by się ochłodzić, lecz było ono zbyt czarne z wąskiem jedynie, białem obrzeżeniem, niebo było też ciemne, ogołoczone z wszelkiego światła w oczekiwaniu dnia. Stała i patrzyła. Niepokój jej, drżenie i pulsowanie ciała i duszy zamierało powoli wśród tej ciemnej samotności, gdzie ciszę mąciło jedynie nieustanne załamywanie się drobnych fal o brzeg. Barbara była przyzwyczajona do tych późnych, umarłych godzin. Zaledwie nocy ubiegłej, o tym samym czasie, ręka Harbingera obejmowała jej kibić w ostatnim walcu, lecz tutaj te ciche, umarłe godziny posiadały inne zupełnie oblicze: uroczyste, poważne, baczne, i nagle zdawało się Barbarze, wpatrującej się w przestrzeń, że ta otchłań ciemna widzi i przenika głębię jej serca, tak, że zamierało ono w jej piersi. Zadrżała, otulając się swym, ciepłym futrem podbitym, płaszczem, jakby przerażona nagle odkryciem, że jest tak zdumiewająco mała i mierna wobec tego czarnego nieba i morza, które zdawały się jednym, przepotężnym ogromem. Skuliła się na ziemi i oczekiwała świtu.

Przyszedł wreszcie, przynosząc na swych skrzydłach wiew zimnego powietrza. Wraz z przyjsciem świtu odwaga znów wstąpiła w serce Barbary. Rozebrała się i weszła w ciemną wodę, bielejącą teraz gwałtownie. Fale przykryły ją zazdrośnie. Zaczęła pływać. Woda była cieplejsza niż powietrze. Barbara leżała nawznak, pluskając rękami i nogami i obserwując niebo, które powoli zachodziło rumieńcem. Ta kąpiel w półmroku, bez mokrych trykotów, przylegających do ciała, z włosami rozpuszczonymi swobodnie, napełniała ją uciechą psocącego dziecka.

Kiedy słońce weszło już na niebie, wyszła z wody, narzuciła na siebie koszulę i płaszcz, przeszła przez ogrodzenie i pobiegła do domu. Jej przygnębienie i gorączkowa niepewność minęły. Była odświeżona, rzeźka, okrutnie głodna. Wślizgnęła się pocichutku do ciemnej jadalni i poczęła szperać, szukając czegoś do zjedzenia. Znalazła biszkopty i zjadała je właśnie, gdy w otwartych drzwiach ukazał się lord Dennis z rewolwerem w jednej ręce i zapaloną świecą w drugiej. Odziany w stary niebieski szlafrok, z twarzą o rysach subtelnych i wyrazistych, wywierał staruszek dziwne wrażenie. Był w tej chwili bardzo podobny do lady Casterley – zdawało się, że niebezpieczeństwo opancerzyło go stałą.

– Więc ty to nazywasz wypoczynkiem? – spytał surowo.

Potem, spojrzawszy na jej zmoczone włosy, dodał:

– Widzę że utopiłaś już swe strapienia w wodach Lety.

Bez odpowiedzi zniknęła Barbara w mrocznym hallu, zdążając ku schodom.

#### ROZDZIAŁ IV

Podczas gdy Barbara płynęła na spotkanie świtu, Miltoun nurzał się w potokach słodyczy i prawdy, płynących wśród ścian angielskiej Izby Gmin. W długiej debacie nad kwestją obszarnictwa, na którą oczekiwał, by po raz pierwszy zabrać głos, już dziewięciokrotnie podnosił się i nie udawało mu się zwrócić uwagi przewodniczącego na siebie. Powoli ogarnęło go jakieś uczucie zatracenia rzeczywistości. Bez wątpienia ta wielka izba, gdzie nieustannie rozlegał się dźwięk głosu ludzkiego i dziwne, automatyczne wybuchy aprobaty lub niezadowolenia, nie istniała w rzeczywistości. Była tylko jakimś gigantycznym przywidzeniem. Wszystkie te postacie były urojeniami jego mózgu! A kiedy wkońcu zacznie przemawiać sam, mówić będzie jedynie dla siebie samego! Duszne powietrze, przesycone oddechami mnóstwa ludzi, nieruchome spojrzenia niezliczonych świeateł, długie rzędy ławek, dziwne w oddaleniu, blade, zasłuchane twarze ludzkie tam w górze, wszystko to miało w nim swe źródło, było jego tworem. Nawet ta ciżba, krążąca po kuluarach, składała się tylko z drobnych, upartych cząstek jego samego, przychodzących i odchodzących, a w głębi tego tytanicznego tworu jego wyobraźni szemrał szept jego własnej, niewypowiedzianej jeszcze mowy. Szept, który zdmuchiwał mydlane bańki słów, wyrzucanych przez daleki, cichy, ciągle zmieniający się głos. Nagle, całe jego senne przywidzenie pierzchnęło. Wstał i z bijącym sercem począł mówić. Bardzo prędko opanował niepokój. Uświadamiał sobie tylko, że słowa jego brzmią obco i uczył jakąś dziwną, mrozącą krew, satysfakcję, że rozlegają się wśród takiej ciszy. Miał wrażenie, że wokół niego niema ludzi, tylko same usta i oczy, i radowało go dziwnie to, że swymi słowami utrzymuje te zgłodniałe oczy i usta w nieruchomości i niemocie. Potem uświadomił sobie, że oto dobiegł do końca tego, co miał do powiedzenia, więc usiadł, pozostając niewzruszony w centrum różnorodnej wrzawy, patrząc uparcie na tył jakiejś głowy tuż przed nim i obejmując rękami kolana. Niebawem, kiedy znów podniósł się jakiś cichy, daleki głos, ciągnący dalej, wziął kapelusz i, nie patrząc ani w prawo ani w lewo, wyszedł z sali.

Miał uczucia ulgi i szalonej dumy, która napełnia zazwyczaj serca ludzi, gdy uczynili już pierwszy, poważny krok w życiu, w ponurej, głębokiej otchłani duszy Miltoun'a panowała jeno gorycz. W istocie, kiedy pozbył się już teraz tej mowy, utracił coś, co było jedynym antidotum na jego cierpienia. Mógł tylko raz jeszcze ostatecznie stwierdzić, jak mało znacząca była dla niego jego karjera z chwilą, kiedy nie mógł jej dzielić z Audrey Noel. Szedł powoli ku Tempie brzegiem rzeki, gdzie blask lamp zamierał powoli w obliczu codziennego, wzniosłego, boskiego momentu – spotkania się dnia z mrokiem. Idąc tak ku domowi, wyglądał niemniej nędznie, niż wielu z bezdomnych biedaków, którzy śpią nocą nad rzeką, jakgdyby zdając sobie sprawę z tego, że jeśli będą leżeć tak blisko otchłani, która w każdej chwili gotowa jest im dać zapomnienie, to jedynie świadomość tego będzie ich mogła uchronić od chwycenia się tej ostateczności naprawdę. Był może bardziej jeszcze nieszczęśliwy od nich, gdyż umysł ich pod ciosami życia zatracił zdolność odczuwania i przestał im już dokuczać.

Teraz, kiedy Audrey Noel była już dla niego na wieki stracona, jej urok i nieokreślony wdzięk, czyniący ją pożądaną godną, powstał w całej okazałości

przed nim, jak dręczące mamidła, kwiaty piękności, których nigdy nie zerwie, lecz które mógłby zerwać, gdyby tylko chciał! To właśnie było duszą i płomieniem jego cierpienia. Mógłby je zerwać, gdyby tylko chciał! Dolegała mu również fizycznie gorączka, której się nabawił na dzień przed ostatnim widzeniem się z nią, kiedy to tak bardzo przemókł na deszczu. A przez trawiącą go gorączkę wszystkie uczucia, wszystkie rzeczy podobnie jak urojenia na sali przed mową, zdawały mu się jakby zgłuszone, jakby poza zasłoną. Zdawało mu się, że wszystko przychodzi do niego w nieprzenikliwej osłonie z flaneli. Jednocześnie zdawało mu się, że w nim samym ścierają się dwaj ludzie w śmiertelnej walce: człowiek wiary w boskie posłannictwo i autorytet, te dwie rzeczy, na których opierały się wszystkie jego dotychczasowe przekonania, oraz inny zrozpaczony, zgłodniały, o płomiennej krwi. Był bardzo nieszczęśliwy, pragnął kogoś, kto by zrozumiał jego uczucia, a dzięki temu, że przez długie lata był zamknięty w sobie, nie lubił zwierzeń, nie szukał powierników, nie potrafił teraz zadośćuczynić swemu pragnieniu.

Świtało już, kiedy znalazł się w swym mieszkaniu. Wiedział doskonale, że nie będzie mógł zasnąć, nie położył się więc do łóżka, przebrał się tylko, zagotował sobie filiżankę kawy i usiadł przy oknie, które wychodziło na podwórze z ogródkiem. W sali Middle Tempie odbywał się bal. Milton ujrzał jakiegoś młodzieńca i dziewczynę, którzy poza osłoną starej, kamiennej fontanny, odpoczywali podczas ostatniego tańca. Główka dziewczyny oparta była na ramieniu tancerza, usta ich złączyły się. Przez okno dolatywał zapach heljotropu i tony walca. Ta para, cichaczem złączona, blask ich oczu, zwróconych ku sobie, szept ust, osłaniająca ich kamienna nisza, poza którą ćwierkały wróble, to był świat, którego pożądał. Spojrzał znowu przez okno: nie było już nikogo – zniknęli jak zjawisko. Muzyka ucichła, pierzchała również woń heljotropu, w kamiennej niszy przycupnął jakiś kot-włóczęga i śledził ćwierkające wróble. Milton wyszedł z mieszkania i, kierując się pustym wybrzeżem, szedł bez celu. Około godziny piątej nad ranem znalazł się na moście Putney. Tu przystanął, oparł się o balustradę i patrzył w szarą wodę. Słońce przedzierało się już przez mgłą świtu, wczesne platformy przejeżdżały i ludzie spieszyli do pracy. W jakim celu, do jakiego kresu dążyła wieczyście ta rzeka? W jakim celu płynęła fala ludzi tam i zpowrotem ponad nią? W jakim celu, jak długo cierpieć mają ci wszyscy mężczyźni i kobiety? Milton nie umiał się dopatrzyć w tym prądzie życia wyższego celu, niż u kołujących wczesnym rankiem mew.

Opuścił most i skierował się w stronę Barnes Commun. Noc rozpościerała się tu jeszcze na krzakach janowca, osrebrzonych pajęczyną i gwiazdzistą rosą. Minął jakąś rodzinę włóczęgów, którzy spali, przytuleni do siebie. Nawet ci bezdomni leżeli, złączeni uściskiem!

Z Commun wyszedł na drogę, prowadzącą do pobliskiego Ravensham, skierował się tam i przedostał do sadu, gdzie usiadł na ławeczce koło krzaków malin. Owoce były zabezpieczone przed złodziejami, lecz mimo to, kiedy Milton się zbliżył, dwa kosy wymknęły się z poza siatki ochronnej i odfrunęły.

Postać Milton'a, siedzącego nieruchomo, zwróciła uwagę jednego z ogrodników, który natychmiast podzielił się tą nowiną z innymi. Wiadomość, że młody lord znajduje się w sadzie, doszła do uszu Cliftona, który wyszedł sam do ogrodu, by się przekonać, co by to miało znaczyć. Cicho przystanął naprzeciw Milton'a i spytał:

- Pan przybył do nas na śniadanie, mylordzie?
  - Jeśli moja babka zechce mnie przyjąć, Cliftonie.
- Zdawało mi się, że jego lordowska mość miała przemawiać w parlamencie zeszłego wieczoru?
- Przemawiałem, Cliftonie.
- Mam nadzieję, iż posiedzenie w Izbie Gmin nie zawiodło twoich oczekiwań?
- Tak, owszem. Dziękuję ci, Cliftonie.
- Przypuszczam wprawdzie, że nie są już takimi, jakimi były za pamiętnych czasów twego dziadka. Dziadek twój był o nich bardzo dobrego mniemania. Zmieniło się już wiele.
- Tempora mutantur...
- Otóż to, zupełnie odmienny duch teraz panuje w stosunku do spraw publicznych. Ta brukowa prasa terazniejsza! Trzeba się z tem pogodzić, lecz trudno pochwalać. Jestem bardzo ciekaw pańskiej mowy, mylordzie. Mówią, iż

pierwsza mowa wymaga wielkiego wysiłku.

– O, tak.

– Lecz pan nie ma się czego obawiać, mylordzie. Jestem pewien, że była przepiękna.

Miltoun zauważył, że wychudłe, blade policzki starca pokryły się ceglastym rumieńcem ponad śnieżno-białymi faworytami.

– Oczekiwałem tej chwili – wyszeptał Clifton – od czasu, jak znam waszą lordowska mość – dwadzieścia osiem lat. Ten dzień zapoczątkowuje wszystko.

– Lub kończy, Cliftonie...

Twarz starca zmieniła się: oblekł ją wyraz głębokiego i stroskanego zdziwienia.

– Nie, nie – zawołał – z tradycją pańskiej rodziny – nigdy!

Miltoun ujął go za rękę.

– Przepraszam, Cliftonie, nie chciałem cię dotknąć.

Milczeli przez parę chwil, patrząc na swe złączone dłonie, jakgdyby zdziwieni.

– Czy jego lordowska mość życzy sobie kąpiel? Śniadanie jest dopiero o 8-ej. Czy mam przygotować przyrządy do golenia?

Kiedy Miltoun wszedł do jadalnego pokoju, zastał tam już babkę. Trzymała w ręce numer „Timesa”. Przed nią stały winogrona i biszkopty, stanowiące jej posiłek poranny. Wygląd staruszki niezwykle odpowiedział zapewnieniom Barbary, że „babunia miewa się doskonale”. Wyglądała trochę blade, jakgdyby upał dawał jej się we znaki, lecz nie brakło ożywienia w jej małych, stalowych oczkach, ani też stanowczości i zdecydowania w jej zachowaniu się.

– Widzę – rzekła, – że postępujesz według własnego programu, Eustachy. Nie mam temu nic do zarzucenia, przeciwnie: pochwalam nawet, lecz zapamiętaj to sobie, mój drogi, że jakkolwiekby się zmieniły twe zapatrywania, nie wolno ci okazać chwiejności. Jedno jedyne postępowanie liczy się tam – zawsze bić na to samo i zawsze temi samymi argumentami. Wyglądasz bardzo mizernie. Czy źle się czujesz?

Miltoun, pochylając się, by ją ucałować, szepnął:

– Dziękuję, babuniu. Czuję się zupełnie dobrze.

– Głupstwa mówisz, – przerwała lady Casterley – nie doglądają cię widocznie w domu. Czy matka twoja była wczoraj w parlamencie?

– Zdaje mi się, że nie.

– Naturalnie! A gdzie podziewa się Barbara? Powinna się tobą zająć.

– Barbara pojechała do wuja Dennisa.

Lady Casterley zacisnęła usta. Potem, bystro przyglądając się swemu wnukowi, rzekła:

– Pojedziesz tam ze mną. Dzisiaj jeszcze. Co mówisz, Cliftonie?

– Jego lordowska mość wygląda bardzo źle.

– Przygotuj powóz. Pojedziemy ze stacji Clapham Junction. Tomasz może udać się do miasta i przywieźć ci potrzebne ubranie, lub lepiej jeszcze:

zatelefonuj do swej matki po samochód, choć w gruncie rzeczy nie lubię tego, jest jednak za gorąco na jazdę pociągiem. Proszę załatw wszystko, Cliftonie. Miltoun nie sprzeciwił się temu projektowi. Przez cały czas podróży pozostawał pogrążony w stanie obojętności i znużenia, który wydawał się lady Casterley w wysokim stopniu złowróżbny, gdyż wszelkie znużenie było w jej pojęciu stanem najdziwaczniejszym i niewybaczalnym. Ta mała wielka dama przeniknięta była do szpiku kości instynktem sztucznej energii i żywotnej mocy, którą muszą rozwijać w sobie ludzie, stojący u samego szczytu i nie mający żadnych nadziei, na wzniesienie się jeszcze wyżej w przyszłości. Muszą rozwijać poto, aby nie zmarnieć i nie być zmuszonym znowu rozpoczynać mozolnej wędrówki wzwyż. Dokuczała jej chęć dania surowej reprimendy swemu wnukowi, aby go choć trochę ożywić, gdyż znała przecież powód jego smutku i irytowało ją, że to właśnie może być przyczyną jego upadku. Gdyby miała do czynienia z którym innym ze swych wnuków, nie wahałaby się ani chwili, lecz było coś w usposobieniu Miltoun'a, co poskramiało nawet lady Casterley i tylko raz jeden podczas czterogodzinnej podróży pokusiła się, by rozbroić jego powściągliwość. Uczyniła to w sposób bardzo łagodny, jak na nią, gdyż Miltoun był przecież z wszystkich żyjących istot jedyną dumą i nadzieją jej serca. Wsuwając swą drobną, szczupłą dłoń pod jego ramię, rzekła spokojnie:

– Mój drogi, przestań już rozpaczać nad przeszłością, – to i tak się przecież na nic nie przyda.

Lecz Miltoun usunął delikatnie jej dłoń, kładąc ją spokojnie na pledzie, okrywającym ich kolana. Nie odpowiedział, ani nie dał wogóle poznać po sobie,

że słyszał. Lady Casterley, dotknięta głęboko, zacisnęła mocno swe zwiędłe usta i rzekła ostro:

– Zwolnij trochę szybkość, Frith,

ROZDZIAŁ V

Leżąc tego popołudnia pod osłoną sitowia i patrząc wdał na odpływ morza, wyjawiał Miltoun Barbarze strapienie, toczące mu duszę. Nigdyby prawdopodobnie nie uczynił tego, gdyby nie było między nimi tej przypadkowej rewelacji pamiętnej nocy w Monkland, mimo, że zawsze wyczuwał w swej młodszej siostrze tę siłę żywotną, której mocy tak dotkliwie mu brakło. W sprawach miłości była bezwątpienia bardziej doświadczona od niego, gdyż oprócz owego macierzyńskiego przeczucia, właściwego wielu kobietom, posiadała jeszcze wrodzone obycie światowe i doświadczenie, którego należało się spodziewać po córce lady i lorda Valleys. Jeżeli ona sama nie umiała się zorjentować w stanie swych uczuć, przyczyna tego nie tkwiła, jak u Miltoun'a, w zmysłach i sercu, poprostu nie umiała zrozumieć ciekawości i zainteresowania, jakie obudził w niej Courtier. Troszczyła się bardzo sprawą Miltoun'a, bolała ją myśl o mrs. Noel, która musiała przecież cierpieć w swej samotnej siedzibie. Agata, ta dobra i poważna siostra, inspirowała zawsze w Barbarze pewną buntowniczość przeciw zasadom moralności, a pobożnością swą zniechęcała ją całkowicie do religji. W tej chwili była przeświadczona, że jeśli ci dwoje nie mogą być szczęśliwi zdała od siebie, winni połączyć się razem w imię radości, jaką można czerpać z życia.

Podczas gdy Miltoun leżał twarzą do nieba pod cieniem sitowia, Barbara rozmyślała nad sposobem pocieszenia go, mając jednocześnie świadomość, że nigdy nie zdoła zrozumieć jego zapatrywań.

Ponad łąkami skowronki wznosiły hymn nadziei na cześć niedojrzałych jeszcze zbóż. Wybrzeże mieniło się wszystkimi kolorami od głębokiej zieleni do różanych tonów. Na skraju niebieskiego morza drobne, czarne sylwetki ludzkie pochylały się, zbierając trawę morską. W cieniu sitowia słodko pachniało powietrze. Panował niezakłócony spokój. Barbara, leżąc omotana siatką promieni słonecznych, rozmyślała nad cierpieniem, które tak łatwo było złagodzić.

Wkońcu zaryzykowała:

– Życie jest tak krótkie, Eustachy. Przestraszyła ją jego odpowiedź. Wygłosił ją bez

poruszenia:

– Przekonaj mnie, że tak jest w istocie, Barbaro, a będę cię błogosławił. Że ten śpiew skowronków nic nie oznacza, że ten błękit tam w górze jest tylko otchłanią naszej wyobraźni, że tylko pełzamy po ziemi, nie osiągając nic, że życie nasze jest bezcelowe. Przekonaj mnie o tem, Barbaro, na miłość boską! Barbara, nagle wzruszona do głębi, wyciągnęła dłoń do brata i rzekła:

– Och, nie bierz wszystkiego tak tragicznie!

– Jeśli twierdzisz, że życie jest tak krótkie, – szepnął Miltoun ze swym charakterystycznym uśmiechem na ustach – czemu zakłócasz je sobie, dając się nosić uczuciu litości? W zamierzonych czasach brano nas na tortury za nasze przekonania, dzisiaj potrafimy znieść – mam nadzieję – drobną, potajemną mękę serca. Czy też może całkowicie straciliśmy już naszą dawną siłę i odporność... Barbara, dotknięta jego tonem, odpowiedziała sucho:

– To, co musimy znieść, przypuszczam, że potrafimy. Lecz poco mamy stwarzać sobie zmartwienia? To jest właśnie to, z czym nie mogę się pogodzić.

– O, głęboka rozwago! Barbara zaczerwieniła się.

– Ja kocham życie – rzekła.

Galery zachodzącego słońca płynęły już szeroką, ognistą flotą ponad wybrzeżem, gdzie małe, czarne sylwetki ludzkie pochylały się wciąż jeszcze w znojnym trudzie. Skowronki śpiewały jeszcze swoją pieśń ponad niedojrzałymi łąkami. Młody Harbinger, jadąc drogą między Whitwater a Sea House, spotkał milczącą parę rodzinstwa w drodze do domu na obiady.

Nie byłoby prawdą przypuszczać, że młodzienc ten łatwo się orjentował w nastrojach ludzi i sytuacji, lecz na jego usprawiedliwienie przemawia fakt, że od czasu jego urodzenia wszystko się zawsze składało na to, żeby temperaturę jego otoczenia utrzymywać stale na wysokości sześćdziesięciu stopni w cieniu. Fakt, że jego własna umysłowa temperatura doszła teraz do takiego stanu, że groziła rozerwaniem kulki rtęciowej, sprawiał, że trudniej niż kiedykolwiek

przychodziło mu zastanawiać się nad tem, co się dzieje w duszach innych ludzi. Zauważył jednakże, że Barbara wygląda blado i bardziej uroczo niż kiedykolwiek. Towarzystwo Miltoun'a zawsze zbijało młodego Harbingera z tropu: nigdyby się na to nie zdobył, by zlekceważyć całkowicie jakiś odrębny i buntowniczy umysł, jeśli należał do człowieka z jego własnego środowiska, lecz, niemniej niż inni, nie umiał się pogodzić ze zgryźliwą, maskowaną pogardą Miltoun'a dla wszystkiego, co było mniej lub więcej banalne lub powszednie. Harbinger posiadał przytem szaloną pewność siebie, zwykłą u ludzi, obdarzonych doskonałą powierzchownością, których warunki życiowe tak się układają, że pewność ta nigdy, lub prawie nigdy, nie może być zachwiana. Wszystko to sprawiało, iż nie znosił świadomości, że ktokolwiek patrzy na niego trochę zgóry. Uczuł prawdziwą ulgę, kiedy Miltoun, pod pozorem konieczności zakupienia jakiegoś pisma, udał się do miasta.

Harbinger, zarówno jak Miltoun i Barbara, przepędził bezsennie i niespokojnie noc. Widok smukłej i bladej postaci dziewczęcej z rozchylonemi ustami, wirującej w objęciach Courtiera, nie opuszczał jego wyobraźni od czasu balu. Tańcząc z nią ostatni taniec, milczał prawie-że zawzięcie, siłą woli tylko wstrzymując się od zgryźliwych uwag o „pyszałkowatym rudowłosym osobniku”, jak w głębi duszy nazywał bojownika przegranej sprawy. Uczucia jego w dniu owym, podobnie jak i potem, były dla niego istną rewelacją, lub byłyby nią, gdyby mógł, stojąc 'z boku, zastanowić się nad niemi. Przez cały ten czas nie opuszczało go napozór jego zwykłe, chłodne, pogardliwe usposobienie, gdyż, oczywiście, wiedział, że nie należy zdradzać się przed ludźmi, lecz w głębi targał nim ból i wściekłość, zazdrość i pożądanie tak silne, że mogły budzić prawdziwą litość. Ludziom, obdarzonym jego silną, gwałtowną, naturą, zazwyczaj przychodzi najtrudniej opanować cierpliwością swe uczucia. Powracając z balu, powziął postanowienie udania się za Barbarą nad morze. Po drugiej nocy, spędzonej bezsennie, nie wahał się już więcej. Musi ją ujrzeć. Ostatecznie wolno każdemu człowiekowi jechać do swej własnej posiadłości wtedy, kiedy mu się podoba. Nawet, jeśli się to wyda podejrzanem. Im więcej da do myślenia, tem lepiej! Począł w nim wzbierać jakiś brzydki upór zwierzęcej determinacji. Nie wymknie mu się!

Teraz, kiedy kroczył u jej boku, cała determinacja i pewność siebie zniknęły. Pozostało uczucie zakłopotania i upokorzenia. Szedł, przytrzymując konia, z głową pochyloną, z uczuciem bólu, iż znajduje się tak blisko niej, a jednocześnie tak daleko – zły na swą niezręczność i uparte milczenie, zły bodajże na nią za jej urok i mękę, jaką przeżywał. Kiedy doszli do domu, Barbara zostawiła go na dziedzińcu, a sama udała się do ogrodu po kwiaty. Harbinger niecierpliwie pociągnął konia za uzdę, klnąc, iż zbyt powolnie zmierza do stajni. Obawiał się, że nie zdoła pójść za Barbarą do ogrodu, a jednocześnie lękał się, że ją tam jeszcze spotka. Zastał ją zrywającą goździki, rosnące przy bocznej ścianie oranżerji. Kiedy podniosła się z ponad klombów, Harbinger, nie zastanawiając się co czyni, pochwycił ją w objęcia i, trzymając silnie, począł bez pamięci całować.

Zdawała się nie stawiać oporu. Jej gładkie policzki rozпалиły się, usta poczęły się poddawać, lecz nagle Harbinger cofnął się, serce przestało mu bić na myśl o szalonym czynie. Co on zrobił! Ujrzał ją, opartą o ścianę oranżerji i usłyszał, jak spytała z drwiącym odcieniem w głosie:

– No i cóż?

Byłby się rzucił przed nią na kolana, prosząc o przebaczenie, gdyby nie powstrzymała go myśl, że ktoś może nadejść. wyszeptał chrapliwie:

– Mój Boże, byłem szalony...

Stał ponuro, miotany sprzecznymi uczuciami strachu i nagłego przypływu odwagi. Usłyszał, jak powiedziała spokojnie:

– Tak, rzeczywiście, był pan szalony.

Kiedy ujrzał, że dotknęła ręką ust, jakgdyby pocałunki jego ból jej sprawiły, szepnął złamanym głosem:

– Wybacz mi, Barbaro...

Całą minutę trwało milczenie. Harbinger stał, nie śmiejąc spojrzeć na nią, pokonany całkowicie wzruszeniem. Nagle, ku szalonemu zdziwieniu, usłyszał jej słowa:

– Wybaczam ci – tym razem...

Spojrzał na nią. Czyż mogła go pokochać, mówiąc to tak chłodno? Czyż mogła mu

wybaczyć, nie kochając go?! Przesuwała rękami po twarzy, szyi i włosach, poprawiając uczesanie, chcąc zatrzeć ślady jego pocałunków.

– Czy wrócimy teraz do domu? – spytała.

– Tak bardzo cię kocham... w twoje ręce złożę całe życie, a ty możesz je odrzucić...

Na słowa te, których istotnego znaczenia sam nie rozumiał, Barbara uśmiechnęła się:

– Jeśli pozwolę ci zbliżyć się do mnie na trzy kroki, czy będziesz się zachowywał grzecznie?

Skłonił się. Poszli w milczeniu ku domowi.

W dziwnie krępującym nastroju przeszedł obiad tego wieczora, lecz rozgrywająca się komedia, zbyt subtelna dla Miltoun'a i lorda Dennisa, nie uszła uwagi lady Casterley. Kiedy Harbinger odjechał,

starszka wzięła swój lichtarz i jednocześnie zaproponowała Barbarze udanie się na spoczynek. Odprowadziła wnuczkę do jej apartamentu, specjalnie dla niej zarezerwowanego i umeblowanego według jej gustu tylko niezbędnymi sprzętami. Usiadła naprzeciw tej młodej, dorodnej, doskonale zbudowanej postaci dziewczęcej, przyglądała jej się bystro, jakby chcąc przeniknąć do głębi duszy, wreszcie rzekła:

– A więc chociaż ty powróciłaś do zdrowych zmysłów – nareszcie. Pocałuj mnie. Barbara, pochylając się, by zadośćuczynić jej żądaniu, ujrzała łzę, staczającą się wzdłuż jej cienkiego nosa. wiedziała, iż najłżejsza oznaka, że zauważyła to, byłaby okropnością. wyprostowała się więc i odeszła do okna. Stała tu długą chwilę, spoglądając wdał poprzez ciemne pola aż do ciemnego morza, brzegiem którego jechał pewnie teraz Harbinger. Podniosła rękę do ust i pomyślała po raz setny: „Ach, więc to jest to właśnie!”

## ROZDZIAŁ VI

W trzy dni po swoim pierwszym i, jak to sobie teraz postanowił, ostatnim zebraniu towarzyskiem, Courtier otrzymał kartkę od Audrey Noel. Pisała, iż chwilowo opuściła Monkland i przeniosła się do małego mieszkania nad brzegiem rzeki, nieopodal westminster. Kiedy Courtier przechodził tędy tego lipcowego popołudnia, gmach parlamentu tonął w blaskach słońca, które rozgrzewało swem ciepłem surowe tchnienie, emanujące z uroczystych, świetnych obrad.

Courtiera ogarnęło zwątpienie. Zazwyczaj w obliczu tego gmachu uczucia jego były dziwnie pogmatwane: zbyt mało miał w sobie z poety, by nie widzieć nic oprócz malowniczych linii wież na horyzoncie, lecz było w nim dosyć z poety, by odczuwać zawsze jakieś pragnienie odepchnięcia, odrzucenia

czegoś. W takim nastroju kierował teraz swe kroki biegiem rzeki. Nie zastał mrs. Noel w domu. Służąca poinformowała go, że pani zaraz powróci. Usiadł tedy i czekał.

Mieszkanie Audrey, położone na pierwszym piętrze, miało widok na rzekę. Wynajęte widocznie już z meblami, nosiło wrażenie cechy niedawnej walki ze stylem Edwarda, który, zatriumfowałszy nad epoką wiktoriańską, zapełnił pokoje zabytkami wczesnego okresu Jerzego. W niszy pod oknem, utrzymanej w tonie różowym, bardzo wygodnej i zupełnie nowej, będącej jedynym definitywnym śladem tego zwycięstwa, zasiadł Courtier, przygotowany do czekania i bezczynności, z rezygnacją starego żołnierza.

Do uczucia opiekuńczego, jakie żywił kiedyś dla grzecznego, ciemnowłosego dziecka, dołączył teraz jeszcze rycerską litość człowieka, o gorącym sercu wobec kobiety w niedoli, oraz niezadowolenie tego, który, nie umiając się podporządkować nakazowi z zewnątrz, buntuje się również przeciw tyranji, która dotyka kogokolwiek.

Widok z okna na stare wieżycy i mury, wśród których zasiadał Miltoun i jego ojciec, ranił dotkliwie Courtiera, symbolizował bowiem autorytet – wroga jego nieśmiertelnej pani, słodkiej, niepokonanej, przegranej sprawy niezależności. Po chwili jednak rzeka, przynosząca swym prądem nieokiełzane fale, które omywały wszystkie brzegi, dotykały wszystkich piasków i widziały wschód i zachód wszystkich istniejących gwiazd – ta rzeka swym bezsłownym hymnem na cześć wolności ukołysała go tak, iż kiedy Audrey Noel weszła po chwili, niosąc naręcze kwiatów, zastała go śpiącego mocno z silnie zaciśniętymi ustami. Cichutko złożyła kwiaty i czekała na przebudzenie Courtiera. Jego czerwona

twarz z wystającym podbródkiem, płomiennymi węsami i brwiami, uformowanymi w kształcie litery V ponad zamkniętymi oczami, nacechowana była jakąś jowialną wytrwałością nawet we śnie. Nie było może w całym Londynie twarzy, któraby była takim przeciwieństwem twarzyczki tej ciemnej, miękkołosej kobiety, delikatnej, biernej, rozedrganej radością na widok tego jedyne go człowieka na świecie, od którego mogłaby się dowiedzieć czegoś o Miltoun'ie, nie uwłaczając jednocześnie swej godności.

Obudził się wreszcie i, nie okazując zmieszania, rzekł:

– To w zupełności wygląda na ciebie, żeś mnie zbudziła.

Przez dłuższą chwilę siedzieli, rozmawiając. Szum i ruch na rzece ospale wtórował ich głosom. Kwiaty napełniały pokój ociążałym zapachem. Kiedy Courtier wyszedł wreszcie, serce miał przepełnione goryczą. Audrey nie mówiła o sobie. Prawie cały czas rozmawiała o Barbarze, chwalać jej piękność i rozum. Raz czy też dwa pobladała. Z potajemną chciwością piła każde słowo, które miało jakiś związek z Miltoun'em. Jasne było, iż uczucia jej nie zmieniły się, choć ich nie okazywała. Litość, jaką żywił dla niej Courtier, wzrosła gwałtownie. W nastroju tym, z którym łączyły się jeszcze inne, zupełnie odrębne uczucia, przebrał się i podążył na ostatnie w tym sezonie zebranie w Valleys House. Przyjęcie to, wydane prawie-że przy końcu lipca, miało charakter nawskroś polityczny. Wchodząc po szerokich, błyszczących stopniach, których mnogość tak często niweczyła arytmetyczne usiłowania małej Anny, Courtier mimowoli przypomniał sobie obrazek, zatytułowany „Stopnie do Raju”, który zdobił ścianę jego dzieciennego pokoju trzydzieści kilka lat temu. U szczytu schodów pomiędzy wieloma znajomymi natknął się również na Harbingera, który skłonił się zimno. Piękna twarz młodzieńca wydawała się zawistnym oczom Courtiera bardziej zwycięska i pewna siebie niż kiedykolwiek. Przeszedł obok niego z sardonicznym wyrazem twarzy i torował sobie drogę w kierunku lady Valleys. Dojrzał ją, stojącą na posterunku na niewielkim wolnym miejscu, skąd w jedną i w drugą stronę przyływały i odpływały czeredy ludzi, jak promienie wokół gwiazdy. Wyglądała wspaniale, gdyż zawsze doskonale harmonizowała z wielkimi, wysokimi, bogatymi wnętrzami. Przywitała Courtiera ze specyficzną serdecznością, która zawierała w sobie obok uprzejmości dla obcego w tem środowisku przybysza, jeszcze trochę dyplomacji – zdawało się, że chce ostrzec go przed czemś, a równocześnie obawia się dotknąć go, by nie stał się zbyt niebezpieczny. Oznajmiła, że słyszała o jego zamiarze udania się do Persji i ma nadzieję, że nie zechce tamtejszych spraw jeszcze pogorszyć, wreszcie, kończąc słowami: „To ładnie z pańskiej strony, że pan o nas nie zapomniał”, znowu powróciła na swój posterunek, stając się ośrodkiem pola bitwy. Courtier, widząc, że z nim skończyła, odsunął się, oparł o ścianę i począł obserwować. Tak odosobniony podobny był do samotnej kukułki, która kontempluje krążenie wielkiego stada kruków. Zainteresowania tych ludzi zdawały się bezsensowne i bezcelowe dla niego, któremu obce były świętości i hasła Westminsteru. Słyszał, jak dysputowali nad mową Miltoun'a, z której znaczenia – dopiero teraz widać – zaczęli zdawać sobie sprawę. Słowa „doktryner”, „krańcowość” dobiegały jego uszu wraz z powiedzeniem „świeża potęga”. Ludzie ci byli widocznie zaskoczeni, zaniepokojeni, niezadowoleni, jakgdyby jakaś nowa gwiazda, na której pojawienie się nie liczone, nagle zabłysła pomiędzy normalnymi, odwiecznymi konstelacjami.

Courtier'a, szukającego wśród tłumu Barbary, opanowało uczucie wstydu. Czy miał on prawo wdzierać się do tego środowiska jedynie poto, by ujrzeć tę dziewczynę? Jakże wogóle miał prawo dążyć za nią, zdając sobie sprawę w głębi duszy, że nie mógłby znieść przez tydzień nawet otaczającej ją atmosfery, że była ona całkowicie nieprzygotowana dla atmosfery, którą on mógł jej zaofiarować, nie mówiąc już

teraz 195